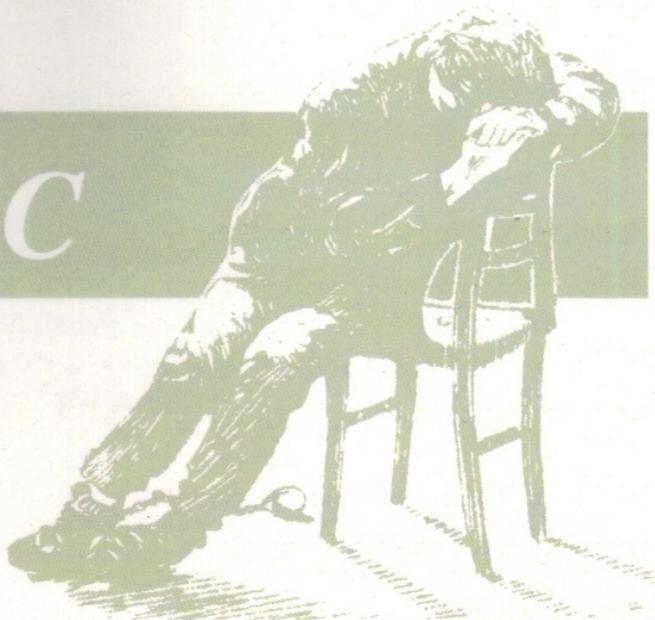


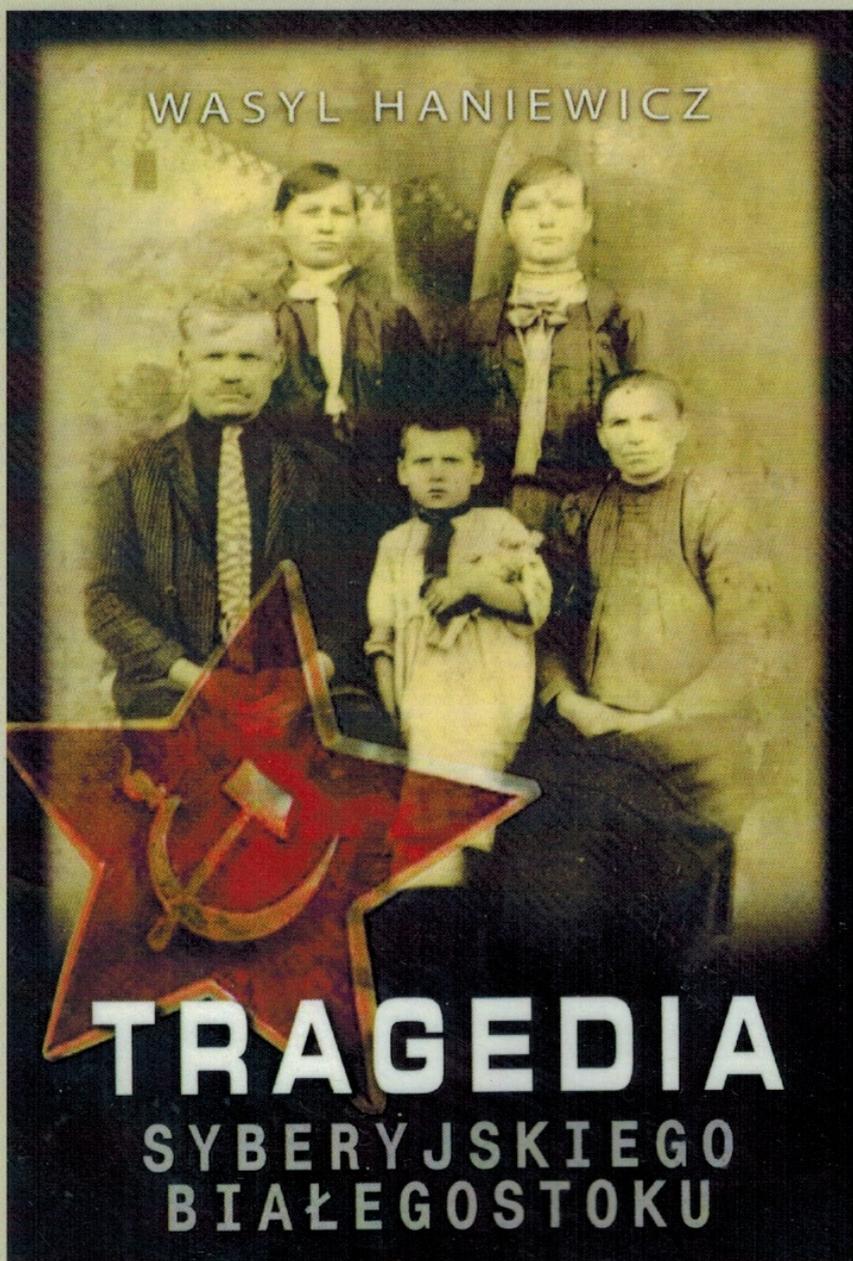
ZESŁANIEC

PISMO RADY NAUKOWEJ
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW
PL ISSN 1426-2126

69 2017



WASYL HANIEWICZ



TRAGEDIA

SYBERYJSKIEGO
BIAŁEGOSTOKU

Z e s ł a n i e c

PISMO RADY NAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO
NR 69 ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ROK 2017

Spis treści

- **Wasył Chaniewicz**
O społeczności wsi Białystok i o parafii pod wezwaniem św. Antoniego Padewskiego.....3
 - **Piotr Hlebowicz**
Był taki kościół.....13
 - **Agnieszka Królczyk**
Polskie relacje z Sachalinu – koniec XIX wieku.....19
 - **Stanisław Dzienisiewicz**
Kozielsk, przedpiekle Katyń.....23
 - **Anna Milewska-Młynik**
Spełnione życie Mariana Jonkajtysa.....35
- RELACJE Z ZESŁANIA**
- **Michał Wołoszczak**
W dalekiej Jakucji.....47
 - **Kazimierz Kotowski**
Z rodzinnej wioski na zesłanie.....61
- KRONIKA**
- **Zuzanna Sieroszewska-Rolewicz**
Wspomnienia z wyprawy śladami Pradziadka Wacława Sieroszewskiego (czerwiec 2016).....71
 - **Joanna Arvaniti**
Sprawozdanie z obchodów 150. rocznicy urodzin Bronisława Piłsudskiego.....79
- REGAŁ Z KSIĄŻKAMI**
- Л. К. Островский, *Поляки в Западной Сибири в конце XIX – первой четверти XX века*, Новосибирск 2016 (Wiesław Caban).....83

Od redakcji

Zesłania, katorga i łagry wypełniają tradycje rodzinne wielu Polaków a literatura stanowi istotne dopełnienie związanych z tym realiów! Nadmienię, że właśnie w wieloletnie polsko-syberyjskie związki wpisują się publikacje w „Zesłańcu”. Wzruszająca jest troska ich autorów by z narodowej pamięci nie wyeliminowano syberyjskich kontekstów, aby nie zostały rozproszone i zapomniane. Takie właśnie publikacje spotykają się z akceptacją czytelników i są przedmiotem ich zainteresowań. Rzec nawet trzeba, że są one odległym echem tamtych wydarzeń oraz ubogacają wiedzę o Syberii w historii i kulturze narodu polskiego.

Wartość poznawcza tych publikacji jest naprawdę znacząca, a najlepszym tego dowodem są kontakty czytelników z redakcją informujące, że wiele faktów zawartych w tych artykułach trudno spotkać w innych czasopismach, w podręcznikach szkolnych a nawet w monografiach. W tym kontekście ukazujący się od dwudziestu lat „Zesłaniec” staje się istotnym ogniwem spinającym dzieje polskiej diaspory na rozległych obszarach rosyjskiego imperium.

Wypada tu wspomnieć, że kwartalnik nasz przekazywany jest do szkół noszących nazwę „Zesłańców Syberii” a jego tematyka, zdaniem nauczycieli pozwala pełniej poznać marginalne obszary związane z polską obecnością w Rosji i na jej rozległych azjatyckich obszarach. Są w tych tekstach wyniki osiągnięć badawczych, które w tej formie popularyzacji, same określają swoje znaczenie. I w nich właśnie tkwi obszerny katalog spraw poruszanych przez autorów, starannie

- *Kościół katolicki na Syberii Zachodniej w XIX i początkach XX wieku. Szkice historyczne, materiały dokumenty, pod red. W. Cabana, J. Legiecia, Kielce 2016 (Ewa Martinek).....90*
- W. Masiarz, *Wierszyna polska wieś na Syberii Wschodniej 1910-2010. Z dziejów dobrowolnej emigracji chłopów polskich na Syberię na przełomie XIX i XX wieku, Kraków 2016 (Anna Koziół).....91*
- B. Michalewski, *Polscy zesańcy w obronie wiary. Kościół katolicki w sowieckim Kazachstanie w latach 1936-1990, Krzeszowice 2016 (Anna Milewska-Młynik).....94*
- Albin Głowacki (red), *Sybir. Doświadczenia – Pamięć, Białystok 2015 (Michał Głuszowski).....97*

Na okładce: Tytuł książki W. Chaniewicza (s. 1); plakat spotkania z cyklu „Gwiazdy na Syberii” w Muzeum Niepodległości w Warszawie (s. 4). Na wklejce: powroty do wspomnień ze święta Yseh w Jakucku (fot. 1) i Namskim Ulusie (fot. 2).

przez nich odtworzonych w oparciu o kwerendy archiwalne. Zawierają one wiele wątków łączących się dziejami Polaków na Syberii ukazanych spoza dotychczasowych zaston niewiedzy! Ta właśnie cecha naszego kwartalnika spotyka się ze szczególną aprobatą czytelników.

Podobnie jak w poprzednich numerach, także i tym razem artykuły mają charakter opracowań historycznych, relacji z zesłania, kroniki i recenzji. Dziękuję autorom za trud ich tworzenia, a indywidualnym donatorom oraz Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie za finansowe wsparcie, dzięki któremu „Zesłaniec” żyje i jest ważnym źródłem informacji o historii związków polsko-syberyjskich.

Wiesław Krawczyński
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków



SENAT
RZECZYPOSPOLITEJ
POLSKIEJ



Projekt współfinansowany w ramach sprawowania opieki
Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą

Wydawca: Zarząd Główny Związku Sybiraków, ul. Mazowiecka 12; 00-048 Warszawa, tel. 22/827 93 71. **Redakcja:** A. Dobroński, A. Dziekiewicz, W. Krawczyński, A. Kuczyński (red. nac.), A. Milewska-Młynik, P. Zworski; Sekretarz redakcji: M. B. Kuczyńska. **Wykonawca:** Skład, druk i oprawa – QUAESTIO Przemysław Włodarczyk. **Copyright** nazwy „Zesłaniec” by A. Kuczyński. **Adres redakcji:** ul. Bystrzycka 61/3; 54-215 Wrocław.

WASYL CHANIEWICZ

O SPOŁECZNOŚCI WSI BIAŁYSTOK I O PARAFII POD WEZWANIEM ŚW. ANTONIEGO PADEWSKIEGO

Omawiając historię kościołów rzymskokatolickich i domów modlitwy powstałych na początku XX wieku w wielu parafiach wiejskich na całym obszarze Syberii Zachodniej, należy podkreślić, że zachował się i wciąż obecnie funkcjonuje, zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem, tylko jeden z nich, a mianowicie kościół św. Antoniego Padewskiego we wsi Białystok w obwodzie tomskim.

Osada wiejska Białystok, położona w odległości 180 km na północny wschód od miasta Tomska, jest obecnie jednym z rzadkich miejsc zamieszkania potomków Polaków, wyznawców wiary katolickiej, którzy założyli tę osadę ponad sto lat temu. Jej historia jest podobna do dziejów innych osad syberyjskich, założonych na przełomie XIX i XX wieku. Jednocześnie historia tej osady, budowanej świątyni oraz jej parafian jest świadectwem odporności chłopów syberyjskich o „korzeniach polsko-katolickich” na wszelkie trudy życia. Daje wyobrażenie o ich dążeniach do zachowania swej tożsamości etniczno-wyznaniowej, o relacjach, jakie utrzymywali z okolicznymi mieszkańcami, a także o stosunkach z miejscową władzą.

To miejsce w życiu autora tych słów ma szczególne znaczenie. Jest to jego ziemia rodzinna, tutaj spędził dzieciństwo i młodość, tutaj urodzili się jego rodzice i dziadkowie, a pradiadkowie znajdowali się w grupie pierwszych osadników i budowniczych kościoła. Historii tej osady i jej mieszkańców, losowi wiejskiego kościoła poświęcono kilkanaście artykułów w wydawnictwach rosyjskich i polskich, wydano książki¹ oraz nakręcono filmy. Nic więc dziwnego, że zwiędźsza to zainteresowanie tym miejscem, budzi chęć poznania życia pierwszych osadników, ich potomków oraz budowniczych kościoła, który na całe dziesięciolecie stał się dla wielu katolików, mieszkających w północnej części tomskiej guberni, ośrodkiem życia religijnego.

¹ В. А. Ханевич, *Белостокская трагедия (из истории геноцида поляков в России)*, Томск 1993; *Сибирский Белосток. Сборник документов и материалов*. Сост. В. А. Ханевич, Томск 1998; W. Chaniewicz, *Wiejska świątynia. Z historii budowy, zniszczenia i odbudowy kościoła we wsi Białystok na Syberii*, [w:] *Kościół katolicki na Syberii. Historia – Współczesność – Przyszłość*, pod red. naukową A. Kuczyńskiego, Wrocław 2002, s. 355-367; W. Chaniewicz, *Tragedia syberyjskiego Białegostoku*, przekład A. Hlebowicz, Pelplin 2008.

Białystok został założony w 1898 roku, początkowo jako punkt przesiedleńczy „Noworybałowski” na terenie gminy Nikołajewsk (powiat tomski) na obszarze głuchej tajgi, na brzegu rzeczki Brewki, wpadającej 25 wiorst dalej do rzeki Ob. Był on przeznaczony do zasiedlania przez przybywających na Syberię chłopów-rolników z regionów Imperium Rosyjskiego, gdzie brakowało ziemi uprawnej. Los chciał, że w grupie przybyłych na piechotę chłopów, którzy jako pierwsi obejrzeliby wyznaczony pod zasiedlenie teren tajgi i wyznaczyli granice dla siebie, dla swoich krewnych i sąsiadów, było również kilku chłopów polskiego pochodzenia, wyznania katolickiego, mieszkających w guberni grodzieńskiej i wileńskiej. Z powodu braku ziemi zdecydowali się oni przeprowadzić na Syberię, by poprawić swój los.

Jest sprawą oczywistą, że nie z powodu dostatniego życia ludzie ci, od pokoleń uprawiający rolę, pewnego dnia zdecydowali się przeprowadzić na daleką Syberię. Brak ziemi uprawnej, miejscowe nieurodzajne piaszczyste gleby nie pozwalały wykarmić licznych rodzin chłopskich. Wiele osób, opuszczając rodzinne chaty, szło na zarobek do sąsiednich miast i miasteczek. Na przykład jeden z założycieli syberyjskiego Białegostoku, Aleksander Jocz (Александр Иоч), po śmierci ojca Kazimierza w 1884 roku wyjechał ze swojej rodzinnej osady Jutewce (Ютевцы), położonej w odległości 10 km od miasteczka Szczuczyna (Щучино) w guberni grodzieńskiej, do gubernialnego Wilna i przez kilka lat pracował tam jako strażak. Inny z pierwszych osiedleńców, Jan Chaniewicz, jako nastolatek wraz ze starszym bratem Józefem dorabiał, przewożąc towary i pasażerów ze stacji Porzecze (Поречье) do Grodna. Sami mieszkali we wsi Sałaty (Салаты), położonej 5 km od stacji kolejowej Porzecze, na trasie Petersburg – Warszawa. Podobnie w tamtych latach trudniło się wielu chłopów małorolnych z Grodzieńszczyzny, Wileńszczyzny i Białostocczyzny. Nie zapewniało im to jednak wystarczających środków na utrzymanie.

Dziesiątki rodzin opuszczało miejsca ojczyste, wyjeżdżając do Ameryki, Kanady, a od końca XIX wieku – na wschodnie tereny państwa rosyjskiego. Rząd carski był zainteresowany przesiedleniem chłopów na Syberię, obiecując ulgi i wsparcie w urządzaniu się na nowym miejscu. I trzeba przyznać, że pomoc ta była niemała. Osoby wybierające się na Syberię otrzymywały darmowe zaświadczenia wyjazdowe, uprawniające do bezpłatnego przejazdu koleją do miejsc przyszłego osiedlenia, a rodziny przesiedleńców zniżkę na przejazd i przewóz bagażu. Dorośli i dzieci powyżej 10 roku życia płacili tylko ¼ ceny biletu pasażerskiego w III klasie, a dzieci poniżej 10 roku życia miały przejazd bezpłatny. Cena przewozu ładunku na odległość 100 wiorst (1 wiorsta – 1066,8 m) wynosiła 1 kopiejkę za pud (1 pud – 16,38 kg). Przewóz konia oraz dużego bydła rogatego kosztował pół kopiejki za każdą wiorstę drogi. Oprócz zniżek na przejazd, każda rodzina mogła otrzymać do 100 rubli bezprocentowej pożyczki na założenie domu i na zakup narzędzi rolniczych. Nowi osiedleńcy przez trzy lata byli całkowicie zwolnieni z podatków państwowych, a przez kolejne trzy lata płacili jedynie ich połowę. Poborowi otrzymywali trzyletnie odroczenie od służby wojskowej. Oprócz zniżek i pożyczek państwo przeznaczało znaczne środki na zakładanie spichlerzy, punktów sprzedaży zbóż i narzędzi rolniczych, na budowę szkół, cerkwi, mostów, dróg oraz na zakładanie studni.

W latach 1896-1897 przebywał w guberni tomskiej w charakterze wysłannika (chodoka), jeden z pradziadów autora, Aleksander Jocz. W gubernialnym urzędzie ds. przesiedleń otrzymał on propozycję obejrzenia przeznaczonych pod zasiedlenie działek tajgi w gminie Nikołajew, w powiecie tomskim. Miejscowość znajdowała się w odległości stu wiorst na północny wschód od gubernialnego miasta Tomska, na lewym brzegu rzeki Ob.

Po zastrzeżeniu dla siebie i dla swoich krewnych prawa do nadziałów ziemi, chłopci powracali do stron ojczystych po rodziny. Tam długo jeszcze rozmawiano o ewentualnych korzyściach lub stratach z tego przedsięwzięcia. Wreszcie podjęto decyzję o przesiedleniu się na daleką Syberię. Do Tomska jechali koleją w wyznaczonych dla każdej rodziny wagonach towarowych razem z bydłem i wszelkim sprzętem gospodarstwa domowego. Z Tomska do wsi Mołczanowo [Молчаново], w której znajdował się jeden z punktów przesiedlenia, płynęli parostatkami po wielkiej rzece syberyjskiej Ob, a stamtąd już pieszo poprzez lasy i bagna tajgi do wybranego miejsca swojego zamieszkania. W ten sposób na mapie guberni tomskiej w 1899 roku pojawiła się jeszcze jedna wioska z przesiedleńcami – katolikami.

O tym, co to były za miejsca, można się było w tamtych czasach dowiedzieć z meldunku Rajskiego, urzędnika ds. chłopskich, do gubernatora tomskiego, z dnia 15 września 1898 roku. Pisał on:

Co zaś dotyczy się działek gminy Nikołajew, na których przebywa około 800 rodzin, to znajdują się one w gorszych warunkach w porównaniu z innymi obszarami przesiedlenia, zarówno jeśli chodzi o połączenie drogowe, jak i możliwości zakupu w nich zboża oraz sprzętu rolniczego. Mieszkańcy tych terenów mogą w wystarczającej ilości kupić od rdzennych mieszkańców z pobliskich wiosek jedynie bydło. Przesiedleńcy z osad: Koczubin, Jukarinski, Jużajnski, Rybałowski, Czerłowiński i Sajnakowski, które znajdują się niedaleko – od trzech do dwunastu wiorst od wsi Monastyrskie, oraz z wiosek Kajmienakowo, Jeremino i Rybałowo w gminie Nikołajew, mogą jeszcze liczyć na znalezienie zboża w tych wioskach lub w ostateczności, w osadach gminy Bogorodsk, leżącej wzdłuż rzeki Szegarka, w których autochtoni zamieszkujący te tereny mają dużo zboża. Natomiast na pozostałych terenach: Bolszoj Tatosze, Grizzkinski, Kriwoszeinski, Mieźdureczenski, Pudowski, Aleksandrowski i Kryłowski nie będzie możliwości uzyskania zboża dla 1420 przesiedleńców płci męskiej i porównywalnej liczby osób płci żeńskiej [...]. Jeśli chodzi o połączenia drogowe, to należy powiedzieć, że przesiedleńcom z osad: Jużarinski, Rybałowski, Sajnakowski, Czerłowiński szczególnie duży kłopot sprawia rzeczka Szegarka, która choć obfituje w wodę, to oddziela ich wszystkich od sąsiednich wiosek. Połączenie z nimi jest przerwane wiosną w czasie rozlewu rzeki na około półtora – dwa miesiące; niemożliwe jest zbudowanie mostu przez nią, gdyż zerwie go woda. Należałoby zbudować na tej rzece przeprawę promową, jednak przesiedleńcy sobie z tym problemem sami nie poradzą. Oprócz tego, na terenie wsi Rybałowskiej należałoby zbudować trzy mosty. Jeden na stromym parowie o długości 7 sążni², drugi most o długości 10 sążni – przez rzekę Stepanowka, trzeci o długości 7 sążni na „Bujerakach”³ [...]. Na innych terenach znajdują się bardziej lub mniej rozległe grzęzawiska,

² Sążeń – 2,134 m.

³ Bujerak [буйерак] – wąwóz.

ale zakładam, że groble mogą zostać wykonane przez przesiedleńców bez pomocy z zewnątrz, chociaż, zanim się je wykona, na bagnach na niebezpieczeństwo będą narażane konie i furmanki⁴.

Do nowego miejsca pierwsi rodacy przesiedleńcy adaptowali się z trudem. Czekala tam na nich surowa przyroda syberyjska z niemiłosiernymi owadami (gnusem), występującymi w tajdze latem, przed którymi nie chroniła prowizoryczna moskitiera. Przywitały ich również niespotykane zimą mrozy, przed którymi bezskutecznie usiłowano się schronić w pośpiesznie wykopanych półziemiankach. Nierzadko padało bydło z powodu braku pożywienia oraz ataków dzikich zwierząt. Jak się później okazało, tuż obok znajdowały się dwa macezniki niedźwiedzi. Dzieci umierały z głodu, na czerwonkę oraz z powodu przeziębienia. Trzeba było ponadto pracować od świtu do zmierzchu przy karczowaniu tajgi w celu pozyskania ziemi ornej, której każdy skrawek był okupiony łzami i potem. Jednak praca nie stanowiła ciężaru, gdyż każdy pracował na swojej ziemi i wiedział, że jego dobro i byt rodziny zależy od tej chwili od niego samego i od Opatrzności Bożej.

Według dokumentów archiwalnych w pierwszym roku osiedlenia na wydzielonym obszarze ziemi zamieszkiwało 13 rodzin. W skład pierwszych osiedleńców – założycieli wsi – wchodziły rodziny braci Jocz: Jana, Aleksandra, Marcina i Ignacego oraz rodziny Józefa Chaniewicza, Hieronima Mazuka, Łukasza Majsaka, Adama Bielskiego, Józefa Markisza, Tomasza Naumczyka, Tadeusza Radziuka i Wincentego Seńko⁵. W 1899 roku na nowym miejscu przyszła na świat pierwsza mieszkanka przyszłego syberyjskiego Białegostoku – córka Aleksandra i Stefanii Joczów – Maria Magdalena⁶. Pojawił się również własny cmentarz. Według ksiąg metrykalnych kościoła w Tomsku, na początku 1902 roku został też odnotowany pierwszy zgon. Dnia 28 lutego 1902 roku w osadzie Białystok w wieku 65 lat zmarła chłopka z gminy Nikołajew Elżbieta Chaniewicz, matka Józefa i Jana Chaniewiczów⁷.

W pierwszych dwóch latach przesiedleńcy nie uprawiali jeszcze swojej roli, lecz zajmowali się jedynie karczowaniem tajgi pod przyszłe działki. Musieli więc pożyczać zboże ze spichrza państwowego, specjalnie zbudowanego dla przesiedleńców w osadzie Kriwoszejno, znajdującej się na brzegu rzeki Ob. Jednakże już w 1900 roku przesiedleńcy noworybałowskiego rejonu przesiedleńczego żywili się zbożem pochodzącym z własnej uprawy.

Mówiąc o pomocy rządu carskiego dla przesiedleńców w czasie reformy stołypinowskiej, nie należy tej pomocy przeceniać. Z powodu braku środków pieniężnych przesiedleńcy otrzymywali świadczenia i pożyczki na założenie domu w znacznie mniejszych kwotach, niż mówiło się o tym oficjalnie. Z raportu zarządcy tomskiego punktu przesiedleńczego Michajłowa można się dowiedzieć, że średnia wartość pożyczek dla rodzin przesiedleńczych, jakie przyznano w 1907 roku, wynosiła 35 rubli na rodzinę. Maksymalna wysokość pożyczek na rodzinę nie przekraczała w danym roku 40-50 rubli, pożyczki zaś

⁴ ГАТО. Ф. 3. Оп. 44. Д. 499. Л. 42-44.

⁵ ГАТО. Ф. 3. Оп. 44. Д. 499. Л. 4.

⁶ Urodziła się 31 lipca 1899 roku, ochrzczona została 14 sierpnia 1899 roku w Tomsku przez ks. Skibniewskiego. ГАТО. Ф. 527. Оп. 1. Д. 196. Л. 343.

⁷ ГАТО. Ф. 527. Оп. 1. Д. 398. Л. 85об.

otrzymało jedynie ok. 12% ubiegających się rodzin. Ceny produktów spożywczych, narzędzi, i bydła były bardzo duże, bo wzrósł na nie popyt. Krowa kosztowała 40 rubli, koń – 70 rubli, pług – do 30 rubli. Wymurowanie spichlerza mogło kosztować do 100 rubli, a koszt wybudowania domu mógł wynieść 150 rubli i więcej. Przez pierwsze trzy lata przesiedleńców był zwolniony z podatków państwowych, ale nie był zwolniony z opłat sołeckich, gminnych i parafialnych, których wysokość była znacznie wyższa od podatku państwowego i stanowiła do 25 rubli rocznie. Oprócz opłat lokalnych należało uiszczać podatki w postaci płodów rolnych, pracy przy budowie dróg, mostów i groźdzeniu pastwisk wiejskich.

Wielu przesiedleńców po znalezieniu się na Syberii zdało sobie sprawę z tego, że przecenili własne siły i w rezultacie niektórzy wracali do rodzinnych stron. W skali całej Syberii tylko w 1901 roku decyzję o powrocie podjęło około 5 tysięcy rodzin. Z kolei w 1907 roku 800 rodzin skierowanych na osiedlenie się w guberni tomskiej wróciło w rodzinne strony. Władze przyglądały się temu zjawisku ze spokojem, ponieważ wcześniej ostrzegano chętnych do przeprowadzki na Syberię w specjalnie wydawanym czasopiśmie „Syberyjskie Przesiedlenie” („Сибирское переселение”), że prowadzenie tam gospodarstwa jest znacznie trudniejsze niż w europejskiej części Rosji oraz że „Syberia ze złego gospodarza nie uczyni dobrego”.

Bez względu na złożoność całego procesu, przesiedlanie na Syberię przebiegało bardzo intensywnie, zwłaszcza w okresie reformy rolnej Piotra A. Stołypina prowadzonej w latach 1906-1910. Wtedy właśnie pojawiły się na mapie setki nowych osad i rozrastały się już istniejące. Z części osad przesiedleńczych, powstałych na początku wieku na lewym brzegu rzeki Ob, na terenie gminy Nikołajew okręgu tomskiego została założona jeszcze jedna gmina – nowoaleksandrowska, z urzędem we wsi o takiej samej nazwie. Wkrótce we wsi gminnej zbudowano szpital, cerkiew prawosławną oraz otworzono targ.

Kiedy powoli życie znormalizowało się w warunkach syberyjskich, polscy przesiedleńcy uświadomili sobie, że brakuje im czegoś ważnego – kościoła. Powstanie świątyni wiązać należy z ks. Pawłem Kaziunąsem [Павел Казюнас], wikarym kościoła tomskiego, który wypełniał obowiązki religijne w powstających osadach. Zachowała się informacja, że kiedy w połowie lutego 1903 roku przybył do osady Połozowsk w gminie Mołczanowsk (70 wiorst od Białegostoku), w jednym z domów przez cały tydzień codziennie pełnił posługę religijne – chrzczył, udzielał ślubów, spowiadał. Między innymi 16 lutego 1903 roku udzielił on ślubu 24-letniemu osadnikowi z Białegostoku Janowi Chaniewiczowi. Jego żoną została 19-letnia panna, chłopka z osady Nowoaleksandrowsk, Maria Żuromska⁸.

Z inspiracji ks. Kaziunasa mieszkańcy Białegostoku wystąpili w 1906 roku z prośbą do władz o pozwolenie na budowę kościoła i o przyznanie pożyczki państwowej na ten cel. Niezależnie od tego przystąpiono do zbiórki pieniędzy, „nakładając na każdego obowiązek 5-rublowej wpłaty”, co stanowiło niemałą kwotę. W tymże samym roku mieszkańcy Białegostoku otrzymali zgodę od ministra spraw wewnętrznych na budowę świątyni i natychmiast

⁸ ГАТО. Ф. 527. Оп. 1. Д. 413. Л. 89 об.

zabrali się do pracy. Kościół postanowiono zbudować na najbardziej widocznym miejscu. Wybrano pagórek, który zewsząd otoczony był wąwozami. Regularnej zabudowy wsi jako takiej jeszcze nie było. Ludzie mieszkali w zbudowanych półziemiankach na otrzymanych działkach. Domy zaczęto stawiać dopiero wokół przyszłego kościoła.

Budowę kościoła zajmował się wybrany przez tutejszych mieszkańców komitet pod kierownictwem ks. Pawła Kaziunasa. On sam, by przyspieszyć budowę, zadłużył się na 300 rubli. Według raportu ks. Józefa Demikisa, proboszcza parafii tomskiej, budowę kościoła zakończono z dniem 1 listopada 1908 roku⁹. Jak informował proboszcz Demikis, na jego budowę „wydano 4 tysiące rubli, nie licząc materiałów oraz osobistej pracy chłopów – katolików”. Nadto dodawał, że drewniany kościół postawiono na modrzewiowych fundamentach (z bali), jest przykryty blachą, ma wieżę i dwie zakrystie. Posiada 14 okien i 5 drzwi z zamkami i został ubezpieczony w towarzystwie ubezpieczeniowym¹⁰. Według ks. Adolfa Filipa [Адолф Филипп], który został proboszczem w Białymstoku, ostatecznie budowa kościoła została zakończona w 1909 roku. To właśnie nowy proboszcz zatroszczył się o wyposażenie kościoła. Z jego raportu skierowanego do władz przełożonych w 1911 roku dowiadujemy się, że dzwon na wieżę ofiarował ks. Józef Demikis, sygnaturkę G.W. Juskiewicz. Monstrancję, puszkę, kadzielnicę z łódką – Józef Staniewicz. Kielich z pateną został ufundowany przez Antoniego Staniewicza. Obraz Matki Bożej Bolesnej ufundowany przez Paulinę Bielską. Dwa feretrony, świeczniki (6 dużych i 4 małe) oraz chorągwie zakupiono z ofiar parafian. Dwa mszały, jeden zwykły, drugi żałobny i śpiewnik liturgiczny zakupił Jurzyński¹¹.

Oprócz wzniesienia budynku kościoła, w 1908 roku w osadzie rozpoczęto gromadzenie materiałów pod budowę plebanii. W 1911 roku w tym celu wzniesiono już ściany domu o powierzchni 35 sążni kwadratowych (4 pokoje, kuchnia i duży przedpokój), dach pokryto blachą, dokończono wszystkie okna, na razie nie wykonano jednak pieca, „z powodu braku środków”¹².

Mieszkańcy zachwycali się wybudowanym kościołem. W ich pamięci kościół wprowadził dostojeństwo w osadzie, głównie dlatego, że wznosił się nad okolicą, pokryty był blachą na „wzór rybiej łuski”. Błazany dach, dzwonnica i duży krzyż obity błyszczącymi płytkami, wszystko to razem sprawiało, że świątynia była widoczna z najdalszych zakątków osady. Bardzo ładnie prezentowało się wnętrze kościoła, główny ołtarz składał się bowiem z 15 dużych obrazów z wizerunkiem św. Antoniego Padewskiego pośrodku, a z wysokiego sufitu zwisał piękny żyrandol z imitacji kryształu.

Uroczystego poświęcenia kościoła dokonał proboszcz tomski Józef Demikis 13 czerwca 1910 roku, w dzień św. Antoniego Padewskiego. Od tej chwili osada przesiedleńców stała się ośrodkiem życia religijnego dla kilkudziesięciu rodzin katolików, osiadłych w pobliskich osadach gminy

⁹ РГИА. Ф. 826. Оп. 1. Д. 1808. Л. 1.

¹⁰ РГИА. Ф. 826. Оп. 1. Д. 1808. Л. 1.

¹¹ РГИА. Ф. 826. Оп. 1. Д. 1808. Л. 67-69.

¹² РГИА. Ф. 826. Оп. 1. Д. 1808. Л. 67-69.

Nowoaleksandrowsk oraz sąsiednich gmin. Po powstaniu kościoła miejscowi katolicy, którzy byli ludźmi religijnymi, w dalszym ciągu nie żałowali ani sił, ani pieniędzy na doposażanie kościoła. Chcieli, żeby wszystko było takie samo, jak w dalekich stronach ojczyстых. Oto jak na początku lat 90. XX wieku wspominała kościół urodzona w Białymstoku Zofia Czerkaszyna (z domu Artysz):

Do kościoła chodzili wszyscy – i mali, i duzi. Gdy przyszedł maj, chodziliśmy cały miesiąc [...]. Chłopy stały w świątyni z prawej strony, a baby – z lewej, zaś my – dzieci – modliliśmy się na klęczkach. Niektórzy dorosli również modlili się, klęcząc. Mężczyźni stali więcej, a ławki były dla tych, którzy potrafili czytać modlitwy z książeczki do nabożeństwa. Chór stał na górze. Śpiewali tam ci, którzy śpiewać umieli. Wszystko to było piękne i odświętne, szczególnie w czasie wielkich świąt. Na Wielkanoc odbywała się procesja dookoła kościoła, dzwoniły dwa dzwony. Daleko było słycać¹³.

Dumą kościoła była stojąca na chórze fisharmonia. Kupił ją za własne pieniądze i podarował kościołowi Aleksander Daszczuk, który przybył na Syberię z guberni siedleckiej w 1914 roku. Później parafianie niejednokrotnie wybierali go na starostę parafialnego, szanowali go bowiem za troskę o kościół. Pod jego kierownictwem dookoła kościoła wykonano ogrodzenie, wytyczono chodniki, obok kościoła posadzono kilkadziesiąt młodych cedrów i jodeł. Identyczne drzewka posadzono również na cmentarzu. Obok bramy i furtki do kościoła został umieszczony koniowiąż, gdyż na msze podczas świąt zjeżdżało się wielu gości, nie tylko z gminy Aleksandrów, lecz również z gminy Nikołajew i Mołczanow.

W swoim raporcie z 16 marca 1911 roku ks. Adolf Filipp wskazywał, że:

[...] ilość dusz przypisanych do kościoła w Białymstoku nie przekracza liczby 500. Najbardziej oddalonym od kościoła białostockiego punktem, w którym mieszka 10 rodzin katolickich, jest osada Małomuromsk w gminie Bobarykinsk w powiecie tomskim, znajdująca się w odległości 40 wiorst. Inne osady położone są znacznie bliżej, na przykład osada Czerłowinsk, z liczbą mieszkańców – 100 dusz, znajdowała się w odległości 18 wiorst, osada Apsaklinsk – 13 wiorst, Pudanowsk – 15 wiorst. W osadzie Białystok około 40 gospodarzy było wyznania katolickiego¹⁴.

Co roku do Białegostoku przybywali nowi mieszkańcy. Zamiast ziemianek i chat z czasem zaczęto budować porządne syberyjskie dwuizbowe domostwa, spichlerze i stodoły, kopano studnie z wysokimi „żurawiami”, ogrodzono osadę płotem. Zbudowany i poświęcony w 1910 roku kościół jeszcze bardziej przyciągał w te strony przesiedleńców – katolików. Gdy wiosną 1914 roku, dosłownie w przeddzień wojny światowej, z zamiarem osiedlenia przyjechali do wsi ostatni przesiedleńcy, a było to ponad dziesięć rodzin z okolic Białej Podlaskiej w guberni siedleckiej, to w granicach osady nie było już dla nich miejsca. Zgodzili się oni zamieszkać za wiejskim pastwiskiem, na drugim brzegu dość dużego, jak na warunki wiejskie, stawu, nazwanego żartobliwie „Bajkałem”. Od tej chwili mieszkańców tego przysiółka zaczęto

¹³ В. А. Ханевич, *Белостокская трагедия...*, s. 142.

¹⁴ РГИА. Ф. 826. Оп. 1. Д. 1808. Л. 69.

nazywać „zabajkalcami”. Według wyników ogólnorozyjskiego spisu rolnego z roku 1916 w osadzie Białystok było odnotowanych już 95 gospodarzy i ogółem 487 mieszkańców, posiadających w swoich gospodarstwach 267 koni oraz 374 krowy. Pod uprawę zostało zagospodarowane 285 dziesięcin ziemi, pochodzącej z wykarczowanej tajgi¹⁵.

Jednakże wzrost liczby parafian, budowa kościoła i plebanii we wsi nie rozwiązywały innego ważnego problemu – stałej obecności w kościele własnego księdza. Brak odpowiedniej liczby kapłanów przy nieogarnionych syberyjskich przestrzeniach był, jest i najprawdopodobniej zawsze będzie głównym problemem Kościoła katolickiego na Syberii (księża od zawsze musieli obsługiwać wiele oddalonych od siebie miejscowości)¹⁶. Dlatego też nawet posiadanie tego, co stanowiło niezbędne minimum, czyli kościoła i plebani dla księdza oraz środków na jego utrzymanie nie gwarantowało, że dla takiej parafii w każdej chwili znajdzie się ksiądz.

Pomiędzy mieszkańcami osady Białystok oraz osiedleńcami – Łotyszami, zamieszkałymi w odległości 40-60 wiorst w dół rzeki Ob, w osadach Malinowka, Maliczewka, Madoga, Połozowsk i innych dochodziło do rywalizacji o księdza, kiedy to w 1910 roku zakończono budowę własnego kościoła w osadzie Maliczewka, zbudowanego według tego samego projektu co kościół w Białymstoku.

Budowę tamtejszego kościoła zlecono ks. Adolfowi Filippowi, urodzonemu w powiecie lepelskim w guberni witebskiej¹⁷, który po ukończeniu seminarium duchownego i przyjęciu święceń kapłańskich w 1909 roku, został skierowany do dyspozycji proboszcza tomskiego Demikisa. Ten wysłał go do Kraju Narymskiego (północne obszary powiatu tomskiego), by dokończył budowę kościoła i plebani w Białymstoku, a nowy kościół zbudował Maliczewce. Później ks. Demikis wyznaczył go do spełnienia posług religijnych zarówno w parafii białostockiej, jak i maliczewskiej. Z meldunku wikarego Filipa z 1911 roku wynika, że parafia maliczewska liczyła około 1300 parafian, a w Białymstoku 500¹⁸. Ponadto w Maliczewce plebania została zbudowana wcześniej niż w Białymstoku, dlatego też za miejsce stałego pobytu wikary obrał Maliczewkę, a nie Białystok, co wywołało prawdziwą walkę pomiędzy blisko położonymi miejscowościami. Ta rywalizacja rozpoczęła się właściwie jeszcze w 1907 roku, gdy również w Maliczewce rozpoczęto budowę swojego kościoła. W związku z tym, że odległość pomiędzy Białymstokiem a Maliczewką wynosiła jedynie 40 wiorst, mający świadomość, że nie ma już żadnej nadziei na to, by przysłano dwóch księży, mieszkańcy osady Białystok w 1909 roku, podczas pobytu w Tomsku biskupa Cieplaka, wysłali do niego delegację z prośbą o przydzielenie duchownego, co im biskup obiecał, zabierając ze sobą ich prośby do Petersburga¹⁹.

¹⁵ ГАТО. Ф. 239. Оп. 16. Д. 133. Л. 1-98; Сибирский Белосток..., s. 178-183.

¹⁶ А.В. Масленников, *Римско-Католическая Церковь в Сибири. Проблемы и реформы в начале XX века*. „Вестник Томского университета” 2003, nr 276.

¹⁷ Книга памяти. *Мартиролог Католической церкви в СССР*. Сост. о. Б. Чаплицкий, И. Осипова. Москва 2000, s. 253.

¹⁸ РГИА. Ф. 826. Оп. 1. Д. 1808. Л. 68.

¹⁹ А. В. Масленников, *Римско-Католическая Церковь в Сибири...*

Mieszkańcy osady Maliczewka również nieustannie pisali do metropolity prośby o przysłanie księdza. W tej sprawie proboszcz tomski Demikis zaproponował kurii jedyne rozsądne, jak na owe czasy rozwiązanie, żeby przysłano jednego kapłana, który odprawiałby kolejno msze niedzielne raz w jednej, a raz w drugiej osadzie. Jako kandydata do tej podwójnej parafii zgłosił swojego wikarego Antoniego Żukowskiego [Антоний Жуковский]. Jak już wcześniej wspomniano, większość mieszkańców Białegostoku stanowili Polacy²⁰, a w Maliczewce – Łotysze oraz inni Bałtowie. Dlatego też każda z osad chciała mieć kapłana swojej narodowości. Wiele pism mieszkańców Maliczewki do kurii było napisanych według jednego scenariusza: we wstępie katolicy – Łotysze zapewniali, że są gotowi przyjąć jakiegokolwiek księdza, którego metropolita raczy przysłać, ale na zakończenie najczęściej dopisywali, że ten „jakikolwiek” ksiądz powinien być Łotyszem. Ostatecznie obie osady w 1912 roku „otrzymały” księdza Mikołaja Michasenko [Николай Михасенко], który mówił obydwojma językami²¹ i pełnił tam posługę (z przerwami) do 1923 roku. Zdolność odnajdywania wspólnego języka z parafianami posiadali również księża: Antoni Lach [Антоний Лях], będący tu duszpasterzem w latach 1916-1917, i Józef Zapaśnik [Юзеф Запасник], pełniący funkcję proboszcza kościoła w Białymstoku w latach 1917-1918²².

Ta rywalizacja „przy pozyskiwaniu księdza” nie przeszkadzała, a często wręcz służyła zbliżeniu mieszkańców osad. Jedność wiary oraz posługa jednego i tego samego księdza w dwóch kościołach umożliwiały ścisły kontakt, który często prowadził do wspólnych polsko-łotewskich małżeństw, co z biegiem czasu stawało się zjawiskiem powszechnym.

Mieszkańcy Białegostoku, pracując w polu od rana do wieczora, pokładając ufność w Bogu, mieli nadzieję na lepszy chłopski los dla siebie i swoich dzieci, budowali plany na przyszłość. Wszystko zmieniła rozpoczęta w 1914 roku I wojna światowa i powołanie wielu mężczyzn z osady na front. Po wojnie zaś nastąpiły lata rewolucji i wojny domowej. Nadeszły nowe czasy, kiedy mieszkańcy Białegostoku musieli wypić do dna swój kielich goryczy²³.

²⁰ W sprawozdaniu za 1909 rok proboszcz tomski Józef Demikis pisał o mieszkańcach osady Białystok jak o Białorusinach.

²¹ РГИА. Ф. 826. Оп. 1. Д. 1618. Л. 5-36; А. В. Масленников, *Римско-Католическая Церковь в Сибири...*

²² A. Majkowski, *Kościół katolicki w Cesarstwie Rosyjskim. Syberia – Daleki Wschód* – Azja Środkowa, Warszawa 2001, s. 105-106.

²³ Artykuł pochodzi z książki pt. *Kościół katolicki na Syberii Zachodniej w XIX i początkach XX wieku (szkice historyczne, materiały, dokumenty)*. Do druku przygotował Wasyl Chaniewicz. Pod redakcją Wiesława Cabana, Jacka Legiecia, Kielce 2017, s. 207-216.

PIOTR HLEBOWICZ

BYŁ TAKI KOŚCIÓŁ...

Nie ma już drewnianego kościółka w syberyjskim Białymstoku. Po ponad 100 latach istnienia, 19 kwietnia 2017 roku pożar strawił doszczętnie budynek i wszystko, co znajdowało się w świątyni. Wysoka temperatura roztopiła nawet dzwon zawieszony w kościelnej wieżycze, pozostało tylko stalowe serce! Nie wiadomo, co było przyczyną powstania ognia? Ksiądz po każdej mszy wyłączał centralny wyłącznik elektryczny, więc na pewno nie było to zwarcie instalacji. Podpalenie? Może? Śledztwo trwa! Ludzie związani z diasporą Polską w Białymstoku apelują o odbudowę świątyni. Są też głosy, że powstanie tylko kaplica, gdyż stały ubytek ludności w Białymstoku nie rokuje nadziei na odrodzenie się licznej katolickiej wspólnoty. Młodzi nie widząc perspektyw na wsi, wyjeżdżają do miasta – do pracy, na studia, i już nie wracają. Smutne to, ale takie są realia dzisiejszych czasów.

W okresie stanu wojennego, a także w okresie późniejszym byłem działaczem „Solidarności Walczącej”. Po aresztowaniu lidera krakowskiego oddziału SW w 1986, objąłem obowiązki jej przewodniczącego w Krakowie. Na początku 1988 roku wraz z ukrywającą się Jadwigą Chmielowską założyliśmy Autonomiczny Wydział Wschodni „Solidarności Walczącej”. Rozpoczęły się wyjazdy do ZSRR i kontakty z liderami antykomunistycznej opozycji oraz Polakami, mieszkającymi na tych olbrzymich obszarach sowieckiego imperium. Jesienią 1990 roku przyjechaliśmy z Jadzią do Tomsku na zaproszenie organizacji „Dom Polski”. Odebrano nas samochodem z Nowosybirsk, gdyż obwód tomski był zamknięty dla wjazdu cudzoziemców, ze względu na strategiczny obiekt jądrowy w Tomsku-7, gdzie wzbogacano uran. Prawie tydzień mieszkaliśmy nieoficjalnie u tomskich rodaków, poznawaliśmy ich losy, dzieje tej diaspory oraz oczekiwania na zmiany związane z zapowiadaną „pierestrojką”.

Właśnie wtedy po raz pierwszy usłyszałem o wsi Białystok, leżącej około 150 kilometrów od Tomsku. Wioska ta oraz parę innych w tomskiej guberni powstały na „przysłowiowym surowym korzeniu” pod koniec XIX i na początku XX wieku założone przez dobrowolnych polskich i rosyjskich osadników. Władze carskie w celu zagospodarowania bezkresnej tajgi, osiedlały na Syberii tysiące chłopów, zapewniając im godne warunki życia. W 1906 roku mieszkańcy Białegostoku zwrócili się do stosownych władz o pozwolenie na budowę katolickiej świątyni, a po jego otrzymaniu rozpoczęto jej budowę. W 1908 roku kościół został konsekrowany pod wezwaniem św. Antoniego Padewskiego i stał się miejscem posługi religijnej. Dzień 13 czerwca, gdy świat katolicki obchodzi uroczystość św. Antoniego Padewskiego był także dla mieszkańców Białego-

stoku dniem uroczystego odpustu oraz rodzinnych i sąsiedzkich spotkań jednoczących wspólnotę wierzących. Niestety urzędowy ateizm zadekretowany postanowieniami państwa sowieckiego rozpoczął walkę z religią (powstały komitety ateistów – bezbożników), zamykano cerkwie i kościoły. Grabiono ikony i „święte obrazy”, paramenta liturgiczne oraz inne wyposażenie świątyni. Aresztowano kapłanów – wielu rozstrzelano lub zesłano do łagrów. Kościół w Białymstoku służył wiernym tylko do 1927 r., a po zamknięciu przez kilka lat niszczał pozbawiony opieki wiernych. Od roku 1938 był w nim kołchozowy spichlerz, a od 1945 „klub kultury” i sala kinowa.



Kościół w Białymstoku od frontu. Stan z 4 stycznia 1991 roku.

Fot. Piotr Hlebowicz.

Przymusowa kolektywizacja i tworzenie kołchozów doprowadzały ludność do biedy, nie żyło się jej lekko, bo odebrano jej ziemię, zwierzęta i ziarno, a sprzeciwiających się tym praktykom spotykały różne represje! Do tego zaś doszła akcja „czerwonego terroru” i zaprogramowana w jej ramach likwidacja „wrogów ludu”, do których zaliczano Polaków. Prawdziwa hekatomba nadeszła na mieszkańców wsi w roku 1938. Pewnego dnia funkcjonariusze NKWD otoczyli Białystok, Połozowo i inne wioski, w których mieszkali Polacy skąd zabrano wielu mężczyzn. Nikt nie wiedział, gdzie zostali wywiezieni i co się z nimi stało? Pierwsze aresztowania rozpoczęły się już w sierpniu 1937 roku. Aresztowanych oskarżano o przynależność do Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) i szpiegostwo na rzecz białej Polski!!! Równoległe w tym samym czasie rozstrzeliwano tysiące Polaków na Żytomierszczyźnie, Podolu i w innych rejonach ZSRR. Dopiero w latach 70-tych ubiegłego wieku, gdy w Kołpaszowie oberwała się skarpa nad rzeką Ob (koło siedziby NKWD) i do rzeki wpadły wówczas ciała nieszczęśników okazało się, że należały one do rozstrzelanych mieszkańców Białegostoku oraz innych aresztowanych wówczas „wrogów ludu”!

W roku 1991 byłem po raz drugi w Tomsku i dowiedziałem się, że na „fali gorbaczowskiej pierestrojki” władze rozpoczęły procedurę przekazania wiernym kościoła w Białymstoku. Po tej pierwszej wizycie jesienią

1990 roku, członkowie „Domu Polskiego” przesłuchiwani byli przez tomskie KGB na okoliczność naszego pobytu. Na szczęście skończyło się tylko na strachu. Wszyscy udawali, że było to przypadkowe spotkanie i nie wiedzieli, kto zaprosił nas do Tomsku. Obeszło się jednak bez komplikacji. Ten drugi pobyt w tomskim obwodzie nastąpił na początku stycznia 1991 roku dokąd udałem się samolotem z Wilna do Nowosybirsk, a stamtąd autobusem do Tomsku. Po drodze dowiedziałem się, że od 1 stycznia 1991 roku „Moskwa otworzyła obwód tomski” oraz miasto Tomsk „dla wjazdu cudzoziemców”.



Działaczki katolickie ze wsi Białystok. Spotkanie 4 stycznia roku.
Fot. Piotr Hlebowicz.

W drugim dniu tego pobytu postanowiłem udać się do Białegostoku. Był wówczas spory śnieg i siarczysty mróz prawie 40 stopni. Trudno więc było tam dojechać. Z towarzyszącą mi tomiczanką Katią Czertową dojechaliśmy do Kriwoszeina późnym wieczorem. Do Białegostoku nie było już autobusu, więc nie bez kłopotów przenocowaliśmy w hotelu. Wczesnym rankiem ruszyliśmy w dalszą drogę. Autobusy kursowały rzadko i nieregularnie. Udało się nam jednak dotrzeć w pobliże Białegostoku ciężarowym samochodem wiozącym olbrzymie kłody. Pierwszy raz słyszałem tam, jak pękają drzewa na siarczystym mrozie (brzmiało to jak strzały karabinowe), a naprężone przewody elektryczne wydawały dźwięki „lecących bombowców”.

Wreszcie jednak dotarliśmy do tego syberyjskiego Białegostoku! Katia zaprowadziła mnie do jednej z chat, w której mieszkała starsza kobieta z komitetu parafialnego czyniącego starania o zwrot kościoła. Pamiętam, że wysłała ona kogoś z jej bliskich, by zawiadomić inne osoby o naszym przyjeździe. Po obiedzie zebrało się kilka kobiet, w tym mama Wasyla Chaniewicza. Nagle rozległo się stukanie w drzwi i weszło kilku milicjantów, pytając co to za nielegalne zebranie?!. Oczywiście chodziło im o moją osobę, bowiem okazało się,

że hotel w Kriwoszeine zawiadomił miejscowy posterunek o podejrzanym cudzoziemcu. Rozpoczęli zatem poszukiwania, dzwonili do Tomska, do akcji wkroczyło obwodowe KGB. Dowodzący grupą milicjantów poprosił mnie o dokumenty. Przeglądając paszport spytał o wizę i specjalne pozwolenie na wjazd do obwodu tomskiego. Pokazałem mu pieczętkę służbową AB wbity do paszportu, zaproszenie (po angielsku) od Demokratycznej Partii Litwy (organizacja nieformalna w Litewskiej SRS). Spytałem wówczas milicjantów czy słyszeli o skreśleniu obwodu tomskiego z listy stref zakazu poruszania się cudzoziemców z dniem 1 stycznia 1991 roku. Ogromnie się zdziwili, gdyż takiego „ukazu” jeszcze z Moskwy nie otrzymali (a był już 4 albo 5 stycznia 1991 roku). Kobiety zaczęły się denerwować i nie szczędziły gorzkich słów pod adresem mundurowych gości!

W końcu stróżę porządku wyszli z domu i mogliśmy kontynuować Polaków rozmowy. Usłyszałem o terrorze w latach 1937-1938, o aresztowanych mężczyznach, o tym, jak ich matkom i babciom ciężko było bez męskiego wsparcia. Nazywano ich wszystkich rodzinami wrogów narodu. Nie mieli żadnych perspektyw życiowych – wyższe uczelnie nie przyjmowały na studia, prace były poza zasięgiem. Wspominali, że gdy przechodzili obok świątyni przerobionej na magazyn ziarna a potem na klub wiejski – modlili się w duchu, gdyż publiczne okazywanie uczuć religijnych groziło aresztowaniem! Stan tej urzędowej bezbożności trwał do końca lat 80.

Gdy przyszła „gorbaczowska pierestrojka” mieszkańcy Białegostoku nieśmiało zaczęli upominać się o kościół. Wreszcie udało się – władze oddały go mieszkańcom. Zrujnowany, z dziurawym dachem, zetłatymi od starości i braku konserwacji modrzewiowymi balami wymagał dbałości o przywrócenie mu pierwotnej roli. Macie, bierzcie – powiedziano ludziom, a pomocy nie okazano im znikąd! Akurat w tym czasie następowała gwałtowna dewaluacja rubla, który z dnia na dzień tracił na wartości. Ludzie nie mieli na zabezpieczenie codziennych potrzeb życiowych, a co dopiero na remont starej świątyni. Smutne to były opowieści, gorzkie, ale z nutką optymizmu, że czasy się zmieniają, a jakieś iskierki wolności już się skrzą. Podczas tego spotkania wspólnie napisaliśmy apel do ludzi dobrej woli o pomoc w zbiorce środków finansowych na remont kościoła, apel ten zawiozłem też do Polski i przekazałem różnym instytucjom oraz osobom. Komitet parafialny był oficjalnie zarejestrowany, miał już konto bankowe, a w tych starszych kobietach kipiała nadzieja i niespotykana fala energii.

Ledwie skończyliśmy nasze rozmowy – do domu znów przyszli milicjanci, tym razem z komendantem rejonu. Rozpoczęła się powtórna procedura legitymowania i zadawania pytań: A po co tutaj przyjechaliście? Co będziecie robić, gdzie nocować? Na jak długo zatrzymacie się w Białymstoku? Czy zarejestrowaliście się w Tomsku na pobyt czasowy? Pytaniom nie było końca! Uspokoiłem komendanta, że zapewne nazajutrz wyjadę do Tomska, a pobyt mój związany jest ze sprawami polskiej ludności tutaj zamieszkałej. Poprosił raz jeszcze o paszport i poszedł z nim do milicyjnego gazika gdzie długo rozmawiał z kimś przez krótkofalówkę. Po oddaniu dokumentu poinformował: „moi ludzie będą was pilnować, by nic się wam złego nie stało!” I rzeczywiście, przed domem pozostał gazik z dwoma milicjantami. Babcie zaprowadziły mnie do paru chat, gdyż trzeba było zebrać podpisy pod apelem. Samochód jeździł cały czas za nami. Na nocleg poszedłem chyba do Chaniewiczów (ciężko dziś sobie przypomnieć takie szczegóły). Przed domem w którym nocowałem stał

samochód z milicjantami, cały czas na włączonym silniku, było bowiem w tym czasie około 40 stopni mrozu. Całą noc jednak obserwowali.

W dniu następnym zebrali się kilka osób, poszliśmy obejrzeć kościółek z zewnątrz, znalazł się jednak klucz i weszliśmy także do wnętrza byłej świątyni, w której teraz znajdowała się typowa scena do występów, kinowe foteliki i miejsce na projektor filmowy. Wszystko w procesie postępującej dewastacji. Na jednej ścianie zobaczyłem napis po rosyjsku – POLSKA. Zrobiłem kilka zdjęć swoim zenitem, a po obiedzie zebrałem się w drogę do Tomsku. Poszedłem na drogę wylotową z Białegostoku doczekać jakiejś okazji, by dojechać do centrum rejonowego w Kriwoszeinie, a stamtąd było już regularne połączenie z Tomskiem. Niby przypadkowo podjechał samochód z komendantem kriwoszeińskiej milicji – oficer otworzył drzwi i zaprosił do środka. Jadę do Kriwoszeina, mogę podrzucić – powiedział. Oczywiście skorzystałem. Na dworcu w Kriwoszeinie poczekał aż przybędzie autobusik do Tomsku, kierowcy zabronił wziąć ode mnie pieniędzy za bilet. Z Tomsku pojechałem potem do Nowosybirsk, skąd miałem samolot bezpośredni do Wilna. Akurat trafiłem na tragiczne wydarzenia wileńskiego stycznia 1991 roku, w których wziąłem udział, ale to już inna historia.



Pomnik poświęcony represjonowanym Polakom na Ziemi Tomskiej.
Projekt i zdjęcie W. Chaniewicz.

Do Białegostoku przyjeżdżałem potem jeszcze parokrotnie. Cieszył mnie widok pięknie wyremontowanego kościoła. Pamiętam, że ksiądz Andrzej Duklewski przyjeżdżał z Tomsku w niedziele i święta by odprawiać tu Msze św., spowiadać, udzielać Komunii świętej oraz wspierać wiernych w ich duchowej potrzebie. Współpracowałem wówczas z dwoma polskimi stowarzyszeniami w Tomsku – „Orzeł Biały” (prezes Wasyli Chaniewicz) i „Dom Polski” (prezes Nina Moisiejenko). W latach 2001-2004 byłem współorganizatorem i kierownikiem letnich szkół kultury i języka polskiego pod nazwą „Bliżej Ojczyzny”, w której uczestniczyły dzieci i młodzież polskiego pochodzenia z Tomsku, Krasnojarska, Bijska, Barnaulu, Ułan Ude. Gdy przygotowywałem

V edycję tej szkoły letniej w roku 2005, rosyjski konsul w Warszawie odmówił mi wydania wizy. Stałem się w Rosji personą *non grata*.

W Białymstoku odsłonięto pomnik, poświęcony represjom z 1937-1938 roku. Natomiast w Połozowie (nieistniejąca już wieś odległa od Białegostoku o około 60 km), które przeżyło podobną tragedię, wzniesiono w roku 2003 metalowy krzyż, na tablicy umieszczono nazwiska mieszkańców zamordowanych przez NKWD. Powstanie tych znaków pamięci wspierał wówczas Andrzej Przewoźnik, przewodniczący Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, która idei tej udzieliła także finansowego wsparcia. Historią Białegostoku od wielu lat zajmuje się Wasyli Chaniewicz, białostoczanin. Jest on autorem książki pt. *Tragedia syberyjskiego Białegostoku*, Pelplin 2008 poświęconej wydarzeniom z lat 1937-1938, opowiadającej o mieszkańcach tej syberyjskiej wsi, którzy „modlili się za Polskę, cierpieli i umierali. Czynili to daleko od swojej Ojczyzny, na dalekiej Syberii”. Ponadto zajmuje się on historią Polaków na Syberii oraz jest autorem wielu prac z tego zakresu, między innymi słownika biograficznego pt. *Poljaki w Tomskie (XIX-XX ww.). Biografii*, Tomsk 2012.

Za działalność w dziedzinie krzewienia historii i kultury polskiej na Syberii nagrodzony został Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej oraz prestiżową nagrodą „Przeglądu Wschodniego”, wydawanego przez Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego! Z osobą W. Chaniewicza łączy się również porozumienie o współpracy naukowej Ośrodka Badań Wschodnich Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego zawarte z Uniwersytetem Pedagogicznym w Tomsku.

Tu pragnę zaproponować, aby Ośrodek ten podjął trud polskiej edycji wspomnianego słownika pt. *Poljaki w Tomskie...* Jego autor jest też prezesem stowarzyszenia „Orzeł Biały” w Tomsku, przewodniczy tomskiemu oddziałowi stowarzyszenia „Memoriał” oraz zainicjował utworzenie muzeum w piwnicach starej siedziby tomskiego NKWD, którego jest kierownikiem. W sąsiedztwie tego muzeum, z inicjatywy goszczących w Tomsku przedstawicieli Zarządu Głównego Związku Sybiraków Antoniego Kuczyńskiego i Janusza Przewłockiego wzniesiono symboliczny pomnik poświęcony „Pamięci Polaków ofiar stalinowskich represji na Ziemi Tomskiej w latach 1930-1956”, a trud urealnienia tej idei oraz projekt pomnika to kolejny trwały znak wielorakiej działalności W. Chaniewicza dotyczącej związków polsko-tomskich!

Wasia – dziękujemy Ci za to serdecznie!

AGNIESZKA KRÓLCZYK

POLSKIE RELACJE Z SACHALINU – KONIEC XIX WIEKU

Anna Stogowska od wielu lat zajmuje się historią Płocka i ziemi płockiej, w szczególności zaś XIX i XX stuleciem. Nie jest więc zaskoczeniem, że jej uwagę zwrócił, dotąd niepublikowany, tekst Edmunda Płoskiego. Współtwórca I Proletariatu, spisał swoje wspomnienia z konspiracji i lat spędzonych na sachalińskiej katordze, niedługo przed śmiercią. Obecnie znajdują się one w rękach potomków Płoskiego, a ich kopia została oddana do Biblioteki Narodowej.

Edmund Płoski, urodzony w guberni płockiej, po ukończeniu prawa na Uniwersytecie Petersburskim i powrocie do kraju, rozpoczął współpracę z Ludwikiem Waryńskim. Aresztowany w 1883 r., został osadzony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej, a po dwóch latach, pod koniec 1885 r., skazany na 16 lat katorgi na Sachalinie¹. Jego wspomnienia są ważne nie tylko z uwagi na osobę autora. Już pierwsze fragmenty tekstu pokazują, że mamy do czynienia z niezwykle cennym materiałem poświęconym syberyjskim losom Polaków. A. Stogowska przytacza w swoim artykule m.in. ciekawy i rzadki w polskiej historiografii opis wysyłania na odległą wyspę skazańców: tułaczki po kolejnych więzieniach rosyjskich, nieludzkie warunki przetrzymywania i traktowania w nich aresztantów, upokarzające rewizje osobiste; następnie załadunek na statek w Odessie, podróż na Daleki Wschód pod pokładem statku. Jak wskazują obszernie cytaty, równie ciekawego materiału dostarcza pozostała część wspomnień opisująca życie na Sachalinie – warunki bytowe katorżników, relacje między nimi i z władzami. Na odległej wyspie Płoski spędził 12 lat życia (od pewnego momentu z żoną, która przyjechała tam za mężem), przeszedł przez wszystkie etapy katorżniczego losu, następnie przeniósł się do Błagowieszczeńska. Po rewolucji 1917 r. udało mu się przez Japonię wyjechać z Rosji i powrócić do ojczyzny.

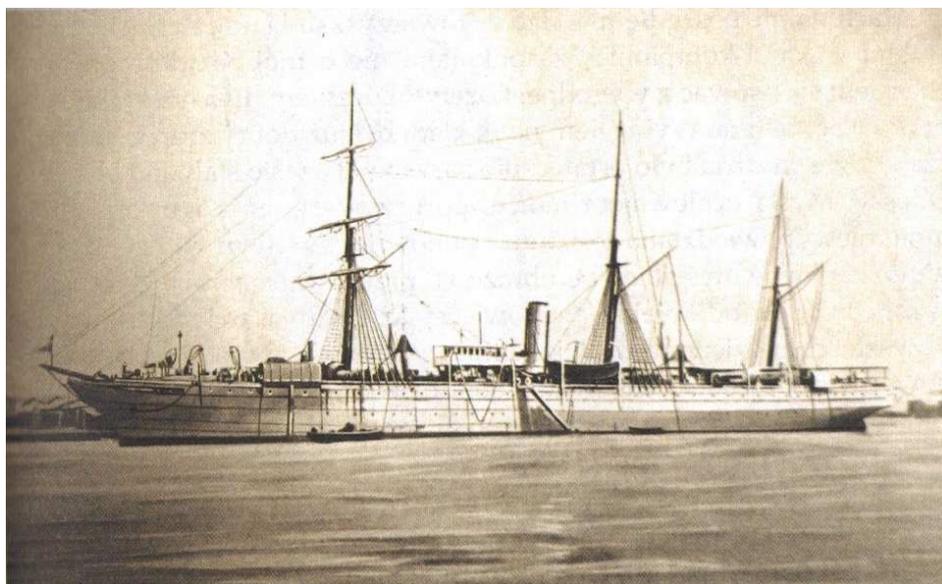
Polskich relacji z Sachalinu zachowało się niewiele. Oczywiście, informacje o życiu na odległej wyspie znaleźć możemy w spuściznie Bronisława Piłsudskiego² – osoby, która najsilniej wiąże się w naszej historiografii z tą odległą wyspą. Zasłynął on przede wszystkim jako badacz kultury materialnej i duchowej Ajnów i Niwchów. Jego sachalińska biografia przypomina losy Płoskiego. Skazany za udział w zamachu na Aleksandra II został wysłany

¹ A. M. Stogowska, *Okrętem na zesłanie. Edmund Płoski na Sachalinie*, „Zesłaniec” 2012, nr 51, s. 19-36.

² Zob. m.in. prace A. Kuczyńskiego i Z. Wójcika. Etnograficzną spuścizną B. Piłsudskiego zajmował się też A. Majewicz.

na rosyjski Daleki Wschód dokładnie rok po Płoskim (latem 1887 r.), pod pokładem tego samego statku (Niżnyj Nowgorod). Niezwykle realistyczny opis warunków podróży, relacji między więźniami przedstawił w listach do najbliższych³. Uwagę zwraca zbieżność wrażeń, opisów obu polskich skazańców, m.in. w ukazaniu tragicznych warunków transportu więźniów drogą morską na rosyjski Daleki Wschód. Tak w jednym z listów do ojca opisywał je Piłsudski:

[...] bardziej niż wszystko inne dotykał nas tworzący się w zamknięciu zaduch [...]. Opary z suszących się przemokniętych rzeczy, nasz pot szybko wypełniały całe pomieszczenie, tworzyły zaduch i smród nie do wytrzymania. Każda słaba nawet fala na morzu, doprowadzała nas wszystkich, poza nielicznymi wyjątkami, do stanu godnego litości, ale równocześnie wywołującego wstręt (odrazę). Woda przedostająca się przez iluminatory, które nie zostały w porę zamknięte, zalała całą podłogę. Mimo to wszyscy leżeli na podłodze, tarzając się we własnych wymiotach, odmawiając jedzenia i w chwilach rozdrażnienia pragnąc szybszej śmierci⁴.



Parostatek „Niżnyj Nowgorod”, na którym Edmund Płoski płynął na Sachalin.

Przebywając na Sachalinie Piłsudski koncentrował się na pracy naukowej – badaniach meteorologicznych, a przede wszystkim etnograficznych. One stanowią główny trzon jego spuścizny. O jego życiu na rosyjskim Dalekim Wschodzie dowiadujemy się m.in. z listów, relacji innych (w tym także od Płoskiego, który do swoich wspomnień dołączył fragment poświęcony Piłsudskie-

³ „Dear Father!” *A Collection of B. Piłsudski's letters, et alii*, Ed. Koichi Inoue, Sapporo 1999; A. Kuczyński, *Kochany Ojcie! Raz jeszcze pozwolono mi napisać do Ciebie...*. *Listy Bronisława Piłsudskiego*, „Literatura Ludowa” 1999, nr 4-5, s. 95-103; Z. Wójcik, *Z nieznannej korespondencji zesłańczej Bronisława Piłsudskiego*, „Niepodległość i Pamięć” 1996, nr 2 (6), s. 153-160.

⁴ A. Kuczyński, op. cit., s. 95; por. A. Stogowska, *Okrętem na zesłanie. Edmund Płoski na Sachalinie*, „Zesłaniec” 2012, nr 51, s. 26-27.

mu), a także z zachowanego dziennika⁵. Dziennik ten, niewielki objętościowo, obejmujący okres od 1 maja 1891 do 28 marca 1892, odnosi się ściśle do spraw rolniczo-gospodarczych. Składa się z krótkich, codziennych zapisków, z okresu, gdy razem ze swoimi towarzyszami z zesłania zajmował się prowadzeniem gospodarstwa w Rykowskoje. Piłsudski notował w nich m.in. dokładne dni sadzenia warzyw, informacje dotyczące prowadzenia ogrodu, pogody, zbierania i sprzedaży siana czy prac wykonywanych na rzecz katorgi (np. wyrębu lasu). Czynił to zapewne z myślą by określić najbardziej optymalny czas dla ich uprawy. Takie dane mogły się okazać niezwykle ważne dla sachalińskiej egzystencji, gdzie okres wiosenno-letni trwa bardzo krótko.



Skazańcy podczas podróży na Sachalin.

Opis Sachalinu końca lat 80. XIX w. znajdziemy także we wspomnieniach innego Polaka – Lucjana Jurkiewicza. Jednakże ma on zdecydowanie inny charakter niż wspomnienia Płoskiego czy listy Piłsudskiego. Pochodzący z Wielkopolski Jurkiewicz w 1856 r. ukończył dwuletnią Królewską Akademię Rolniczą w Prószkowie koło Opola. Następnie przez 30 lat pracował jako zarządca dóbr u bogatych ziemian, najpierw w zaborze pruskim, a po 1865 r. w zaborze rosyjskim. W 1886 r., mając 53 lat, otrzymał propozycję (zapewne w wyniku wcześniejszych starań) od naczelnika wyspy Sachalin, objęcia tam posady inspektora rolnego (agronoma). Niewątpliwie z wyjazdem na Daleki Wschód wiązał Jurkiewicz duże nadzieje, bowiem stanowisko inspektora rolnego wiązało się dla niego z awansem społecznym (dawało mu przywilej szlachectwa osobistego) i finansowym.

⁵ *Бронислав Пилсудский. Сахалинский дневник, Известия. Института наследия Бронислава Пилсудского, № 1, ЮЖНО-САХАЛИНСК 1998, s. 89-107; dostęp elektroniczny: <http://panda.bg.univ.gda.pl/ICRAP/ru/izv1-6.html> [dostęp z dnia 10.03.2016]*

Ze swojej podróży na rosyjski Daleki Wschód oraz z pobytu na Sachalinie przez dwa lata, zostawił zapiski – rodzaj bardzo nieregularnie prowadzonego dziennika⁶. Co ciekawe, na Sachalin płynął na tym samym statku co Płoski, jednakże na górnym pokładzie, w skrajnie odmiennych warunkach. W ten sposób opisywał kolejny dzień na statku Niżnyj Nowgorod:

[...] dotąd bardzo nam wygodnie – dobrze nas karmią, cztery razy dziennie, wszyscy dobrego apetytu i humoru; rano przed herbatą kąpiemy się pod tuszem, a od godziny drugiej z południa w marmurowej wannie; do stołu dają wyborny koniak w karafkach bez ograniczenia⁷.

Jednocześnie o przewożonych pod pokładem więźniach pisał, iż „to są zbrodniarze, ludzie nieuznający praw i porządku społecznego, ni życia i własności bliźniego”⁸.

W dalszej części swoich zapisków Jurkiewicz koncentruje się na przedstawieniu przyrody wyspy, prac, jakie spoczywały na nim jako na agronomie, m.in. opisuje wyprawy w głąb wyspy w poszukiwaniu terenów pod budowę nowych osad; z powodu dużej liczby soboli dostrzegł możliwość zorganizowania na Sachalinie ich fermy. Znacznie mniej miejsca poświęcił życiu tamtejszej elity urzędniczej (do których i on się zaliczał), a także katorżników i przymusowych osadników – choć i one są tam obecne. Po dwóch latach – jesienią 1888 r. – Jurkiewicz opuścił Sachalin i udał się do Błagowieszczeńska. Nie wiemy, czy poznał się na Sachalinie z Piłsudskim, ale z całą pewnością zawarł znajomość z Płoskim. Świadczy o tym m.in. wzmianka we wspomnieniach Płoskiego, iż to dzięki pomocy Jurkiewicza ocalał kufer z rzeczami Płoskiego wysłany na wyspę przez rodzinę z Kijowa.

Każdy z autorów przedstawił Sachalin inaczej, co innego zwracało ich uwagę. Jednakże przy tak niewielkiej liczbie polskich relacji z rosyjskiego Dalekiego Wschodu, wydanie wspomnień Płoskiego wydaje się wręcz niezbędne. Ich lektura z całą pewnością wzbogaciłaby naszą wiedzę o ludziach, żyjących na krańcach imperium, ich postawach i odczuciach w obliczu skrajnych warunków egzystencji. Stanowią one także fragment polskich syberyjskich losów, które poszerzają o opisy nowych wydarzeń, a zarazem „obudowują” szczegółami znane już postacie i zdarzenia, ocalając je w ten sposób od zapomnienia. W cytowanych przez Annę Stogowską fragmentach widać autentyczność opisu, uderza dokładność, drobiazgowość zapamiętanych realiów zesłańczego życia (jak choćby opisy kolejnych więzień, rewizji przed wyjazdem na wschód, podróży statkiem). Nie można też zapominać, iż razem z Płoskim w latach 1886 i 1887 zesłano na Sachalin trzynastu innych polskich działaczy politycznych, których nazwiska przewijają się w jego wspomnieniach⁹.

⁶ L. Jurkiewicz, *Opis podróży i pobytu na Sachalinie*, opracowanie A. Królczyk, J. Chodera, Kórnik – Poznań 2014. Obie ilustracje w tekście pochodzą z tej książki.

⁷ Ibidem, s. 35.

⁸ Ibidem, s. 28.

⁹ Oczywiście, Sachalin był miejscem zesłania wielu Polaków skazanych za przestępstwa kryminalne. Zob. m.in. M. I. Iszczenko, *Polacy na katordze sachalińskiej*, [w:] *Syberia w historii i kulturze narodu polskiego*, pod red. A. Kuczyńskiego, Wrocław 1998.

STANISŁAW DZIENISIEWICZ

KOZIELSK, PRZEDPIEKLE KATYNIA

W wyniku wkroczenia wojsk radzieckich 17 września 1939 r. na tereny wschodnie Rzeczypospolitej do niewoli radzieckiej trafiło wielu generałów i oficerów, podoficerów oraz szeregowych żołnierzy. Ci pierwsi znaleźli się w obozach jenieckich, by między kwietniem a majem 1940 r. zostać zamordowanymi między innymi w Katyniu i Charkowie. Wśród nich byli również oficerowie Marynarki Wojennej. Podoficerowie i marynarze, o ile uniknęli rozstrzelania w pierwszych dniach niewoli, zostali wywiezieni na bezkresne tereny Syberii, gdzie zostali osadzeni w łagrach rozsiągniętych po całym terytorium północnego-wschodu ZSRR.

Spośród oficerów wziętych do niewoli została wydzielona grupa, której było dane przeżyć tę tragedię i w końcu dotrzeć do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Kryteria, jakimi kierowały się władze radzieckie przy tej selekcji, do dnia dzisiejszego pozostają tajemnicą. I chyba raczej nikomu nie uda się już rozwikłać tej zagadki. Jednym ze szczęśliwców, któremu dane było uniknąć śmierci był komandor Stanisław Tytus Dzienisiewicz (4 stycznia 1897 r. – 14 VI 1979 r.). Swoją aktywność wojskową w Wojsku Polskim rozpoczął podczas I wojny światowej w I Korpusie Polskim gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego, jako ułan 1 Pułku Ułanów Krechowieckich. W roku 1918 służył w pułku 4 Dywizji Strzelców gen. Lucjana Żeligowskiego na Kubaniu, potem zaś uczestniczył w wojnie radziecko-polskiej. Od VIII 1923 do VII 1925 r. był słuchaczem Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej w Toruniu. Po jej ukończeniu służył na licznych okrętach Marynarki Wojennej. We wrześniu 1939 znalazł się w pociągu ewakuacyjnym Kierownictwa Marynarki Wojennej udającym się do Pińska. Tutaj został wzięty do niewoli i przewieziony do obozu w Kozielsku skąd trafił do Griazowca, a następnie do Buzułuku, gdzie znajdował się punkt zborny Wojska Polskiego – przyszłej armii gen. Władysława Andersa. Stamtąd jego szlak tułaczy prowadził do Murmańska skąd na pokładzie brytyjskiego krążownika przybył do Wielkiej Brytanii. Z dniem 20 I 1942 r. został wcielony do Polskiej Marynarki Wojennej. Pełnił służbę na polskich okrętach ORP „Piorun”, ORP „Kujawiak”, ORP „Dragon”, ORP „Conrad”. Po wojnie pozostał na emigracji w Wielkiej Brytanii.¹

Przytoczony poniżej tekst autor spisał jako wspomnienia z przeżyć w niewoli radzieckiej w latach 1939-1940. Zostały one opublikowane w wydawanym w latach 1945-2005 w Londynie czasopiśmie środowiska kombatantów Marynarki Wojennej „Nasze Sygnały”². Na podstawie tych wspomnień czytelnik ma okazję zapoznać się

¹ *Kadry Morskie Rzeczypospolitej t. II Polska Marynarka Wojenna cz. I Korpus oficerów 1918-1947* pod red. Jana Kazimierza Sawickiego, Wyższa Szkoła Morska, Gdynia 1996 s. 328.

² O tym czasopiśmie zob. W. Pater, *Pismo Stowarzyszenia Marynarki Wojennej, „Nasze Sygnały”*; *Biuletyn Historyczny Dowództwo Marynarki Wojennej – Muzeum Marynarki Wojennej*, Gdynia 2007, nr 22, s. 204-232.

z warunkami życia obozowego. Dają one również możliwość poznania świadomości i morale żołnierzy radzieckich oraz ich nastawienia do polskich jeńców. Daje to wyobrażenie o poziomie indoktrynacji, jakiej poddawany był każdy żołnierz Armii Czerwonej. Choć opublikowane wspomnienia zostały spisane wiele lat po zakończeniu wojny, to ich wartość polega na tym, iż pochodzą od człowieka, który był uczestnikiem opisywanych wydarzeń. Język polski, jakim posługuje się autor jest nieco archaiczny. Dowodzi to, że nie miał on bezpośredniego i częstego kontaktu z żywym i współczesnym językiem polskim. W przytoczonym fragmencie tych wspomnień została zachowana ich oryginalna pisownia.

Andrzej Kotecki

*

[...] Jako jeden z nielicznych żyjących jeszcze byłych więźniów Kozielska, którzy nie wiadomo dlaczego uniknęli Katynia, kreślę swe wspomnienia w nadziei, że się na coś przydadzą przede wszystkim jeśli chodzi o nazwiska nie tylko kolegów marynarzy, ale i oficerów innych broni, których spotkałem w Kozielsku, a o których historia milczy.³ W Kozielsku miałem możliwość rozmawiać z pilnującymi nas politrukami i innymi Rosjanami a rozmowy z nimi mogą mieć swoją wymowę. Ciesząc się w 75-tym roku życia dobrym zdrowiem nie wątpię, że uda mi się doprowadzić do końca zaczęta tak późno, bo dopiero po 30 latach opowieść o niewesołych przeżyciach w przedpieklu Katynia.

Gdy w październiku 1939 roku długa kolumna jeńców polskich zbliżała się do Kozielska, w pierwszych szeregach mijających druty kolczaste obozu był kpt. mar. Lubinkowski i kpt. inż. Niemirski.⁴ Szli ze śpiewem na ustach dla dodania sobie odwagi, a może dla tego, by pokazać bolszewikom, że drwią sobie z nich i ze swego smutnego losu. Ja maszerowałem w jednym z tych szeregów. Zaraz za mną szedł por. Weinryb, a obok niego z karabinem „*na izgotowku*”, to znaczy gotowym do strzału, maszerował strażnik o wyglądzie starozakonnego. Porucznik. Weinryb przemówił do niego po żydowsku. Strażnik natychmiast założył karabin na ramię i zaczął rozmawiać. Gdy potem zapytałem Weinryba czy jego rodak nie zakomunikował mu coś ciekawego, co by dotyczyło nas, odpowiedział: „Panie Komandorze, on nie jest nasz, on jest więcej komunistą niż Żydem, wypytywał mnie o moje sprawy osobiste, a o naszych dalszych losach nie chciał powiedzieć”. Być może kolega Weinryb otrzymał w Katyniu kulę w tył głowy z ręki swego rodaka Żyda-komunisty.

Kozielsk, niegdyś gniazdo rodzinne książąt Puzynów, urządzone został przez bolszewików jako obóz dla jeńców wojennych. Domy mieszkalne były w stosunkowo dobrym stanie. Cerkiew, największy budynek na terenie obozu, urządzone został przez bolszewików jako pomieszczenie dla jeńców. Wewnętrzne urządzenia cerkiewne były już dawno usunięte a na ich miejsce wstawiono dwupiętrowe nary drewniane. Tysiące ludzi można było tam umieścić tym bardziej, że bolszewicy nie zwracali uwagi na ciasnotę i niewygody mówiąc ironicznie „*plantrujtie, kak chotitie*”. Ponieważ byliśmy pierwszą partią jaka przyszła do obozu, umieszczono i nas względnie wygodnie w budynkach mieszkalnych, zaraz wydano nam dużo chleba, trochę herbaty i cukru, tak, że głodni nie byliśmy. Żywność rozdzielił jeden z naszych pułkowników, Mara-Mayer niepozbawiony zmysłu gospodarczego i poczucia humoru.

³ Z racji swojej kariery wojskowej, w tym środowisku miał wielu kolegów.

⁴ Zob. biogramy na końcu artykułu.

Zaraz na wstępie, miejscowi politrucy zajęli się sporządzaniem spisu „wojennoplennych”. Tak nas oficjalnie nazwano. Na razie chodziło im tylko o dane personalne. Imię własne, imię ojca, nazwisko, wiek i stopień wojskowy. Słyszałem jak zapytano stojącego przede mną starego płk. rez. Malinowskiego: „*kak wasza familia?*” Nie znając języka rosyjskiego, odpowiedział „Dziękuję, ale nie wiem bo dawno nikogo z rodziny nie widziałem” – „Co on mówi?” – zapytał politruk, wytłumaczyłem o co mu chodzi. Politruk posadził mnie obok siebie jako tłumacza. Większość jeńców znała jednak język rosyjski, tak, że niewiele się napracowałem. Zjadłem za to lepszy obiad w towarzystwie politruka, który okazał się dość gadatliwym osobnikiem. Chwalił reżim komunistyczny mówiąc: „Ja mając lat 15 w 1917 roku nie umiałem czytać i pisać, a teraz jestem inżynierem i potrafię nawet traktor prowadzić”. – „Do tego nie trzeba być inżynierem” – odpowiedziałem. „Traktor można prowadzić nawet nie umiejąc czytać i pisać. Co innego naprawić”. W pewnej chwili zapytał mnie, czy wierzę w Boga. Odpowiedziałem, że wierzę. „Jak można wierzyć w coś, co nie istnieje?” – zapytał ze zdziwieniem. „A skąd ty wiesz, że Bóg nie istnieje?” – zapytałem z kolei. „Wiem” – odpowiedział – „ponieważ istnieje tylko to, co możemy ujrzyć własnymi oczyma”. Ponieważ wysuwanie jakichkolwiek argumentów filozoficznych, a tym bardziej teologicznych byłoby bezskuteczne, uprościłem sobie sprawę zapytaniem: „Czy ty wiesz, co to jest trajektoria?” Z milczenia jego wywnioskowałem, że albo nie wie, albo nie rozumiał pytania. „Trajektoria” – wyjaśniłem – „to jest linia, po której leci wystrzelona kula”. – „A tak wiem. No więc co?” – zapytał. „Ty przecież trajektorie nie widzisz, ani nawet lecącej po niej kuli”. – „Nie widzę” – przyznał. „Ale one istnieją, i trajektoria i lecąca po niej kula, której świst słyszysz” – rzekłem. „No tak” – przyznał – „ty jesteś bardziej wykształcony ode mnie i w sprawach technicznych zawsze będziesz miał rację”. „Bóg istnieje chociaż go nie widzimy” – powtórzyłem. „Ale my obywatele sowieccy nie mamy żadnych religijnych przesądów burżuazyjnych. Zresztą wcześniej czy później będziemy rządzić w Londynie i New Yorku i tam „wsiech pierewospitajem” – rzekł z dumą. „Czy macie zamiar wojować?” – zapytałem. „Nie” – odpowiedział – „poczekamy, aż wybuchnie *wsiemirnaja* rewolucja”. „*Wsiemirnaja?*” – zapytałem z udanym zdumieniem – „to znaczy na całym świecie?” – „*Nu da*” – odpowiedział poważnie. „To znaczy w Związku Sowieckim też?” – zapytałem z głupia frant. Politruk opuścił bezradnie ręce z ciężkim westchnieniem. „*Niczewo ty nie ponimajesz*” – rzekł wreszcie ze złością – „a ja tak chciałem żebyś coś zrozumiał”.

Wracając pod wieczór do baraku, w którym mieszkaliśmy, słyszałem urywek rozmowy miejscowego strażnika z jednym z naszych żołnierzy Żydków. „My wiemy – mówił strażnik (z wyglądu tępy i mało inteligentny „mużyk” rosyjski) – że u was w sklepach wszystko jest ale tylko dla bogatych burżujów. Przed każdym sklepem stoi żandarm i „*raboczich nie puskajet*”. Zdumiony Żydek powiedział tylko „*durak ty*”. – „*A u nas wsiego mnogo*” – kontynuował strażnik. „U was mnogo, ale tylko gó...” – brzmiała drwiąca odpowiedź. „A kinematografy u was jest?” – zapytał strażnik. Żydek uśmiechnął się pogardliwie: „Jakbyś zobaczył u nas w Radomiu kino Palace, to byś się zesz...”.

Były wypadki niezaradności jeńców raptownie oderwanych od normalnego życia. Jeden z nich, korzystając z chwili nieobecności politruka, powiedział mi szeptem z odcieniem przestachu, że pracował w kontrwywiadzie w Warszawie i zapytał, czy może to powiedzieć politrukowi, gdyby go zapytał,

co robił w wojsku. Odpowiedziałem nie bez ironii: „Jeżeli pan naprawdę nie wie co można mówić, a czego i nie można, to niech mu pan powie że służył w kompanii wartowniczej do ochrony zamku nad Wisłą w Warszawie”.

Następnego dnia przybyła nowa partia jeńców z przejściowego obozu w Talicy na północy Rosji; wśród nich znajdowali się oficerowie Marynarki Wojennej. Admirał. Czernicki, kmdr por. inż. Kamiński, kmdr por. inż. Sadowski, płk. lek. Moszczeński, mjr. lek. Drzymkiewicz, płk. inż. Pawlikowski, kpt. int. Idzi Grudniewicz, kapt. int. Mrożek, publicysta marynarki J. Ginsbert, a także b. oficer mar. ros. Józwikiewicz, który w 1917, po przewrocie bolszewickim, został wtrącony do więzienia jako oficer „carskowo flota”, ale wkrótce zwolniony, jako że był Polakiem i odesłany do Polski. Był on wybitnym specjalistą broni podwodnej, zwłaszcza min. Tym razem nie udało mu się wymknąć z rąk bolszewickich i zginął w Katyniu. Przybył także kmdr inż. Żejma, z którym 2 lata spędziłem w niewoli i razem z nim przybyłem do Londynu, gdzie umarł w 1951 r.⁵ W jednej z następnych partii przybył kpt. mar. w st. spocz. Staszkiwicz w mundurze oficera art. , który ujrzawszy mnie szepnął: „Ty tylko nie mów im, że ja służyłem w „ruskom flotie”. Nic mu to nie pomogło, że nie powiedziałem, gdyż zginął w Katyniu. Przybył także doradca prawny (nazwisko zapomniałem) Dowódcy Floty w Gdyni i kilku urzędników Kierownictwa Marynarki Wojennej. Od kpt. mar. Małuszyńskiego dowiedziałem się, że oficerowie Marynarki Wojennej. Jodkowski i Maj zostali zamordowani w Pińsku przez miejscowych komunistów jeszcze przed wkroczeniem wojsk sowieckich. Kpt. mar. Marzecki opowiadał mi, że z Pińska wyjechał do pobliskiego majątku państwa Ordów. Pan Orda i jego żona zostali zamordowani przez miejscowych chłopów – komunistów, a on sam, dowiedziawszy się o tym zaczął rozkopywać świeże jeszcze groby w poszukiwaniu zwłok swej żony, która jak przypuszczał wyjechała do Bizerewicz i została wraz z właścicielami majątku zamordowana.

Wśród jeńców spotkałem kilkudziesięciu znajomych oficerów innych broni, zwłaszcza z kawalerii jak: płk. Kuleszę, b. d-cę kadry 14 p. Uł. Jazłowieckich, mjr Massalskiego, b. d-cę 4 szwadronu 14 p. uł., pchr. rez. późniejszego doktora chemii Pniewskiego z tego samego pułku, chor. Leszczyńskiego mojego ziomka z Radomska, mjr art. Sałęgę, kolegę z 2 szwadronu 1 p. uł. w korpusie polskim gen. Dowbora i innych.

Kilku generałów i kilkudziesięciu starszych oficerów: pułkowników, podpułkowników i majorów otrzymało wygodniejsze lokale. Każdy z nas miał żelazne łóżko z siennikiem wypchanym słomą, poduszką i kocem. Młodszy oficerowie i szeregowi (tych ostatnich było niewiele; znaleźli się oni w naszym obozie chyba przypadkowo) zapewnili gorsze pomieszczenia, głównie cerkiew, spali na narach jedno i dwupiętrowych.

Po rozlokowaniu ostatniej partii przybyłych jeńców władze obozowe zajęły się przesłuchiowaniem wojennoplennych. Odbywało się to w gabinecie kombriga (komandir brigady – ówczesny stopień wojskowy przemianowany później na generał majora). Kombrig Zarubin przesłuchiwał jeńców osobiście, asystował mu politruk Aleksandrowicz z pochodzenia Polak, który zawsze jednak rozmawiał z nimi po rosyjsku. Raz tylko, gdy na terenie obozu w pobliżu magazynu żywnościowego powstał pożar zawołał głośno najczystsą polszczy-

⁵ Wg *Kadry Morskie...*, op. cit., zmarł w 1949 r., s. 527-528.

zną: „Panowie na miłość Boską ratujcie!” Ale zaraz umilkł. Przesłuchiwanie mnie polegało prawie wyłącznie na tym co im opowiadałem o podróżach zagranicznych. Z nieukrywanym zaciekawieniem słuchali moich prawdziwych i zmyślonych opowiadań o latających rybkach, oswojonych krokodylach, śpiących na powierzchni wody żółwiach, o polowaniach na wieloryby (czego nigdy w życiu nie widziałem) itd. W pewnym momencie obaj spojrzeli na zegarki, z czego wywnioskowałem, że na właściwe przesłuchanie mnie jako wojenno-plennego chyba już nie będzie czasu. I tak się stało; podziękowali mi uprzejmie i kazali odejść. Może już wtedy zapadło postanowienie nie wysyłania mnie do Katynia. Nawiasem mówiąc, gen. Zarubin niedługo potem został wysłany do Londynu jako sowiecki attaché wojskowy.

Podstawą wyżywienia w obozie był chleb czarny, zresztą zupełnie dobry, którego dawano dużo, bo 1 kg dziennie (później w okresie wojny z Niemcami rację zmniejszono do $\frac{3}{4}$ kg), ale poza tym wyżywienie było skąpe: na obiad wodnista zupa bez kartofli, w której pływały ziarnka kaszy, na kolację herbata z chlebem. Od czasu do czasu do obozu przybywał sklepik (*tariok*), przywożąc zapałki, machorkę, papierosy, słodkie bułeczki i różne drobiazgi, jak igły, nici, guziki. Od razu ustawiał się długi ogonek kupujących; zaledwie połowa z nich mogła coś kupić; reszta wracała z niczym. Jednak każdy z kupujących, czy chciał czy nie, musiał kupić przynajmniej jedną paczkę kisielu owsianego, którego bolszewicy widocznie mieli dużo i chcieli się go pozbyć, a który był zupełnie dobry.

W obrębie obozu, za dnia mogliśmy poruszać się swobodnie i nawet odwiedzać znajomych w innych budynkach. W jednym z nich przebywał kolega mój, jeszcze z czasów „kubańskich” w 1918 r., Wodzianicki. Opowiadał mi, że w czasie schwytania omal nie został przebity bagnetem przez zięjącego nienawiścią bolszewika, tak jak zginął jeden z oficerów polskich. Morderca – bolszewik wręczył miejscowemu wieśniakowi trzy ruble mówiąc: „*zaroj etu sobaku*”. Wśród jeńców znalazł się stary Żyd młynarz, który nigdy żołnierzem nie był i w rękę zawsze trzymał bat do poganiania koni. Opowiadał, że ponieważ eskortującym partię jeńców strażnikom jeden uciekł, więc żeby się liczba zgadzała wzięli pierwszego z brzegu, to znaczy jego, gdy wracał z wózkiem zaprzężonym w jednego konia do swego młyna. Wózek z koniem po prostu „zarekwirowali”. Było wśród jeńców kilku księży. Wielu jeńców, jak gdyby przeczuwając bliski koniec, przystępowało do spowiedzi i komunii świętej, oczywiście tak, by politycy tego nie spostrzegli, albowiem na żadne praktyki religijne, między innymi na odprawianie nabożeństw, nie pozwalali, mówiąc: „*nikakich religioznych predrazsudkow u nas byt nie mozet*”. Żadnych inspekcji nie przeprowadzano; raz tylko zajrzał do naszego pokoju jakiś zamiejscowy dygnitarz o mongolskich rysach twarzy. Gdyśmy chcieli wstać z łóżek rzekł „*łaskawie*”: „*nie biespokojties, lezytie siebie spokojno*”. Po czym wyszedł.

Do pracy nas nie zapędzano. Biblioteki w obozie nie było. Dla zabicia czasu graliśmy w brydża i spacerowaliśmy po obozie czytając wystawione na widok publiczny propagandowe hasła komunistyczne: „*kto nie rabotajet, tot nie jest*”, „*religia eto opium dla naroda*”, „*stalinskaja konstytucja samoja demokratyczeskaja*” itp. Od czasu do czasu słuchaliśmy odczytów kolegów. Głębokie wrażenie zrobił na nas odczyt kolegi Birnbauma, który w r. 1920 był w składzie

delegacji polskiej na konferencji pokojowej w Rydze. Powiedział on między innymi: „nie martwmy się koledzy, że oddzielono nas od ojczyzny drutami, na których jeszcze nie wiadomo kto będzie wisiał”. Jeżeli bolszewicy mieli aparaty podsłuchowe w naszych pomieszczeniach (a mogli je mieć) albo jeżeli im ktoś o tym doniósł (co jednak bardzo mało prawdopodobne) to nic dziwnego, że kolega Birnbaum jako jeden z pierwszych został wywieziony do Katynia. Pewnego dnia zobaczyłem na terenie obozu młodą kobietę w mundurze lotnika; spacerowała w towarzystwie lotników polskich; była córką generała Dowbór-Muśnickiego. Znaleziono jej zwłoki w Katyniu. Zbrodniarze bolszewicy nie oszczędzali nawet kobiet.

Od samego niemal początku dostania się do niewoli myślałem o ucieczce i w czasie codziennych spacerów badałem możliwości wydostania się poza ogrodzenie. Potem, to już chyba sobie radę dam – myślałem naiwnie – po prostu lasami na zachód do wybrzeża Bałtyku, a tam „zaokrętować się” na pierwszą lepszą żaglówkę i... do Szwecji. Przy tej okazji przypominałem sobie powiedzenie marynarskie jakie słyszałem we Francji. „Matko Boska chroń marynarzy na łądzie, bo na morzu sami sobie dadzą radę”.

Jeżeli chodzi o próbę ucieczki to w jednym miejscu można by próbować szczęścia wydostania się na zewnątrz, a mianowicie przez ogrodzenie tuż obok domku w którym mieszkałem. O projektach swych poinformowałem Lubinkowskiego i Miermirskiego pokazując im miejsce przyszłej ucieczki. Na razie postanowiliśmy poczekać na cieplejszą pogodę. Niestety, a może raczej na szczęście, z próby ucieczki trzeba było zrezygnować. Wybił mi ją z głowy nikt inny, tylko nie znany mi dotychczas przyjaciel – Rosjanin. Zauważyłem, że od pewnego czasu mnie obserwował, po czym upewniwszy się, że w pobliżu nie ma politruka podszedł do mnie mówiąc: Ja też jestem marynarzem, a marynarze jak bracia jednej wielkiej rodziny marynarskiej na całym świecie winni sobie pomagać. Zauważyłem, że szukasz wyjścia z obozu. Nie bądź *durak*. Druty kolczaste mają dzwonki elektryczne, a nawet gdyby ci się udało przedostać nastąpi pościg i psy cię rozszarpną. Takie wypadki tu były. Masz trochę machorki i „*proszczaj*”, po czym szybko oddalił się. Po krótkim namyśle zdecydowałem, że rada jego była dobra; w każdym bądź razie była szczerą. I był to człowiek dobry. Bolszewikom nie udało się wpoić uczucia nienawiści szerokim masom ludności do wszystkiego co nie jest komunistyczne pomimo usilnych starań, przy użyciu argumentów jak najbardziej kłamliwych i wręcz nieprawdopodobnych, jak zresztą przekonałem się o tym po wyjściu z niewoli przy bliższym zetknięciu się z ludnością rosyjską. Nie zdołali oni osłabić głębokiego uczucia religijnego ludu rosyjskiego i jak dawniej, w chatkach chłopskich wiszą na ścianach „ikony”, przed którymi palą się „lampady”. W walce z religią władzom bolszewickim udało się zlikwidować w wielu miejscowościach, przeważnie w miastach, cerkwie, które przerobiono na składy, stajnie, obory albo obozy koncentracyjne, a raczej miejsca odosobnienia dla osób „*socjalno-opasnych*” albo „*socjalno-dozrieliwnych*”.

Pisanie listów było zabronione. Toteż, gdy pewnego dnia mjr. lek. Szymkiewicz przybył do naszego pokoju z wiadomością, że władze obozowe zezwoliły na pisanie listów, postanowiliśmy skorzystać z okazji, nie łudząc się jednak zbyt nadzieją, że listy dojdą. Jak się później dowiedziałem, ani jeden z listów moich, pisanych w Kozielsku nie został otrzymany.

Jak już wspomniałem, wyżywienie w obozie, z wyjątkiem dużej racji chleba, było skąpe. Mnie jednak o palenie chodziło więcej niż o jedzenie, a machorkę dawano nam w bardzo ograniczonej ilości. Od czego jednak handel wymienny? Mnie wystarczyła ½ kilograma, a resztę chleba wymieniałem na machorkę u niepalących, a potrzebujących więcej chleba. W obozie był dość duży budynek łaźnienny, wodę do kotłów jeńcy nosili wiadrami. Wewnątrz budynku nadzór sprawowała młoda przystojna dziewczyna 18-to lub 20-letnia. Gdyśmy się krępowali rozbierać w jej obecności rzekła śmiejąc się: „Myślicie, że ja gołych mężczyzn nie widziałam? *Nu rozdiewajties*”.

W Związku Sowieckim był duży brak małych zegarków na rękę. A co za tym idzie duży popyt na nie. Do Kozielska przybył specjalny kupiec z Moskwy dla wykupywania zegarków; za duże i wartościowe zegarki płacił mniej, niż za małe i niewiele warte. Chodziło mu głównie o zegarki dla kobiet, które traktowały je raczej jako ozdobę, a nie do użytku normalnego.

Zima w r. 1939-1940 nie była zbyt ostra, aczkolwiek kilkanaście stopni mrozu dało się odczuć. Węgiel i drzewo na opał przywozili nam chłopci z pobliskiego kołchozu, którym nie wolno było z nami rozmawiać. Gdyby jeden z nich był na tyle nieostrożny, że przemówił do nas, przechadzający w pobliżu politruk Urbanowicz natychmiast zareagował ostro mówiąc: „*Oddaj orudia* (narzędzia pracy) i *bolsze rabotac nie budiesz*”. Oznaczało to pozbawienie środków do życia i... głód.

W pomieszczeniach mieliśmy ciepło. Dla zabicia czasu graliśmy w brydża, popijając czarna kawę. Nie wszystkim jednak tak dobrze się powodziło. Gdy pewnego dnia w styczniu, podczas trzaskającego mrozu, wyszedłem wieczorem na poszukiwanie węgla, zauważyłem kilkudziesięciu mężczyzn w ubraniach cywilnych pilnowanych przez uzbrojonych strażników, zmieniających się co godzinę. Próbowaliśmy dostarczyć im gorącej kawy, lecz straż odpędziła nas. Lekko odziani jeńcy prawdopodobnie zamarli na śmierć. Bolszewikom o to chodziło.

Jeńcy na ogół zachowywali się spokojnie. Byli nawet optymiści, którzy wierzyli, że będą niedługo zwolnieni i wrócą do kraju. Niektórzy nawet twierdzili, że Bolszewicy, w dużym stopniu, zmienili się na lepsze. Katyń wykazał, że istotnie zmienili się od r., 1917 ale na gorsze. Wypadki przygnębienia były rzadkie. Z Marynarki Wojennej chyba tylko nasz szef sł. zdrowia płk lek. Moszczeński był bliski rozpacz, jak gdyby przeczuwał, co go spotka. Pocieszał się jedynie myślą, że jego żonie z dziećmi udało się dostać na Węgry. Adm. Czernickiego ze względu na jego podeszły wiek, umieszczono w jednym pokoju z kilkoma lekarzami-Żydami, którzy pracowali w obozowej izbie chorych. Byli oni bardzo uprzejmi dla admirała i pomagali mu jak mogli, chociaż od razu zadeklarowali się jako komuniści. Admirał trzymał się bardzo dobrze i jeszcze innych podnosił na duchu. „Nie martwcie się zwłaszcza wy młodszy” – mówił, „zdołacie wydostać się stąd”. Mieszkający w tym samym pokoju, co ja płk. Ornatowski po całych dniach myślał o swoich małych córeczkach, haftując dla nich chusteczki, i mówił: „będą wiedziały, że tatuś o nich pamiętał”. Nie dowiedziały się, że tatuś pojechał z chusteczkami do Katynia. Zamożny przed wojną płk. rez. Żegiestowski chętnie opowiadał o swoich wyczynach brydżowych i pokerowych w klubie polskim w Gdańsku.

Pewnego zimowego wieczoru wpuściliśmy do pokoju dużego psa. Był zmarznięty i głodny. Zjadł spory kawałek chleba, położył się pod piecem i usnął. I odtąd codziennie rano wybiegał na zewnątrz a pod wieczór wracał i musiało się zdarzyć pewnego wieczora, że do naszego pokoju wszedł, prawdopodobnie w celu krótkiej inspekcji, milczący jak zwykle ponury i podejrzliwy politruk Wasilewski. Pies instynktownie wyczuł, że jest to nasz wróg, a skoro nasz, to i jego, i zaczął na niego groźnie warczeć. Politruk szybko wyszedł, lecz niespełna w pół godziny potem weszło do pokoju dwóch barczystych „bojców”. Jeden z nich miał długi sznur w ręku. Obwiązali nim szyję psa, nie bez trudności, gdyż się zawzięcie bronił i wyprowadzili oczywiście w celu zabicia go kijami, które trzymali w ręku. Oburzony do głębi krzyknąłem za nimi: „*Wy pokazywajecie premier istinno sowiejskiej kultury, krasnyje warwary*”. Koledzy powstrzymywali mnie od dalszych protestów w obawie możliwych represji ze strony czerwonych barbarzyńców.

W marcu 1940 r. zaczęto wywozić jeńców małymi partiami po 100-150 ludzi w nieznanym kierunku. Rosjanie nie zabraniali żegnać się z wywożonymi. Słyszałem jak jeden z nich rtm. rez. Kozieł-Poklewski, hodowca srebrnych lisów w majątku na Wileńszczyźnie zapytał politruka Gubałowa: „Chyba nas nie wystrzelacie w drodze?” – „*Da czto wy, czto wy*” – zaprotestował politruk. Dostrzegłem jednak złowrogie błyski w jego oczach. Kmdr inż. Kamiński, gdy mu kazano „*sobieratsa z wieszczami*” pobiegł zdenerwowany do Zarubina i nie przypominam sobie czy co wskórał, ale obaj trafili do Katynia. Płk. Stępkowski, wyciągając świeżo podzelowane buty, powiedział z humorem „Teraz mogę jechać na Syberię”. Pojechał w przeciwnym kierunku do Katynia. Majorowie kawalerii Koczak i Platonoff pojechali razem z nim. Żegnając się z kpt. mar. Lubinkowskim dałem mu trochę machorki i chleba ze śledziem. Wystarczyło mu to chyba na drogę do Katynia?

Wreszcie przyszła kolej i na mnie. Wprowadzono mnie do pustego pokoju z rozpostartym na podłodze kocem, na który wyładowano dla szczegółowego przeglądu wszystko co miałem w torbie podróźnej. Specjalnie wyćwiczeni w tego rodzaju czynnościach „bojcy”, na klęczkach pochyleni nad kocem, oglądali i obmacywali każdy przedmiot. O co im głównie chodziło nie wiadomo; prawdopodobnie nie o broń, gdyż zawartości kieszeni i w ogóle odzieży oraz obuwia nie sprawdzali. W końcu załadowano partię na samochody ciężarowe i zawieziono na dworzec kolejowy. Eskortujący nas młody, o dość sympatycznym wyglądzie politruk jak gdyby z ulgą i oznaką życzliwości: „*Wy choroszo popali*”. Wtedy jeszcze nie można się było domyśleć co oznaczało powiedzenie żeśmy „dobrze trafili”. Dopiero dwa lata po wykryciu zbrodni katyńskiej w r. 1942, kiedy już byłem w Londynie, uprzytomniłem sobie, że ów młody politruk miał na myśli uniknięcie przez nas Katynia. Po wyjeździe naszej partii, w Koziełsku pozostało jeszcze kilkuset jeńców z adm. Czernickim. Zwłoki ich znaleziono w Katyniu. Widocznie bolszewicy zdecydowali, że „ułaskawienie” jednej małej partii „wrogów ludu” jest wystarczające, a resztę należało zlikwidować.

Partia nasza po krótkich pobytach w obozach przejściowych, między innymi Pawliszczew Bór, znalazła się w Griazowcu, niedaleko Wołogdy. Przybyło tam około 150 oficerów ze Starobielska i około 150 policjantów z Ostaszkowa. Wyżywienie było daleko lepsze niż w Koziełsku: na obiad zupa

i kotlety z ryb (z domieszką chleba). Najważniejszą jednak rzeczą było to, że pozwolono nam pisać listy do kraju, z czego skwapliwie skorzystaliśmy. Ku wielkiemu zdziwieniu i zadowoleniu listy doszły, gdyż otrzymaliśmy odpowiedzi. Otrzymałem list od żony komandora Kamińskiego z zapytaniem czy mąż jej jest ze mną, a jeżeli jest, to dlaczego nie pisze? Wtedy nie było jeszcze wiadomości o Katyniu.

*

Biogramy oficerów Marynarki Wojennej wymienionych w teście⁶

Konradmirał CZERNICKI Ksawery Stanisław (16 X 1882 w Giedejkach, pow. oszmiański – V 1940 Katyń). Studia w Morskiej Szkole Inżynierskiej w Kronsztadzie – Wydz. Budowy Okrętów. Po studiach służył w porcie wojennym w Kronsztadzie i Srie-teńsku. W Petersburgu nadzorował budowę rosyjskich pancerników „Sewastopol” i „Pietropawłowsk”. Po przeniesieniu do Rewla (dziś Tallin) został jednym z dyrektorów Rosyjsko-Bałtyckiej Stoczni i Fabryki Amunicji. W latach 1918-1919 działał wśród Polaków w Estonii. Po powrocie do kraju pracował w służbach technicznych odrodzonej Marynarki Wojennej. W marcu 1938 r. został mianowany konradmiralem i zastępcą szefa KMW – szefem Służb KMW. Wyznaczony na komendanta pociągu ewakuacyjnego do Pińska, dostał się do niewoli radzieckiej i przewieziony został do Kozielska. Dnia 10 lub 11 V 1940 roku zamordowany w Katyniu – lista wywozowa nr 059/1 z V 1940.⁷

Kpt. mar. rez. GINSBERT Julian Mieczysław ps. Jim Poker, Kapitan Nemo (22 V 1892 – 6 XI 1948 Londyn). Absolwent Politechniki i Instytutu Elektrotechniki i Mechaniki Stosowanej w Nancy. W latach 1917-1919 służył w Armii Polskiej we Francji. Czołowy publicysta i propagator rozbudowy floty polskiej. Od 5 IX 1939 roku był w pociągu ewakuacyjnym KMW, a potem w niewoli w Kozielsku. Znalazł się w grupie ocalałych wywiezionych do Griażowca. Do 1941 r. w niewoli, skąd trafił do formującej się Armii Polskiej gen. W. Andersa w Buzułuku. Po przybyciu do Wielkiej Brytanii wcielony został do PMW, gdzie służył w Referacie Prasowym.⁸

Kpt. mar. GRUDNIEWICZ Idzi Stefan (1 IX 1900 w Wadowicach – 14 IV 1940 r. Katyń). Do Wojska Polskiego wstąpił w listopadzie 1918 r. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej. Ukończył kurs oficerów gospodarczych. Od stycznia 1924 r. w Służbie Gospodarczej KMW. 5 IX 1939 roku był w składzie pociągu ewakuacyjnego. Po 17 IX 1939 r. więziony w Kozielsku. Zamordowany w Katyniu – lista wywozowa nr 032/1 z 14 IV 1940 r., nr zwłok 1308.⁹

Kpt. mar. JÓŻWIKIEWICZ Eugeniusz Przybysław (28 I 1887 Brześć nad Bugiem – IV 1940 r. Katyń). Absolwent Korpusu Morskiego w Petersburgu. Służył w rosyjskiej MW. W 1917 roku więziony przez bolszewików i jako Polak zwolniony oraz odesłany do kraju gdzie służył w Samodzielnym Referacie Broni Podwodnej. 5 IX 1939 r. w pociągu ewakuacyjnym KMW. Przebywał w obozie w Kozielsku. Zamordowany w Katyniu – lista wywozowa z 2 IV 1940 r., nr zwłok 2244.¹⁰

⁶ Por. *Kadry morskie*, op. cit.; *Ostatnia wachta – Mokrany, Katyń, Charków...; Dowództwo Marynarki Wojennej – Muzeum Marynarki Wojennej*, Gdynia 2000,

⁷ *Kadry morskie...*, op. cit. s. 484; *Ostatnia wachta...*, op. cit. s. 78-79, foto; P. Walter, *Admirałowie 1918-2005. Słownik Biograficzny. Dowództwo Marynarki Wojennej – Muzeum Marynarki Wojennej*, Gdynia 2006, s. 47-51

⁸ *Ibidem*, s. 356

⁹ *Ibidem*, s. 557; s. 90.

¹⁰ *Ibidem*, s. 350; s. 96-97, foto.

Komandor por. inż. KAMIENSKI Stanisław Józef (14 III 1892 – IV 1940 Katyń). Absolwent Wydziału Mechanicznego Morskiej Szkoły Inżynierii w Kronsztadzie. Pływał na okrętach nawodnych i podwodnych floty rosyjskiej. W latach 1918-1919 uczył w polskim Gimnazjum im. T. Kościuszki w Odessie. Od IV 1919 w odrodzonej Marynarce Wojennej RP na stanowiskach w Komendzie Portu Wojennego Modlin oraz w ośrodkach szkoleniowych w Kazuniu, Aleksandrowie i Świeciu a następnie w toruńskiej Szkole Podchorążych Marynarki Wojennej. Służbę okrętową pełnił na ORP „Ślązak” i ORP „Kaszub”. Ukończył we Francji kurs pływać podwodnych. Był członkiem Komisji Odbiorczej budowy polskich okrętów we Francji. Od 1937 r. w KMW w służbach technicznych. Równocześnie był wykładowcą mechanizmów okrętowych na Wydziale Budowy Okrętów w Państwowej Szkole Technicznej w Warszawie. 5 IX 1939 w składzie pociągu ewakuacyjnego KMW. Wzięty do niewoli trafił do Kozielska. Zamordowany w Katyniu – lista wywozowa 3 IV 1940 r., nr zwłok 460.¹¹

Kpt. mar. pilot LUBINKOWSKI Bronisław Józef (28 VIII 1903 Kiedabek na Kaukazie – 2 IV 1940 Katyń). Karierę wojskową rozpoczął w 1920 r. we lwowskim Korpusie Kadetów nr 1. Od 1 VII 1924 r. w toruńskiej Szkole Podchorążych Marynarki Wojennej, którą kończy promocją na ppor. mar. 10 X 1927 r. Od 1 IV do 15 X 1929 r. uczestniczył w Kursie Pilotów Lotniczych w Bydgoszczy i został skierowany do Morskiego Dywizjonu Lotniczego w Pucku, w którym pełnił służbę do jesieni 1934 r.. Na przełomie 1934/35 został przeniesiony do toruńskiej SPMW, a w 1938 r. do Służby Lotnictwa w Kierownictwie Marynarki Wojennej gdzie zastaje go wojna. Razem z kadm. Czernickim ewakuowany pociągiem KMW do Pińska. Tutaj dostaje się do radzieckiej niewoli. Niemiecka lista ekshumowanych nr 2261.¹²

Kmdr lek. dr MOSZCZEŃSKI Leonard (28 I 1889 w Lisku, woj. lwowskie – IV 1940 Katyń). Absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu w Pradze. Służył na okrętach CK Austro-Węgierskiej floty. Po powrocie do kraju służył jako lekarz w armii polskiej. Od 1920 r. w dyspozycji Departamentu ds. Morskich. Był również wykładowcą na kursach oficerskich. Ostatecznie został mianowany szefem Służby Sanitarnej KMW. 5 IX 1939 r. w załodze pociągu ewakuacyjnego KMW. Po wzięciu do niewoli przebywał w Kozielsku. Zamordowany w Katyniu po 16 IV 1940 r. – lista wywozowa Nr 032/1 z 14 IV 1940. Zwłok nie zidentyfikowano. Odnaleziono jedynie jego czapkę oficerską.¹³

Kpt. mar. MROZIK Alojzy (13 I 1896 w Tucholi – IV 1940 r. Katyń). W 1920 r. ochotniczo wstąpił do WP. Od 1923 r. służył we Flotylli Wiślanej, potem w KMW w Referacie Uposażenia. 5 IX 1939 w pociągu ewakuacyjnym KMW, potem w niewoli radzieckiej w Kozielsku. Zamordowany w Katyniu 14 IV 1940 r. – lista wywozowa nr 032/1 z 14 IV 1940 r., nr zwłok 2810.¹⁴

Kpt. mar. inż. NIEMIRSKI Michał Tadeusz (3 X 1903 w Warszawie – IV 1940 Katyń). Absolwent Wydziału Budowy Okrętów Uniwersytetu w Glasgow, mianowany ppor. mar. rez. Wiosną 1931 powołany do służby zawodowej w Szefostwie Służby Technicznej Komendy Portu Wojennego Gdynia. W 1933 przeniesiony do Flotylli Rzecznej w Pińsku. W następnym roku rozpoczął pracę w Biurze Konstrukcyjnym Warsztatów Portowych MW w Gdyni. Od 1935 r. był członkiem Komisji Nadzoru Budowy Polskich Okrętów Podwodnych w Holandii. Tuż przed wybuchem wojny pracował w Wydziale Budowy Okrętów Służby Technicznej KMW. We wrześniu 1939 r. wyjechał z Warszawy pociągiem ewakuacyjnym do Pińska. Potem przebywał

¹¹ *Kadry Morskie...*, op. cit., s. 493-494; *Ostatnia wachta...*, op. cit., (foto), s. 100-101.

¹² *Ibidem*, 117-119, (foto), s. 300.

¹³ *Ibidem*, 126-127, (foto), s. 565.

¹⁴ Zarówno w *Kadrach Morskich...*, s. 565 jak i w *Ostatniej wachcie...*, s. 128 (foto) występuje jako Mrozik.

w Kozielsku. Zginął w Katyniu. Lista wywozowa nr 017/9 z IV 1940 r. Zwłok nie udało się zidentyfikować.¹⁵

Kmdr por. inż. SADOWSKI Juliusz (8 X 1887 w Wilnie – IV 1940 Katyń). Ukończył studia fizyczno-matematyczne na Sorbonie oraz w Wyższej Szkole Elektrycznej w Paryżu. Po studiach pracował w Paryżu. Po wybuchu I wojny został powołany do armii rosyjskiej. W 1918 jako ochotnik trafił do polskiej 5. Dywizji Syberyjskiej. Ukończył też Szkołę Oficerską w Nowo-Nikołajewsku. Wraz z 5. Dywizją wrócił do Polski. Do 1927 r. służy w oddziałach saperskich. Od 1927 r. w KMW w referacie elektrotechnicznym. Działał aktywnie nie tylko na niwie technicznej, ale również szkoleniowej na kursach oficerskich dla załóg okrętowych. W 5 IX 1939 roku należał do obsady pociągu ewakuacyjnego KMW. Po wzięciu do niewoli przez armię radziecką przebywał w Kozielsku. Zamordowany w Katyniu – lista wywozowa nr 015/2 z IV 1940 roku, nr zwłok 4047.¹⁶

Kmdr ppor. w st. spoczynku. STASZKIEWICZ Włodzimierz (18 VI 1892 w Kijowie – IV 1940 Katyń). Absolwent Korpusu Morskiego w Petersburgu. W 1920 r. został przyjęty do Polskiej MW i uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej. W latach 1924 – 1939 służył na różnych stanowiskach dowódczych i kierowniczych zarówno we Flotyllach Rzecznych jak również na morzu. 5 IX 1939 r. w pociągu ewakuacyjnym KMW. Wraz z innymi wzięty do niewoli. Przebywał w Kozielsku. Zamordowany w Katyniu – lista wywozowa nr 015/2 z 14 IV 1940 r.¹⁷

Kmdr por. inż. ŻEJMA Waclaw (9 IV 1887 Radom – 22 X 1949 Londyn). Absolwent Wydziału. Mechanicznego Morskiej Wojennej Szkoły Inżynierii w Kronsztadzie. Służył w rosyjskiej MW. Wiosną 1918 r. wrócił do kraju i do listopada 1918 służy w Polnische Wermacht. Po 28 XI 1918 r. rozpoczął służbę w odradzającej się Marynarce Wojennej. Przez cały czas II RP pracował na różnych stanowiskach służb technicznych MW. 5 IX 1939 r. w pociągu ewakuacyjnym a następnie w niewoli w obozie w Kozielsku. Znalazł się w grupie ocalonych i wywiezionych oficerów do Griazowca. Stamtąd trafił do Buzułuku, a następnie do Murmańska skąd na pokładzie jednej z jednostek alianckich przybył do Wielkiej Brytanii i służył w PMW. Po wojnie mieszkał w Londynie, gdzie zmarł.¹⁸

¹⁵ *Kadry Morskie...*, op. cit., s. 502; *Ostatnia wachta...*, op. cit., s. 133, foto..

¹⁶ *Ibidem*, s. 152 i 510.

¹⁷ *Ibidem*, s. 160 i 437.

¹⁸ *Ibidem*, s. 528.

ANNA MILEWSKA-MŁYNIK

SPEŁNIONE ŻYCIE MARIANA JONKAJTYSY

Postać Mariana Jonkajtysa zajmuje niekwestionowane miejsce w pantheonie wybitnych Sybiraków. Zesłanie przekreśliło jego spokojne dzieciństwo, ale nie odebrało mu hartu ducha i rozlicznych talentów, gdyż po powrocie do kraju zasłynął jako aktor, reżyser, poeta, rzeźbiarz i pedagog. Od śmierci Jonkajtysa minęło 14 lat, jednak pamięć o nim nie słabnie. Starsza siostra Grażyna wspomina, że Maryś dla żyjącego jeszcze rodzeństwa pozostał „kochanym, czułym, pogodnym, o swoistym, subtelnym poczuciu humoru”¹. Żona Rena Rolska² podkreślała jego osiągnięcia artystyczne, przede wszystkim założony przez niego teatr. Wspominała, że było to spełnione marzenie zawodowe Jonkajtysa. „Teatr, który stworzył” dawał mu „miejsce, gdzie można eksperymentować, kreować innych artystów, pokazywać życie w różnych formach scenicznych”³. Inni zapamiętali go jako osobę

przyjazną wszystkim, a także każdemu człowiekowi, nawet nieznanemu. Dla każdego miał miłe słowo. Wielu pomagał. Zapewniło to Marianowi wdzięczną pamięć, której owoce znajdziemy w różnych miejscach na terenie Polski⁴.

Dodam, że wspominają go także ludzie nieobciążeni zesłańczą przeszłością i niezający go osobiście. Oceniając jego artystyczny dorobek zwracają uwagę na szczególną wartość osiągnięć, w których nawiązywał do sybirackich korzeni.

W dniu 13 kwietnia 2016 roku Muzeum Niepodległości w Warszawie obchodziło uroczystość upamiętniającą losy Mariana Jonkajtysa oraz rocznicę wywózek ludności polskiej na Wschód, wśród której znalazła się jego rodzina. Słowa, jakie zostały wówczas wypowiedziane, wzbogacone wspomnieniową literaturą i treścią dokumentów warto w tym miejscu przypomnieć.

Choć Marian Jonkajtys był postacią znaną i lubianą, informacji o nim znajdujemy niezbyt wiele w źródłach historycznych. Większość materiału pochodzi z poświęconej mu płyty, nagranej przez Leona Zujko wiceprezesa Oddziału Związku Sybiraków w Warszawie, który zgromadził i opracował zarejestrowane na jego temat wspomnienia popularnej i rzadko wypowiadającej się piosenkarki Reny Rolskiej, a także kilku znających go osobiście osób.

¹ G. Jonkajtys-Luba, *Po prostu brat*, „Zesłaniec” nr 30, 2007, s. 11.

² Rena Rolska wyszła za Mariana Jonkajtysa w 1965 roku.

³ R. Rolska, *Teatr, który stworzył*, „Zesłaniec” nr 30, 2007, s.5.

⁴ E. Duchnowski, *Na zawsze pozostanie w sybirackiej rodzinie*, „Zesłaniec”, nr 30, s. 17.

Cenne informacje zawiera też zbiór wspomnień *Był wśród nas...*, w którym drukowane są relacje Reny Rolskiej-Jonkajtys, Grażyny Jonkajtys-Luby, Jarosława Abramowa-Newerlego, Ryszarda Reiffa i innych⁵. W zasobach muzeum są też kopie dokumentów dotyczących rodziny. Szereg opinii i faktów znalazłam w książce Grażyny Jonkajtys-Luby *Was na to gdzieś przywiezli, sztab wy pochodli. Kazachstan 1940-1956*⁶. Autorka poświęciła wspomnienia głównie swojej matce, jednak ogólne warunki na zesłaniu były podobne dla całej rodziny, w tym również dla Mariana, którego prawdopodobnie ukryła w książce pod pseudonimem Antek⁷. Choć jest on tam postacią drugoplanową, warto sięgnąć do tych wspomnień, gdyż zawarto w nich szereg informacji o osadach, w których mieszkała rodzina Jonkajtysów oraz sporo szczegółów z jej życia.

Grażyna Jonkajtys-Luba zamieściła na początku swojej książki godne przemyślenia zdania:

Jeśli wspomnienia te dotrą kiedyś do moich Sióstr i Braci, proszę ich o wyrozumiałość. Każdy z nas przeżył Syberię na swój sposób, wywiózł własny obraz naszych wspólnych losów, wysnuł swoje prywatne wnioski, a stosunek do świata i ludzi układał każdy indywidualnie, w dużym stopniu pod wpływem tamtych doświadczeń, które w naszych umysłach i odczuciach pozostawiły niezatarte piętno⁸.

Zgodnie z tym, co napisała autorka, rodzeństwo Grażyna i Marian nieco inaczej odbierało syberyjskie doświadczenia, choć dotyczyły one tych samych faktów. Odmalowany przez nią obraz ukazany został w nieco jaśniejszych barwach, niż rzeczywistość spotykana w spisanych relacjach lub w poezji Mariana Jonkajtysa. Ujmując rzecz szerzej – jego siostra nie stroni od opisywania drastycznych momentów zesłania, jednak przeplatają się one z normalnością tamtejszego życia, co nie jest zbyt częste w literaturze wspomnieniowej z Syberii i Kazachstanu.

O wcześniejszych latach, spędzonych w Augustowie autorka nie pisze. Leon Zujko zgromadził dane o rodzinie począwszy od Migasa Jonkajtysa, który w XV wieku piastował funkcję marszałka na dworze księcia Witolda. Miał on dwóch synów: Grzegorza i Jakuba urodzonych i zmarłych w XV w. we wsi Siavliv (Szałlej) i Szaczku (Śaćku) na Żmudzi.

W rodzinie Jonkajtysów od dawna panował zwyczaj, że najstarszy syn miał dziedziczyć ojcowiznę, zaś młodszy był przeznaczony na księdza. Zgodnie z wolą rodziców urodzony w 1860 roku młodszy syn Antoni (późniejszy dziadek Mariana) w wieku 18 lat był wysłany do Krakowa, by tam uczyć się w seminarium duchownym. Księdzem jednak nie został gdyż dwa lata później zakochał się. Jego wybranką była Helena Przedpeńska, córka pisarza gminnego z Bodzonowa k/Płocka. Decyzja młodszego syna nie spotkała się ze zrozumie-

⁵ „Zesłaniec” nr 30, 2007, s. 28.

⁶ Norbertinum, Lublin 1999.

⁷ G. Jonkajtys-Luba pisała wspomnienia w latach 1978-1979, będąc w Afryce, później przemyciła je do Polski. Swojemu rodzeństwu nadała w tej publikacji inne imiona. O sobie pisała, że „nikt ze znajomych w Warszawie, którzy później przeczytali tę książkę, nie podejrzewał jej o autorstwo” s. 10.

⁸ G. Jonkajtys-Luba, „...was na to gdzieś przywiezli, sztab wy pochodli”, Lublin 1999, s. 7.

niem rodziców, którzy go wydziedziczyli. Odtąd Antoni pobierał nauki w szkole świeckiej i 4 marca 1881 roku został nauczycielem Szkoły Ludowej w Woznejwsi (k. Rajgrodu). Mając stałe zajęcie ożenił się ze swoją wybranką, a ich ślub odbył się 15.02.1885 r. w miejscowości Naruszewo. Wkrótce małżonkowie przenieśli się do szkoły w Brańszczyku nad Bugiem, gdzie urodził się syn Hieronim (późniejszy ojciec Mariana). Potem przyszły na świat kolejne dzieci: Zofia, Kazimierz, Witold, Maksym⁹ i najmłodszy Michał. Miejsca ich narodzin dowodzą, że Jonkajtysowie dosyć często zmieniali miejsce zamieszkania.

Idylla rodziny trwała jednak krótko. Antoni zmarł w Wigilię Bożego Narodzenia w 1906 roku. Według relacji podanej przez Leona Zujko, tego dnia słabo się poczuł i wyszedł do sali lekcyjnej. Wpatrując się w niebo, wyczekiwał pierwszej gwiazdki. Gdy kolacja świąteczna była już gotowa, przeszła po niego żona i z przerażeniem stwierdziła, że mąż nie żyje. Odszedł bez pożegnania mając zaledwie 45 lat.

Po nagłej śmierci męża Helena była zmuszona opuścić służbowe mieszkanie w Woznejwsi. Z dziećmi przenieśli się do miasta Wejwer na Litwie, niedaleko Kowna. Tam w najlepszym seminarium nauczycielskim już wcześniej rozpoczął naukę najstarszy syn Hieronim.

Według Leona Zujko przed wojną rodzice Mariana Jonkajtysa stanowili elitę intelektualną. Grażyna Jonkajtys-Luba sporządziła ich szczegółowe biografie, w których możemy poznać koleje życia małżonków. Matka, Maria z domu Januszkiewicz¹⁰ w listopadzie 1916 roku wzięła ślub z Hieronimem Jonkajtysem¹¹ i związek ten przerwała dopiero wojna. Bolesną stratą była śmierć najstarszego syna Jonkajtysów Bronisława, urodzonego 01.09.1917 roku w Wojdanowie. Jako kapral podchorąży walczył we wrześniu 1939 roku i w starciach

⁹ Maksym, ożeniony z Felicją Czerepowicz miał syna Mariana Mikołaja Jonkajtysa, urodzonego 09.09.1929 r. w Radziłowie, który był bratem ciotecznym trzy lata młodszego Mariana Antoniego, późniejszego artysty.

¹⁰ Maria urodziła się 8 grudnia 1892 r. w Mińsku Litewskim. Ukończyła tajną polską szkołę w Mińsku pod oficjalną nazwą „Szkoły Kroju i Szycia”, potem seminarium nauczycielskie. Po zdaniu matury podjęła działalność nauczycielską w tajnych polskich szkołach w Ziemi Mińskiej. W czasie I wojny światowej rozpoczęła pracę w Związku Ziemskim i poznała Hieronima Jonkajtysa, za którego wyszła za mąż. Po przeprowadzce do Augustowa, brała czynny udział w życiu społecznym miasta. 13 kwietnia 1940 r. wraz z sześcioro dziećmi została wywieziona do północnego Kazachstanu. 31 marca 1946 r. powróciła do Polski. Pracowała w Szklarskiej Porębie i we Wrocławiu, na koniec przenieśli się do Warszawy, gdzie mieszkały już jej wszystkie dzieci. Zmarła 8 kwietnia 1972 roku.

¹¹ Hieronim urodził się w Brańszczyku 30 września 1887 r. Po ukończeniu seminarium nauczycielskiego otrzymał posadę w szkole w Pożerach. Po wybuchu I wojny światowej został wywieziony do Tambowa. W roku 1916 zawarł związek małżeński z Marią Januszkiewicz i obydwójce prowadzili polską szkołę w Kojdanowie k. Mińska. W lipcu 1920 wraz z żoną i dwójką dzieci ewakuowali się do Polski i zamieszkali w Augustowie, gdzie pracował jako kierownik szkoły powszechnej. Pełnił też szereg funkcji społecznych. 11 października 1939 r. został aresztowany przez NKWD i skazany w procesie w Grodnie na 25 lat obozu karnego. Prawdopodobnie został zamordowany w Katyniu w 1940 r.

z Armią Czerwoną zginął 22.10.1939 roku¹². Pozostałe dzieci, choć nie spotkał ich okrutny los Bronisława, także nie uniknęły stalinowskich represji¹³. Marian Jonkajtys wspominał, że 13 kwietnia 1940 roku został wraz z czterema siostrami, drugim bratem i matką wywieziony do północnego Kazachstanu w okolice Pietropawłowska i Kokczetawu. Razem z nimi została zesłana ich kuzynka – czternastoletnia Jasia.

Zanim jednak to nastąpiło, rodzina przeżywała spokojne lata. Szczególnie rozpieszczany był najmłodszy syn Jonkajtysów Marian, który urodził się 20 maja 1931 roku w Augustowie. Wraz z rodziną mieszkał w budynku szkoły, przy którym był dość duży ogród ze starymi drzewami i krzakami wśród płotów, wspinały teren do zabawy.

Kiedy wybuchła druga wojna światowa Marian Jonkajtys miał zaledwie 8 lat. Wówczas Augustów znalazł się pod okupacją radziecką. Wkrótce zaczął się okres zsyłek drugiej deportacji 1940 roku. W swojej masie dotyczyła ona bliskich osób aresztowanych przez NKWD a także rodzin jeńców wojennych, których represjonowano wcześniej. Byli to głównie ludzie pochodzenia inteligentnego, zaś około 80% stanowiły kobiety i dzieci oraz osoby w podeszłym wieku. Wywieziono ich do kazachstańskich obwodów położonych na północy kraju – aktiubińskiego, akmolińskiego, północnokazachstańskiego i semipalałyńskiego.

Kazachstan już w latach 30. XX wieku stał się największym miejscem zsyłek. Według Stanisława Ciesielskiego „o jego wyborze decydował zapewne zarówno wzgląd na łatwość izolacji deportowanych, jak i chęć wykorzystania ich w procesie odbudowy kazachstańskiego rolnictwa i rozbudowy tamtejszego przemysłu”¹⁴. Zmiana systemu gospodarowania, klęska głodu i epidemia tyfusu brzuszkiego spowodowały śmierć 1,75 mln ludzi, głównie autochtonów.

Ponieważ w Kazachstanie brakowało rąk do pracy, od lat trzydziestych kierowano tam zesłańców różnej narodowości. Mieli oni stanowić tanią siłę roboczą. Wśród deportowanych znaleźli się też Polacy, których według Ośrodka „Karta” przesiedlono ok. 61 tysięcy (niektóre dane mówią nawet o 320 tysiącach)¹⁵. Szacuje się, że 58 % wysiedlonych wywiezionych skierowano do kółchozów, 28% do sowchozów, pozostałych do przedsiębiorstw przemysłowych. Osoby te pochodziły przeważnie z miast i nie były przygotowane do ciężkiej

¹² Z ustaleń Grażyny Jonkajtys-Luby wynika, że poznanie okoliczności śmierci Bronisława nie powiodło się. Jego siostra Helena usłyszała tylko jeden raz od żyjącej ówczesnie osoby, że „wasz brat nie cierpiał długo: zginął od strzału z bliskiej odległości” (kopia dokumentu w Muzeum Niepodległości,teczka niezainwentaryzowana).

¹³Następne dzieci to: Helena – dziennikarka, ur. 17.03.1919 r. w Kojdanowie, zm. 13.12.2005 w Warszawie, sybiraczka 1940-1946; Grażyna Maria, ur.17.01.1922 w Augustowie, mgr inż. architekt, sybiraczka 1940-1946; Zofia, ur. 19.09.1925 w Augustowie, nauczycielka dyplomowana, sybiraczka 1940-1946; Jan, ur. 06.10.1927 w Augustowie, inżynier budownictwa ogólnego sybirak 1940-1946; Teresa, ur. 10.07.1929 w Augustowie, zm. 10.07.1998 w Warszawie, sybiraczka 1940-1946; Marian Antoni, ur. 20.05.1931 w Augustowie, zm. 04.04.2004 w Warszawie, autor, poeta, nauczyciel akademicki, sybirak 1940-1946.

¹⁴ S. Ciesielski, *Polacy w Kazachstanie w 1940-1956*, Wrocław 1997, s. 32.

¹⁵ G. Jonkajtys-Luba, *...was na to zdies przywiezli, szto wy podochli*, Lublin 1999, s. 217.

pracy w gospodarstwach rolnych, do życia w prymitywnych warunkach i w surowym klimacie.

Rodzinę Jonkajtysów spotkał podobny los. Książkę Grażyny Jonkajtys-Luby „...was na to zdzieś przywiezli, sztab wy podochli” rozpoczyna okres, na krótko przed drugą wywózką. Czekala ich niewiadoma przyszłość. Gdzie konkretnie mieli się udać, nie było wiadomo. Enkawudzista powiedział im tylko, że wyruszają na Daleki Wschód. O czwartej nad ranem zajechała pod ganek ciężarówka, która dowiozła ich wraz z rzeczami do podstawionego już pociągu. Jak wspomina Jonkajtys-Luba, umieścili ich w dużym, bydlęcym wagonie z małymi okratowanymi okienkami pod sufitem i dwoma poziomami prycz¹⁶. Załadowano do niego 32 osoby. Po dwóch tygodniach jazdy 28 kwietnia wysiedli na stacji Smirnowo. Dookoła roztaczał się pusty i bezbarwny o tej porze wczesnego przedwiośnia step. 1 maja ruszyli w dalszą podróż.

Marian Jonkajtys wspomina, że w stepowych kołchozach – posesiadkach: Poputnia, Nowouzienka, Korniejewka i Južnoje – przebywał do marca 1946 roku. Jak dziesiątki tysięcy polskich dzieci – zesłańców doświadczał ciężkiej pracy ponad siły, głodu, wszy, chorób, nędzy i poniewierki – zgodnie z treścią słów, które na powitanie wygłosił przewodniczący kołchozu – „Was – panowie z Polszy – przywieziono tutaj, żebyście wyzdychali”...

Niezbadane są jednak wyroki Boże... I chyba tylko dzięki opiece Matki Boskiej Częstochowskiej i heroicznej postawie naszej Matki w sześćdziesięciu walce o przeżycie – w kwietniu 1946 r. wróciliśmy wszyscy do kraju...”¹⁷.

Więcej szczegółów znaleźć można w publikacji Grażyny Jonkajtys-Luby, która w dniu wybuchu II wojny światowej była uczennicą klasy maturalnej w Augustowie. Trzeba jednak od razu zaznaczyć, że jest to książka specyficzna¹⁸. Znajdujemy tam wiele szczegółów dotyczących rozplanowania wsi, opisów pomieszczeń, które zajmowała rodzina. Daje więc ona pogląd na warunki mieszkaniowe zesłańców i z tego względu przybliży życie deportowanych Polaków. Inne realia ich kazachstańskich losów są zaznaczone dość pobieżnie.

Rozpoczynając swoją tułaczkę po Kazachstanie jako pierwszą opisuje Poputnię, posesiadkę oddaloną od głównej wsi o 4 km. Mieszkali tu głównie Ukraińcy, przesiedleni 40-50 lat temu karnie lub dobrowolnie. Rodzinę ulokowano w stojącej na uboczu chacie. Z relacji Jonkajtys-Luby wynika, że:

dom, do którego nas przywieziono, zbudowany był z cegieł wykonanych z gliny zmieszanej ze słomą. Składał się z chlewika, w którym umieszczono krowę i prosiaka, dość obszernej sieni z jednym malutkim okienkiem, i z jednej izby mieszkalnej, w której było okno naprzeciw drzwi. Na prawo przy drzwiach stał wielki piec chlebowy. Między nim i ścianą za oknem był duży zasiek na pszenicę, wypełniony ziarnem. Leżały na nim derki i płachetki, na których sypiała rodzina Pawła Osipowa, właściciela domu [...] Podłogę stanowiło ubite gliniane klepisko. Przestrzeń do życia mieliśmy niezmiernie ograniczoną. Na kawałku

¹⁶ Ibidem, s. 16.

¹⁷ Płyta z prezentacją postaci Mariana Jonkajtysa opracowana przez Leona Zujko.

¹⁸ Autorka po powrocie z zesłania studiowała na wydziale architektury Politechniki Warszawskiej. Wpłynęły na to zapewne jej zainteresowania.

klepiska o powierzchni 6-7 metrów kwadratowych musieliśmy się zmieścić w dzień i w nocy¹⁹.

Według Jonkajtys-Luby, gdy spadły śniegi, ich życie stało się koszmarem, ponieważ o myciu i praniu nie mogło być mowy. Matka wynalazła chatę babuszki Łondarki i jej córki Nastii Nazimowej, jedynej w Poputni traktorzystki. Gospodynie odstąpiły im jedną izbę i przygotowały prymitywne pryce do spania.

Jonkajtys-Luba, która nie zajmowała się przygotowywaniem pożywienia dla rodziny, niewiele o tym pisze. Stwierdza, że posiłki mieli mało urozmaicone i skromne, choć trzeba zauważyć, że podany przez nią jadłospis nie jest aż tak ubogi, jaki spotykamy w większości relacji pamiętnikarskich. Jonkajtysowie przeważnie żywili się dwa razy dziennie, co zapewne dla pracującego fizycznie Mariana nie wystarczało, by nasycić głód. Podstawowym jedzeniem była kasza jaglana z ziemniakami na mleku. Produkty te otrzymywali jako ekwiwalent za wykonywaną pracę. Kaszę zdobywali drogą wymiany, a ziemniaki dostawali jako zapłatę za pomoc przy ich sadzeniu w ogrodach mieszkańców kołchozu. Później, kiedy Maria Jonkajtysowa świadczyła miejscowej ludności usługi krawieckie, otrzymywali jeszcze mąkę i jajka.

Każda rodzina mogła uprawiać obok swojego domu działkę warzywną o powierzchni 0,33 hektara, oprócz tego pozwolono jej hodować krowę i jednego prosiaka. Od krowy opłacano podatek: 240 litrów mleka rocznie, 48 kilogramów mięsa i skórę cielaka²⁰. Choć nie było im w tej wsi gorzej niż w innych, wkrótce musieli ją opuścić. Zbliżała się jesień i trzeba było myśleć o szkole dla Antka (Mariana) i Tereni, tej zaś Poputnia nie miała.

W sierpniu 1940 roku Jonkajtysowie zamieszkali w Awierjanowce, najpierw w letniej kuchni u Paraski Barabanowej. Całe pomieszczenie miało 14-15 metrów kwadratowych. Odliczając od tego trzy metry kwadratowe zajęte przez piec – reszta przestrzeni stanowiła miejsce do życia dla ośmiu osób. Później przenieśli się do ziemianki listonosza Osobina.

Cała Awierjanowka liczyła wówczas około 40 domów, wybudowanych szeregowo po obu stronach ulicy. Z relacji Jonkajtys-Luby wynika, że były one dość zasobne²¹.

¹⁹ G. Jonkajtys-Luba, ... *was na to zdies priwiezli*, op. cit., s. 25.

²⁰ Ibidem, s. 31.

²¹ W tekstach pamiętnikarskich spotykamy generalnie opisy pomieszczeń bardziej prymitywne, mające uzmysłwić czytelnikom, w jak zgrzebnych warunkach przebywali po wywiezieniu ich do Kazachstanu i na Syberię. Jonkajtys-Luba przedstawiła inny obraz wsi. Napisała, że gospodarstwo składało się z domu mieszkalnego, wewnętrznego podwórka i kilku pomieszczeń. Budynek gospodarczy miał grube ściany z samanu, zbudowany był na wysokiej podmurówce, miał wysoki dach kryty strzechą, z frontem z czterema oknami zwrócony był do ulicy. Z podwórza wchodziło się do niewielkiej sieni, stąd do obszernej kuchni z wielkim piecem chlebowym, stołem i łóżkiem. Z kuchni prowadziły drzwi do izby *gorniczoj*, lub wprost do *komnaty*, gdzie stały dwa łóżka z poduszkami, szafa, u zamożniejszych gospodarzy – rodzaj kredensu z naczyniami, stół, skrzynia oraz tak zwana *galanka* – piec kuchenny z małą płytą i ze ścianką ogrzewczą. Cała jedną ścianę podwórka tworzył wąski budynek, w którym kolejno mieściły się: obórka dla krowy i świń, zagroda dla owieczek, spichlerzyk i letnia kuchnia (s. 47)

Autorka, nieco miejsca poświęciła też swojej rodzinie. Z jej książki wiemy, że Marian, zwany tu Antkiem chodził pasać woły w step. Wraz z siostrą Teresą kontynuował naukę w czteroklasowej szkole. W kolejnej wsi Korniejewce dał się poznać jako najlepszy matematyk i rysownik w klasie, mimo że miał dopiero dziesięć lat. Choć był jeszcze małym chłopcem, pracował tam fizycznie zwożąc z pola kołchozowe ziemniaki.

Jak wyglądała sama Korniejewka, dowiadujemy się z relacji jego starszej siostry Grażyny Jonkajtys-Luba opisała ją jako dużą osadę mieszczącą około 500 domów, wykonanych z samanu i krytych dachami ze słomy. Centralne miejsce w Korniejewce zajmował plac, przy którym znajdowały się biura kołchozu i siel-sowiet (urząd gminny), stołówka, sklep, szkoła, domek z pomieszczeniem na izbę porodową i apteka z mieszkaniami dla lekarza i aptekarki, spichrze i świnia. Budynki stojące wzdłuż ulic miały za sobą duże ogrody (0,33 ha). Na północ od placu znajdowały się warsztaty, garaże i place postojowe maszyn rolniczych ośrodka MTS – Motorno-Traktornej Stacji. G. Jonkajtys-Luba zauważyła, że otoczenie ich było brudne, ponure, a zieleń dostrzegało się tylko w ogródkach przy osiedlu robotników.

Po kilku dniach poszukiwań rodzina znalazła domek, stojący prawie naprzeciw spółdzielni, w której Maria Jonkajtysowa wykonywała wyroby dziewiarskie. Był on jednak zapluskwiony. Pracowite Jonkajtysówny paliły w nim siarkę, wstawiały we wszystkie kąty zioła o bardzo silnym zapachu, zatkały dziury w ścianach gliną z dużą domieszką soli. Rodzina miała tu izbę, sień i ogrodzone podwórko²².

Później nadeszła szczególnie ciężka zima i po raz pierwszy zdarzyło się, że Jonkajtysowie nie mieli nic do jedzenia. W przykre zdarzenie wplątał się też starszy brat Mariana, 16-letni Stasio, którego podejrzewano w sielsowiecie „Mieszawod” o kradzież produktów. Czy to prawda, nie wiadomo. W każdym razie G. Jonkajtys-Luba pisze, że jedynym sposobem wyciszenia tej sprawy było przeniesienie rodziny do innej obłasti. Ich wybór padł na „polski kołchoz” we wsi Južnoje (kellerowski rejon, kokczetawskaja obłast), gdzie przeprowadzili się jesienią 1943 roku. Mieścili się tam urzędy, szkoła, przy placu najważniejszy budynek stanowiła siedziba rady gminnej *sielsowiet*, obok znajdowały się stołówka i sklep. Za domami wybudowano obory, stajnie, chlewy, spichrze, mlecznię i wiatrak. We wsi była też łaźnia i piekarnia. Główne miejsce pracy to kołchoz imienia Kirowa pod nazwą „Tropinka Iljicza”. Wieś zamieszkiwali Polacy, stanowiący część wywiezionych na Syberię w 1936 roku mieszkańców radzieckiej Ukrainy²³.

²² G. Jonkajtys-Luba, ... *was na to zdies priwiezli*, op. cit., s. 83.

²³ Jak relacjonuje Jonkajtys-Luba, na teren przyszłej wsi Južnoje przyjechało wówczas kilkaset osób: pozostałych rozmieszczano na innych obszarach Kazachstanu. Otrzymali namioty i nakazano im budować domy z własnoręcznie wykonanych cegieł. Na wiosnę 1940 roku przywieziono do wsi kilka polskich rodzin zesłanych w czasie drugiej deportacji. Ludzie „miejscowi” (czyli osiedleni już wcześniej – przyp. AM-M) zetknęli się po raz pierwszy od długiego czasu z Polakami z Polski, do której modlili się i tęsknili całym latami. Zdaniem Jonkajtys-Luby, los wygnańców z 1940 roku był w Jużnym o wiele lepszy niż we wsiach ukraińskich czy rosyjskich.

Jonkajtysowie zamieszkali u żony właściciela ziemskiego Marii Sokolowskiej. Życie zaczynało powoli się normalizować gdyż mieli pracę. Marysia (Grażyna) zdobyła już pewną renomę w stawianiu glinianych pieców i została w Jużnym zatrudniona jako kołchozowy zdun. Terenia i Antek uczęszczali do szkoły. Staś zgłosił się do prac polowych przy żniwach, Jasia do pracy w spichrzu, Maria Jonkajtys miała zatrudnienie w spółdzielni dziewiarskiej. Ich warunki poprawiły się, kiedy w 1945 roku dostali dwuizbowe mieszkanie w „obszczeżytiu”²⁴.

Pod koniec pobytu w Kazachstanie ważna rola w zaopatrywaniu rodziny w drewno na opał przypadła Marianowi. W listopadzie 1945 roku pojawiła się nadzieja powrotu do kraju, jednak okazało się, że surową zimą 1945/1946 spędzili jeszcze na Syberii. W domu brakowało już opału więc 13-letni wówczas Marian przerwał naukę i jeździł do odległego o 30 km lasu po drzewo. Dzięki niemu udało się rodzinie przetrwać najcięższe mrozy. Termin odjazdu z Jużnego ustalono ostatecznie na 2 marca²⁵. 30 marca 1946 roku dotarli do Warszawy. Grażyna Jonkajtys-Luba napisała, że wyszły z pociągu ludzkie zmory: dorośli i dzieci, wygłodzone, wychudłe²⁶.

W Warszawie zatrzymali się u siostr zakonu Rodziny Marii i zaczęli nowe życie. Grażyna Jonkajtys – Luba wspominała, że umyty, przebrany w świeżą odzież brat krzyknął: „Te siostry powinny żywcem pójść do nieba! Ja znowu jestem Europejczykiem”²⁷.

Wkrótce matka z dziećmi udała się do Szklarskiej Poręby, gdzie dostała pracę, a Marian i Teresa rozpoczęli naukę. Potem syn przeniósł się do Warszawy, by kształcić się w renomowanym liceum ogólnokształcącym im. Bolesława Limanowskiego na Żoliborzu. Igor Abramow-Newerly wspomina, że

Marian śpiewał basem-barytonem w chórze, świetnie tańczył, znakomicie mówił po rosyjsku i grał Dyndalskiego”²⁸. Przebywał wówczas w sierocińcu założonym przed wojną przez Marynę Falską. Była to prawdopodobnie cena, którą zapłacił za możliwość uczenia się w dobrej szkole. Marian Jonkajtys nie miał o to pretensji do swoich bliskich. Dał temu wyraz układając wiersz „Matka Sybiraczka”²⁹.

W latach 1950-1952 studiował rusycystykę na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Warszawskiego. Wolne chwile wykorzystywał na pracę artystyczną. Występował na wieczornicach w Sali Kolumnowej i świetlicy ZSP. W jego życiu przeważała sztuka i w 1952 roku został studentem wydziału estradowego w Warszawskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej (PWST) im. Aleksandra Zelwerowicza. Jego nauczycielami byli m. in. Aleksander Bardini, Kazimierz Rudzki i Ludwik Sempoliński.

²⁴ Internat, wspólne mieszkanie (ros.).

²⁵ G. Jonkajtys-Luba, *... was na to zdies priwiezli*, op. cit, s. 203.

²⁶ G. Ibidem, s. 212.

²⁷ G. Jonkajtys-Luba, *Po prostu Brat*, „Zesłaniec” nr 30, 2007, s. 9.

²⁸ I. Abramow-Newerly, *Z ogrodowej altany*, „Zesłaniec” nr 30, 2007, s. 11.

²⁹ E. Duchnowski pisał, że wiersz został poświęcony własnej matce – kobiecie wielkiej duchem i niezłomnej, troskliwej, czulej i wyrozumiałej: E. Duchnowski, *Na zawsze pozostanie w sybirackiej rodzinie*, „Zesłaniec” nr 30, 2007, s. 17.

W roku 1957 ukończył Warszawską Państwową Wyższą Szkołę Teatralną z odznaczeniem. Już w czasie studiów został asystentem profesorów Sempolińskiego, Bardiniego i Rudzkiego i przygotowywał z powodzeniem spektakle dyplomowe, później, pracował samodzielnie, poświęcając się pracy pedagoga.

Leon Zujko podał w swojej prezentacji, że głód wiedzy, ciekawość świata, możliwości, które w porównaniu z poprzednim bytowaniem w kołchozach północnego Kazachstanu – wydawały się nieograniczone. Wszystko to stało się motorem dalszej działalności na polu kultury po skończeniu szkoły teatralnej. Niesłabnący entuzjazm, upór i wiara, że musi się udać przynosiły wciąż nowe pomysły, które przybierały realny kształt. Zaraz po szkole występował w warszawskim teatrze „Buffo”, debiutując 9 marca 1957 roku. Potem grał w „Syrenie”, w Teatrze „Ludowym” i „Nowym”. Rozpoczął też pracę estradową, dając się poznać jako piosenkarz, konferansjer i wykonawca monologów. Występował z PAGART-em koncertując w USA, Kanadzie, ZSRR i NRD. Słuchacze radiowi do dziś pamiętają słynną postać leśniczego z Puszczy Białowieskiej w „Podwieczorkach przy mikrofonie”. Realizował także programy muzyczno-estradowe w telewizji i przedsięwzięciach estradowych całego kraju, organizując m. in. w 1961 roku pierwszy Konkurs Ministerstwa Kultury i Sztuki na Polską Piosenkę, który stał się załącznikiem późniejszego Festiwalu Opolskiego. Rena Rolska otrzymała tam I nagrodę za utwór „Piosenka prawdę ci powie”. Był też konferansjerem na Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze.

W 1965 r. Marian Jonkajtys utworzył pierwszy w powojennej Polsce wrocławski teatrzyk „Dreszczowiec”, oparty na abstrakcyjnym humorze makabrycznym przy współudziale Reny Rolskiej, Wojciecha Młynarskiego i Jerzego Derfla. Marzył jednak o stworzeniu sceny, na której dominowałaby piosenka a on sam mógł realizować swoje pomysły. Idee te udało mu się zrealizować, gdy założył własny muzyczno-estradowy Teatr Rampa.

Gmach budynku wzniesiono jako dar dla partii robotniczej oraz nosił on imię Józefa Stalina. Igor Newerly pisał, że był niefunkcjonalny i gigantyczny³⁰. Pierwotnie mieścił się tam dom kultury, jednak w czasach gierkowskich pozwolono na przekształcenie go w teatr muzyczny. Jego metamorfozę zapoczątkował Jonkajtys w 1975 roku³¹. Jako dyrektor nadał scenie muzyczno-estradowy profil³². Teatr posiadał własne zaplecze, orkiestrę i zespół wykonawców. Obok aktorów pracowali tu muzycy i tancerze. W teatrze grali m.in. Alicja Majewska, Danuta Rinn, Jerzy Złotnicki, Ewa Śnieżanka, Grzegorz Markowski, Artur Barciś oraz Tadeusz Ross. Dzięki umiejętnie dobranemu repertuarowi stał się wkrótce regularnie odwiedzana i lubiana placówką kulturalną. Wśród spektakli warto wymienić „Kto chce piosenkę”, „O zachowaniu przy stole”, „Bał u czarnoksiężnika”, „Toast weselny” czy „Dziury na drodze”. Dziś o inicjatorze tej placówki mało kto pamięta. Na marginesie warto, więc odnotować, że w 2005 roku powstał Komitet Organizacyjny³³ nadania Teatrowi Rampa imienia jego

³⁰ I. Abramow-Newerly, *Z ogrodowej altany*, „Zesłaniec” nr 30, 2007, s. 11.

³¹ W czasach Mariana Jonkajtysa nosił on nazwę Teatru na Targówku.

³² Za dyrekcji Jana Krzyżanowskiego scena na Targówku zmieniła swój charakter, przekształcając się w teatr dramatyczny.

³³ Na czele komitetu stały Jolanta Fijałkowska, Małgorzata Poniatowska i Ludmiła Warzecha.

założyciela i kreatora – Mariana Jonkajtysa. Niestety, jak piszą inicjatorki tego przedsięwzięcia – pozostała po nim tylko pamięć, dokonania artystyczne i piękna karta żarliwego patrioty.

Po ogłoszeniu stanu wojennego, odwołany przez ówczesne władze, przestał być dyrektorem Teatru na Targówku. Igor Newerly zrelacjonował ówczesne wydarzenia: Nie sądziłem, że

zimowy dzień 1982 stanie się dla Mariana i Reny tak przełomowy i będzie miał tak dalekie konsekwencje. Oboje stracili pracę. Mieli na wychowaniu małego syna Grzegorza³⁴. Marian wcześniej, jako dyrektor teatru, zrezygnował z pracy w PWST. Teraz koledzy widząc, że jest bezrobotny, nie zaproponowali mu powrotu na uczelnię. Ten fakt przeżył mocno. Miał dość aktorskiej gry i wiszenia u klamki partii. Postanowił się sprywatyzować. Jak Piłsudski wycofał się do Sulejówka [...] Narodził się tam nowy Marian³⁵.

Nie chcąc występować jako aktor, zajął się metaloplastyką i rzemiosłem artystycznym (zdał egzamin czeladniczy). W rzeźbieniu i inkrustowaniu metalem drewnianych ikon, obrazów i pamiątek pomagała mu żona, która również wycofała się z życia estradowego.

Nie jest pewne, czy gdyby nie zaistniały traumatyczne okoliczności stanu wojennego, artysta odkryłby w sobie inne środki ekspresji i objawił się jako utalentowany metaloplastyk oraz piewca gehenny Sybiraków. Jak się wydaje, miał w swoim dorobku przynajmniej dwa wybitne osiągnięcia, będące wyrazem jego talentu. Pierwszy to zaprojektowany i wykonany przez niego drewniany różaniec, którego wagoniki – paciorki inkrustowane nazwami miejsc zsyłek Polaków na Syberię symbolizują polską Gólgotę Wschodu. Różaniec ten, jako dar Związku Sybiraków, został ofiarowany Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II. Jego repliki znajdują się w licznych kościołach w kraju oraz w Muzeum Niepodległości w Warszawie.

Drugim, szczególnym osiągnięciem Jonkajtysa jest tekst słynnego *Marszu Sybiraków*, do którego muzykę napisał Czesław Majewski. Utwór ten szczególnie przypadł do serca represjonowanym na Wschodzie i stał się ich oficjalnym hymnem. Od 1989 roku, gdy reaktywowano Związek Sybiraków pisał też wiersze poświęcone męczeństwu polskich zesłańców na Syberii i w Kazachstanie, noszące znamiona dokumentu. Do wydarzeń utraconego dzieciństwa i losów polskich zesłańców powrócił w dwóch tomach poezji: „My, których ocalałaś” oraz „W Sybiru białej dżungli”³⁶. Jarosław Abramow-Newerly nie szczędził im pochwał. Pisał, że

wiersze Mariana Jonkajtysa są naprawdę niezwykle. Skromnie nazwane zapiskami, mają coś z pamiętnika, ocalającego miejsca, nazwy, fakty – jednocześnie zrymowane celnie i błyskotliwie, nierzadko z humorem. Niektóre utwory są klasy Feliksa Konarskiego i innego Mariana – Hemara. „Marsz Sybiraków”

³⁴ W 1972 roku zostaje ojcem Grzegorza, późniejszego absolwenta Wydziału Grafiki Warszawskiej ASP, autora okładek i ilustracji do wszystkich niemal książek Mariana Jonkajtysa.

³⁵ I. Abramow-Newerly, *Z ogrodowej altany*, „Zesłaniec” nr 30, 2007, s. 13.

³⁶ Inne jego publikacje to: „Żywa pamięć”, „10 pieśni sybirackich do wierszy Mariana Jonkajtysa w opracowaniu fortepianowym”, „Różaniec sybiracki”, „Sonety kołymskie”.

na pewno ma ten sam ładunek uczuciowy co słynne „Czerwone maki” Refrena czy „Karpacka Brygada” Hemara. Nic dziwnego, że marsz ten ze świetną muzyką Czesława Majewskiego stał się hymnem Sybiraków...³⁷.



Obelisk Pamięci Mariana Jonkajtysa w Sulejówku.

Marian Jonkajtys odkrył także w sobie powołanie społecznika. W roku 1987 przeprowadził się do Sulejówka. Mieszkał w uroczym domu oplecionym winoroślą. Rena Rolska wyrabiała z ich owoców wino i gościła nim przyjezdnych. Jedna z Sybiraczek wspomina, że Jonkajtysowie cierpieli wtedy niedostatek i członkowie organizacji załatwiali mu prelekcje w szkołach, za które otrzymywał wynagrodzenie. W Sulejówku zaangażował się w pracę na rzecz miasta, które nie miało nawet ulicy przypominającej marszałka Józefa Piłsudskiego. Jego dom rodzinny „Milusin” adaptowany był na przedszkole i niszczał bez koniecznych remontów. Jonkajtys organizował koncerty z kolegami, którzy przyjeżdżali honorowo, a dochód przeznaczony był na odbudowę „Milusina”. Warto również zaznaczyć, że w Sulejówku jest park jego imienia, a w 2009 r. odsłonięto tam kamień pamiątkowy z tablicą upamiętniającą Mariana Jonkajtysa oraz Sybiraków. Czytamy na niej, że w latach 1987-2000 mieszkał tu

wielki patriota Sybirak, społecznik Marian Jonkajtys. Poeta, aktor, reżyser, rzeźbiarz, plastyk. Niosący brzemie żywej prawdy, w swojej twórczości upamiętnił katorgę Sybiraków. Za różaniec, symbol Golgoty Wschodu Syberyjskiej otrzymał osobiste podziękowania od Ojca Świętego Jana Pawła II.

³⁷ Płyta z prezentacją twórczości Mariana Jonkajtysa opracowana przez Leona Zujko.

Lista zasług Mariana Jonkajtysa jest długa. Był on również inicjatorem różnych przedsięwzięć dotyczących martyrologii Polaków: nazwy „Ronda Sybiraków” w Warszawie, nadania ich imienia szkołom w Augustowie i Nettcie, dorocznego „Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru” w Białymstoku oraz współinicjatorem „Pomnika Poległych i Pomordowanych na Wschodzie” przy ulicy Muranowskiej w Warszawie.

W 2009 r. I Światowy Zjazd Sybiraków w Szymbarku przyznał Marianowi Jonkajtysowi pośmiertnie nagrodę ich ambasadora i „Bursztynowe drzewo”. Uehonorowały go również władze, mimo że do admiratorów działaczy państwowych nie należał. Z ich nadania otrzymał Złoty Krzyż Zasługi (1977), trzykrotnie tytuł „Zasłużonego działacza kultury” (1979, 1997, 2001) i Złotą Odznakę Honorową „Za zasługi dla Warszawy” (1980).

Marian Jonkajtys zmarł 4 kwietnia 2004 roku w Warszawie. Trzy dni później w kościele pw. Świętego Krzyża w Warszawie i na Cmentarzu Powązkowskim odbył się jego pogrzeb z udziałem rzesz Sybiraków oraz kilkudziesięciu delegacji ze sztandarami sybirackimi.

Celną charakterystykę upamiętniającą Jonkajtysa podał wieloletni prezes Związku Ryszard Reiff³⁸. Oto ona:

Miejsce dla Poety Sybiraków czekało puste dwieście lat. Tyle czasu upłynęło, nim pojawił się ktoś taki jak Marian Jonkajtys.

Było wspaniałe malarstwo i grafika sybiracka. Były książki i opracowania tych kolejnych zesłań. Były pojedyncze wiersze. Nie było poezji sybirackiej o takiej sile wyrazu i tak rozległym horyzoncie przeżycia tej problematyki i takiej wierności tej sprawie. Talent artysty pozwolił fakty życia zapisać językiem poezji. Zachował obraz tamtych czasów i utrwalił go w pieśni, aby stała na straży odzyskanej wolności i była przestrożą dla ludzi i narodów³⁹.

³⁸ Ryszard Reiff (1923-2007) polityk, prawnik, publicysta, przewodniczący Stowarzyszenia PAX, a od 1989 prezes Związku Sybiraków.

³⁹ R. Reiff, *Sybiracy nagradzają go hołdem*, „Zesłaniec” nr 30, 2007, s. 15.

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Michał Wołoszczak – *W dalekiej Jakucji*

Ilekróć spotkam się z prośbą o przytoczenie wspomnień z okresu pobytu na Syberii, zawsze rozpoczynam od stwierdzenia, że jestem bardzo nietypowym Sybirakiem. Nie doświadczyłem okrucieństwa ze strony ludzi oraz nie zaznałem głodu, nieodłącznego towarzysza zesłańców. Wiem, że głód jest czymś strasznym, popycha ludzi do różnych, moralnie nagannych działań. Bywałem głodny, racje żywnościowe były skąpe, ograniczone, ale nie znam uczucia chronicznego głodu.

1. Lubliniec – Myślatycze

Przed wybuchem II światowej wojny mieszkaliśmy na Śląsku w miejscowości Lubliniec. Mój ojciec był zawodowym żołnierzem. Mieszkaliśmy nie w koszarach, ale około 0,5 km dalej, w domu listonosza – pana Pisulskiego. Wychowaniem moim i młodszego brata zajmowała się mama. Miała w stosunku do mnie sprecyzowane marzenia, w przyszłości miałem zostać „generałem” czyli oficerem, dlatego też obowiązywała mnie pewna dyscyplina. Po kądzieli pochodzę z rodziny śląskiego powstańca, tradycje patriotyczne w naszej rodzinie były kultywowane. Dziadek mój był dowódcą powstańczej kompanii w Biskupicach, jego trzech synów było powstańcami, a trzy córki, jako pielęgniarki doglądały powstańców. Bardzo dużo czasu spędzałem z żołnierzami

w koszarach, bywałem z nimi na manewrach, które odbywały się na poligonie w Wieluniu. Ponieważ ojciec zazwyczaj był bardzo zajęty, opiekę nade mną sprawował, a pamiętam to doskonale, starszy strzelec Dębiński. Był on amunicyjnym w kompanii ojca i to on odpowiadał za moje bezpieczeństwo. Ogromnie go lubiłem, bo zawsze czymś mnie zaskakiwał wymyślając różne zajęcia. Pamiętam, że jednego razu dał mi do zabawy amunicję ćwiczebną. Była to drewniana amunicja, ale pociski były w różnych kolorach: czarne, czerwone, zielone. Nie wiem co te kolory oznaczały, ale pamiętam, że sortowałem je według koloru i byłem tym tak bardzo zaabsorbowany, że naprawdę przez dłuższy czas nie miał ze mną problemu. Tradycyjnie po zakończeniu ćwiczeń na poligonie, w Lublińcu odbywała się uroczysta defilada. Z przyjemnością obserwowałem przebieg musztry paradnej i słuchałem wojskowej orkiestry. Byłem wtedy bardzo dumny z siebie, z mojego ojca i maszerujących żołnierzy.

Na kresach wschodnich, w Myślatyczach w obwodzie lwowskim, nasza rodzina posiadała majątek ziemski. W nim to każdego roku od czerwca do sierpnia spędzaliśmy wakacje. Ponieważ od pewnego czasu wyczuwało się nieprzychylnie nastroje ze strony Niemców, a nawet szeptano o możliwości konfliktu zbrojnego, ojciec w 1939 roku nie pojechał z nami, lecz pozostał w garnizonie. Rodzina moich dziadków była bardzo liczna, bo babcia urodziła 24 dzieci z tego tylko dwóch bliźniaków zmarło przy porodzie. Dlatego też w Myślatyczach w okresie letnim przebywała nas, dzieciaków duża grupa. Z tamtego okresu pochodzą bardzo miłe wspomnienia. Duża ilość kuzynów i kuzynek gwarantowała nam bezkarność podczas szalonych gonitw i harców. Terenem zabaw były zabudowania, park, łąki i pola. Nasze zabawy były pełne różnych nieprzewidzianych upadków, stłuczeń, ale zawsze towarzyszył nam śmiech. Trudno było czasami ten dziecięcy żywioł opanować, lecz mojej mamie zawsze się to udawało.

Pod koniec sierpnia ojciec wysłał do mamy do Myślatycz telegram, abyśmy nie wracali do domu i pozostali na dłużej nieokreślony czas w majątku. Gdy rozpoczęła się wojna, ojciec ze swoim 74 Górniośląskim Pułkiem Piechoty stacjonującym w Lublińcu włączył się do działań w obronie polskich granic. Przez pierwszy dzień żołnierze dzielnie walczyli wokół Lublińca, ale pod naciskiem wojsk nieprzyjaciela musieli się wycofać. Już 3 września 7 Dywizja Piechoty została zniszczona i tylko nieliczne pododdziały, którym udało się wydostać z niemieckiego okrążenia podejmowały na własną rękę próby przebiccia. Reorganizacja przewidziana była w okolicach Tomaszowa Lubelskiego, niestety doszła do niego tylko niewielka grupa żołnierzy. Ojciec również nie dotarł do wyznaczonego miejsca, bo został wzięty do niewoli. Podczas rewizji Niemcy odebrali mu pieniądze i zegarek, ale część ukrytych pieniędzy nie znaleźli. W niewoli przebywał tylko dwa dni, bo dołączył do dwóch szeregowców planujących ucieczkę. Nocą w miejscowości Stary Lubliniec niepostrzeżenie oddalili się od obozu i ukryli się niedaleko wsi w stodole. Rano po spotkaniu z gospodarzem, zapłacili za obfite śniadanie składające się z ogromnej ilości jajek. Kiedy okazało się, że Niemcy ich nie szukają, poszli dalej w kierunku Rzeszowa. Plan ucieczki zakładał, że każdy kontynuować ją będzie indywidualnie. Od kowala, w jednej z mijanych wsi, ojciec kupił rower i przemieszczał się dalej sam w kierunku Przemyśla, omijając duże miasta. W jednej ze wsi, gdy zatrzymał się na posiłek trafił na sowiecki patrol z oddziałów liniowych, ale nie z NKWD. W tym okresie Rosjanie nie byli jeszcze wrogo

nastawieni do Polaków. Nie przyznał się, że uciekł od Niemców, tylko, że *papał w plen*, a Niemcy go puścili bo pochodził ze Lwowa. A to ty Ukrainiec, co ojciec skwapliwie potwierdził i patrol poszedł dalej nie zwracając sobie nim głowy. Ale to nie koniec przygód z Rosjanami, bo gdy dojechał do Myślatycz, nie zauważył nikogo obcego i będąc przekonany, że jest bezpieczny radośnie wkroczył na ganek, a tam natknął się na stojącego bolszewika z naganem (nagant-rewolwer) w rękę. Dopiero zegarek naszej ciotki zdołał go przekonać, że nie jest *białym oficerem*. Tak więc w połowie września 1939 r. całą rodziną zostaliśmy mieszkańcami Myślatycz. Rządcami w majątku byli ciocia i wujek, ojciec był bratem właścicielki, zaś mama była żoną jej brata. Stabilizacja trwała do grudnia 1939 r. Z tamtego okresu pamiętam swój udział w jasełkach, które najpierw odbyły się w kościele katolickim, a dwa tygodnie później w cerkwi prawosławnej.

Na początku stycznia 1940 r. rozparcelowano nasz majątek i przekształcono w kołchoz. Przewodniczącym gminnej rady narodowej został komunista, Ukrainiec. Jego żona wcześniej u nas pracowała, była brygadistką dojarek. Obydwoje bardzo szanowali ojca. W majątku pracowało dużo Ukraińców i Polaków i nie należeliśmy do ludzi prześladowanych kogokolwiek więc z nowymi władzami nie mieliśmy zatargów. Natomiast ciocia i wujek uznani zostali za panów, czyli osoby niepożądane. Wujek, Ormianin wyjechał razem z żoną i dziećmi do Przemyśla. My pozostaliśmy w majątku. W lutym 1940 r. dowiedzieliśmy się, że wywieziono jednego z naszych sąsiadów, a cztery miesiące później, 13 czerwca 1940 r. nocą zapukali do nas jacyś panowie i oświadczyli: „zabierać z sobą po 20 kg rzeczy, wyjeżdżacie”, oczywiście nie podając, dokąd. Mój ojciec doskonale orientował się w sytuacji i powiedział do mamy, pakuj wszystko co się da, wywożą nas za Ural. Dowodzący oficer zaprotestował, mówiąc: „na jaki Ural, jedzcie do Germanii”. Oczywiście rodzice nie uwierzyli. Piękne i wzruszające było pożegnanie z byłymi pracownikami, był też przewodniczący wiejskiej rady, bo jego obecność była obowiązkowa przy deportacjach. Ze łzami w oczach wręczył ojcu worek mąki, a jego żona ze spuszczoną głową, płacząc, szła za wozem odprowadzając nas poza wieś. Nad ranem dotarliśmy do miejscowości Sambor, obecnie w obwodzie lwowskim.

2. Podróż

Kazano nam wsiadać do towarowych wagonów, jeszcze polskich kolei i co chwilę doładowywano następne osoby, między innymi rodzinę państwa Sowków, którą stanowiła matka z dwoma synami, tuż po maturze. Oni także pochodzili ze Śląska i tak jak my przebywali na urlopie u swojej rodziny. W tych wagonach jechaliśmy trzy dni. Po przekroczeniu dawnej granicy polsko-radzieckiej za miejscowością Sarny, kazano nam opuścić dotychczasowy wagon i wsiąść do radzieckiego. Nagle, ni stąd ni zowąd pojawili się ludzie z kotłami zupy. Panie, ładnie ubrane na biało, z chochlami, talerzami, częstowały wszystkich, którzy byli w tym transporcie zupą. Cała ta akcja karmienia nas była filmowana. Po wielu latach dowiedziałem się, że była to tzw. agitka, Rosjanie wywożąc Polaków na Syberię tłumaczyli całemu światu, że pomagali Polakom emigrującym zarobkowo za chlebem. Po posiłku rozpoczęła się podróż w nieznaną, po szerokich torach. Straż pilnująca nas zachowywała się różnie, tylko raz trafiliśmy na bardzo kulturalny konwój NKWD, tylko raz. Pamiętam też, że przed Uralem, zmienił się konwój i weszli jacyś straszni lu-

dzie, zaczęło się bicie, poniżanie, wrzaski, krzyki, ale gdy przekroczyliśmy Ural nastąpiła zmiana. Nowi ludzie z konwoju mimo, że także byli z NKWD wykonywali swe obowiązki bez stosowania przemocy i znęcania się. W trakcie transportu żołnierze nie sprawdzali naszej obecności. Czasami gdy zdarzyło się tak, że osoba z transportu nie zdążyła dobiec do pociągu to NKWD wsadzało go do innego, nawet pasażerskiego i dołączało do pierwotnego bo składał się głównie z lewicujących Żydów. Polaków lub katolików jak nas określano było około 40 osób. Mimo różnic wyznaniowych tworzyliśmy jedną rodzinę, wspólnotę, nie było między nami żadnych tarć. Jedzenie otrzymywaliśmy jeden raz dziennie, czasami na skutek bałaganu i złej organizacji zdarzało się, że posiłek dostaliśmy po południu a następny w tym samym dniu, ale w godzinach wieczornych, by przez kolejne dwa dni nie otrzymać nic. Ratowaliśmy się przed głodem korzystając z zabranych zapasów żywności. Sami też przygotowywaliśmy posiłki np. smażyliśmy naleśniki wykorzystując do tego celu zabrane z domów naczynia, garnki i świeczki.

Dojechaliśmy do miasta Irkuck. Po posiłku, nastąpił zbiorowy wymarsz do odwszawiania, minęło bowiem 13-14 dni podróży bez mycia, można sobie zatem wyobrazić ile tych pasożytów każdy z nas miał. Zaprowadzono nas do łaźni mieszczącej się w budynku dawnej cerkwi. Wyłożona była marmurowymi płytami i kaflami, a do ścian zainstalowane były prymitywne prysznice. Gdy my zażywaliśmy kąpieli, nasze ubrania na specjalnych wieszakach wprowadzone zostały do komory, w której znajdowała się para. Po takiej parówce żaden insekt nie miał prawa żyć. Po powrocie do wagonów kolejny rozkaz: zabierać swoje rzeczy i marsz nad Angarę. Tam czekały na nas barki. Jedna z nich była bardzo duża, pierwszy raz widziałem takiego olbrzyma, potężny *parachod*. Przed wejściem na pokład enkawudzista pytał o numer wagonu, którym przyjechaliśmy i na podstawie odpowiedzi wskazywał miejsce na barce. Po rozłokowaniu nas, przyплыł holownik i rozpoczęła się podróż w górę rzeki. Nie odczuwaliśmy głodu, bo otrzymaliśmy spore zapasy chleba, konserw mięsnych i rybnych. Wolno nam było wychodzić na pokład, nikt nas nie liczył, nie prowadził codziennej ewidencji, ale enkawudziści, czyli anioły stróże byli zawsze. Funkcjonariusze zachowywali się porządnie, z dorosłymi palili papierosy (mój ojciec wtedy zaczął palić) i toczyli wspólne rozmowy. Tak minęły trzy dni i dopłynęliśmy do miejscowości Zajarsk nad Angarą. Zabraliśmy swój dobytek i pod opieką NKWD przeszliśmy, nam się wydawało, że na stadion, a to był plac otoczony potężnym płotem z desek, na około trzy metry wysokim. Były w nim pewne udogodnienia np. sanitariaty, kuchnie. Rosjanki ciągle paliły pod kuchnią i dbały, aby stale był *kipiatok*. Rozłożyliśmy swoje rzeczy i na nich spędziliśmy noc. Oddział NKWD pilnował nas, nie w obawie przed ucieczką, bo nie było takiej możliwości, ale przed miejscowymi złodziejami, aby nas nie okradziono. Dowiedziałem się wówczas, że był to tzw. izolator i służył jako miejsce postojowe dla transportowanych więźniów. Przypuszczam, że aby nas umieścić, sowieckich więźniów wpędzono do tajgi gdzie pilnowali ich żołnierze NKWD ich pilnowali.

Po dwóch dniach pobytu w tym izolatorze, pojawiły się ciężarowe samochody, gaziki ZIS 105 i kazano się nam szykować do kolejnej podróży. Przed wyjazdem zjedliśmy zupę rybną, czyli uchę i samochodami przejechaliśmy około 360 km, czyli odległość między rzeką Angarą a rzeką Leną. Zis miał 1,5 tony udźwigu, a ponieważ zabierał ludzi z rzeczami, mieściło się na nim nie

więcej niż 15-18 osób. Nasz ojciec już nie zabrał się z nami i jechał w innym gaziku. Po drodze zatrzymywaliśmy się kilkakrotnie, pamiętam, że miałem trochę drobnych pieniędzy i kupiłem od przekupki jagody. Dojechaliśmy do miejscowości Ust-Kut, obecnie tam zaczyna się lewa odnoga kolei transsyberyjskiej. Obóz dla nas był przygotowany w tajdze. Wykarczowano część terenu, i pomiędzy drzewami rozstawione były wielkie namioty z pościelowego płótna, postawione przypuszczalnie przez więźniów, a może przez najętych ludzi. Namiotów mogło być 40-50 sztuk. Transport nasz liczył około 1300 ludzi. Bez większych trudności każdy z nas znalazł miejsce do zamieszkania. Namioty zajmowane były bez żadnych wskazań, wchodziliśmy tak jak chcieliśmy, bez żadnej segregacji. Pamiętam, że razem z nami w tym samym namiocie byli wspomniani już Sowkowie. W tym obozowisku mieszkaliśmy około dwa tygodnie. Kuchnia obsługiwana była przez Rosjan, karmiono nas całkiem porządnie, podstawą była kasza perłowa lub gryczana z naprawdę dużymi kawałami słoniny. Wodę bez ograniczeń pobieraliśmy z Leny. Posiłki były pożywne, na mięsie, na rybach, na konserwach. Nie odczuwaliśmy głodu, być może ze względu na lewicujących Izraelitów hołubiono nasz transport. Ten osiadły etap naszej podróży pozwalał nam na wędrowki do tajgi, nad rzekę, do pobliskiej miejscowości. Wypadki do tajgi szybko przestały być atrakcją a to za przyczyną komarów i meszek. Takie „miliardy” paskudnych owadów całymi stadami siadają na człowieku, znajdują każdy, najmniejszy nawet skrawek odsłoniętego ciała. Wystarczyło wtedy tylko pociągnąć ręką np. po odkrytym przedramieniu, a dłoń stawała się czerwona od krwi. Każda Rosjanka, która szła na jagody, w rękę lub na plecach miała kubek wypełniony jakimś materiałem palnym, który kopcząc się odstraszał tych krwiopijców. Ojciec często chodził do miasta Ust-Kut, zaprzyjaźnił się tam z dwiema Rosjankami, lekarkami, które opiekowały się naszym transportem. Były one dla mnie bardzo miłe, głaskały po głowie, czasami dokarmiwały jakimiś słodkościami, bo przecież jeszcze byłem *malczik*. Chciały, aby ojciec został w mieście i im pomagał w pracy, ale ich starania nie przyniosły rezultatu, bo nie miały wpływu na odgórne decyzje. Z naszego transportu nie było ucieczek, po pierwsze, nie było szans na samodzielne przeżycie w nieprzyjaznej okolicy i surowym klimacie Syberii, a po drugie chyba ze względów ideologicznych.

Po tych dwóch tygodniach przypłynęły po nas trzy potężne barki, zaczepiono je do holownika Mołotow, ale ponieważ nie wszyscy się zmieścili czekano na kolejne barki i na drugi holownik. Barka to rodzaj statku używanego w żegludze śródlądowej, który nie posiada własnego napędu. Może poruszać się tylko z prądem rzeki lub być holowana pod prąd przez ludzi (burłacy), zwierzęta pociągowe np. konie idące brzegiem rzeki lub przez holowniki. Płynęliśmy w dół rzeki Leny. Po jakimś czasie, nie potrafię tego określić, dopłynęliśmy do miejscowości Jakuck, stolicy Republiki Sacha, czyli Autonomicznej Republiki Jakucji. W Jakucku nie zatrzymaliśmy się w porcie pasażerskim, ale nieco poza miastem. Podjechały samochody ciężarowe i po trapie z desek przetransportowano żywność, głównie chleb i konserwy. Załadunek trwał około trzy, cztery godziny, w tym czasie ojciec korzystając z wolnego czasu i wykorzystując znajomość języka wybrał się do miasta. Tam po raz pierwszy nawiązał kontakt z rodziną wysyłając list do ciotki w Rzeszowie. W międzyczasie zaopatrzył się także w paliwo, którym był węgiel. Dalej znów płynęliśmy

Lena, po kilku dniach holownik wpłynął w rzekę Ałdan znajdującą się około 190 km za Jakuckiem. Ałdan w większości swojego biegu ma charakter rzeki górskiej. Płynąc minęliśmy miejscowość Chandygę. To miejsce, jeszcze o tym nie wiedzieliśmy, to był początek tzw. „drogi śmierci” zwanej także „drogą z kości” wiodącej na Kołymę. Przy budowie traktu kołymskiego zginęło tysiące ludzi w tym ogromna liczba Polaków. Dopłynęliśmy do miejsca, w którym holownik nie był w stanie dalej ciągnąć naszych trzech barek po dużych górskich bystrzynach. Zostawił więc naszą barcę, a z dwoma popłynął dalej w górę rzeki. Zakotwiczyliśmy i wolny czas przeznaczaliśmy na plażowanie nad Ałdanem. Otaczała nas niezniszczona, wspaniała przyroda. Jedyne minusem były meszki i komary. W czystej, krystalicznej wodzie razem z ojcem łowiłem ryby. Nikt nie miał haczyków, ale dzięki pomysłowości ojca, mieliśmy je zrobione z agrafki. I na to się ryby łąpały. Po trzech dniach skończył się czas odpoczynku, holownik wrócił po nas i dopłynęliśmy do miejscowości Ałachjuń. Po zacumowaniu enkawudziści zaczęli wyczytywać nazwiska, okazało się, że na łódź zeszyły tylko rodziny z dziećmi, ludzie chorzy oraz starzy. Małżeństwa bezdzietne, kawalerowie, panny, czyli osoby młode popłynęły dalej, jak się później okazało do miejscowości Ust-Maja, ale warunki ich życia były zdecydowanie gorsze od naszych. Dla nas, rozstawione były namioty. Posiłki były podobnie przygotowane jak w poprzednim miejscu postojowym, składały się one z kaszy i dużych kawałków i słoniny. Rosjanki gotowały nam tylko obiady, a na śniadania i kolacje dostawaliśmy chleb i konserwy. Wkrótce okazało się, że do miejscowości, do której jesteśmy przeznaczeni o nazwie Minor, w której znajdowała się odkrywkowa kopalnia złota, mamy przejść około 380-400 km pieszo, razem z naszymi rzeczami. Było to równoznaczne ze śmiercią, co najmniej połowy deportowanych. Droga w tajdze syberyjskiej to bagnisty i błotnisty trakt powstały po wyrębie lasu, pełen kolein różnej głębokości wypełnionych wodą. Błoto różnej konsystencji, raz rzadkie, innym gęste niczym wysoko procentowa śmietana sięgające od kostek aż pod kolana, przyklepiało się trwale do ciała oblepiając je. Po deszczu ta maź była praktycznie nie do pokonania. A my mieliśmy po takiej drodze nieść ze sobą bagaże i dzieci przez kilkaset kilometrów. Enkawudziści nie zważając na nasze głosy niedowierzania, że mamy przedzierać się przez te błota, podzielili nas na 2 grupy po około 500 osób i kazali wymaszerować. I wtedy zawiązał się „komitet protestacyjny” składający się z Żydów, którzy nie krępowali się swoich lewicujących przekonań, a wręcz przeciwnie, na każdym kroku podkreślali je. Odmówili wymarszu i jeszcze tego samego dnia wysłali telegram do szefa NKWD w Moskwie Ławrentyja Berii. Co w nim było dokładnie, nie wiem, ale z pewnością nakreśli swoje położenie i poprosili o pomoc. Przez ten czas strajku, my dzieciaki bawiliśmy się, chodziliśmy łowić ryby. W naszych zabawach nie uczestniczyły tylko żydowskie dziewczynki. I oto pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że przypłyną po nas łodzie. Rzeczywiście, pojawiły się wielkie, o pojemności 5-6 ton wyporności, zaprzężone w 2 konie a trzeci biegał swobodnie jako luzak. Część zesłańców z niedowierzaniem przyjmuje moją relację, bo stosowaną odpowiedzią strażników pilnujących zesłańców na jakikolwiek przejaw sprzeciwu wobec dowódcy było rozstrzelanie osób protestujących. Ale pamiętać należy, że Stalin w 1934 r. stworzył Żydowski Obwód Autonomiczny na rzece Amur tuż przy granicy z Chinami.

Załadowaliśmy więc nasze bagaże na łódzie i spokojnie przemieszczaliśmy się dalej do miejsca przeznaczenia. Jedynym kłopotem, z którym nie potrafiliśmy sobie poradzić na tym etapie wędrówki, było złe samopoczucie mamy. Od dłuższego czasu była blada, często się męczyła, miała trudności ze snem. Pojawiła się gorączka i konieczne stało się jej przeniesienie na łódź, w której przebywały osoby chore – była to *bolnica*. Jak się później okazało, te objawy to były pierwsze zwiastuny gruźlicy. Łodzie zatrzymywały się na obiad i na kamieniach pitrasiliśmy zupy. Pamiętam, że każdy z nas otrzymał po 28 konserw (rybnych i mięsnych) na osobę, bo na tyle dni przewidziany był transport. Żydzi wymieniali się z nami konserwami, za rybą wytargowaliśmy po dwie mięsne. Gdy zapadał zmierzch zatrzymywaliśmy się na dłużej, na nocny postój. Najczęściej spaliśmy pod gołym niebem, a namioty rozkładaliśmy tylko wtedy, gdy padał ulewny deszcz. Noce były cudowne, nad głowami rozpościerało się niebo pokryte gęsto gwiazdami, towarzyszyło nam rześkie powietrze oraz śpiew ptaków. Ich śpiewem można się było zachwycać całą noc. Nadchodził świt a ptasie trele nadal trwały. Wprawne ucho mogło bez trudu rozróżnić różne dźwięki. Ja niestety do tych osób nie należałem. Dla mnie już prawie 10 letniego chłopca to były wspaniałe przeżycia. Rosjanie pracujący na łódkach, to byli młodzi ludzie, wieczorem rozpalali ognisko, grali na harmonii, śpiewali i oczywiście raczyli się alkoholem. Ich gry i śpiewu mogłem słuchać godzinami. A gdy jeszcze zaczęli z fantazją wykonywać przysiady i podskoki, przez moment zapominało się o trudnym losie tułacza. Po nocy nastawał świt – czar przyskał. Przy stromych brzegach, kiedy konie nie mogły ciągnąć barek, wyprzęgano je, siodła i cały ekwipunek wrzucano do łódki. Łodzią przepływaliśmy na drugą stronę rzeki o łagodniejszym brzegu i furmani ponownie zaprzęgali konie, a łódzie płynęły dalej. Zgodnie z przewidywaniami, po 28 dniach dotarliśmy do miejscowości *Gwiazdeczka*. Wypakowaliśmy swoje bagaże i po serdecznym pożegnaniu z załogą, która zaraz odpłynęła, odbyło się spotkanie z naczelnikiem NKWD lejtnantem Mirosznichenko. Przywitał nas słowami: *Żyt budietie, prywyknietie, kak nie prywyknietie, padochnitie* i zakomunikował, że przed nami jest jeszcze jeden odcinek drogi do pokonania pieszo. Należało przejść 12 km przełęcz od rzeki Ałach-juń do miejscowości Minor, która była naszym punktem docelowym. W Minorze znajdowała się kopalnia złota i mieliśmy w niej pracować. Aby przyspieszyć dotarcie do kopalni do dyspozycji otrzymaliśmy wóz zaprzęgnięty w trzy konie. W pierwszej kolejności przewoził osoby chore i małe dzieci. Transport wszystkich bagaży zakończył się po tygodniu.

3. Minor

Trafiliśmy szczęśliwie, boską ręką chronieni. Okazało się, że kopalnia nie przynosiła zysku, była nieopłacalna, dlatego w innym miejscu założono kolejną odkrywkę i tam przeniesiono pracowników, a po nich pozostały domy, w których mieliśmy zamieszkać. I to było nasze szczęście, bo kiedy przyszła zima i mróz do minus 50° C, nie wyobrażam sobie jak moglibyśmy przeżyć w namiotach lub na szybko skleconych szałasach z drewna.

Weszliśmy do takiego typowego domu zbudowanego z grubych drewnianych bali, a tam tylko cztery ściany i nic więcej. Zaraz następnego dnia z dużej beczki po paliwie przeciętej na pół zrobiliśmy piec i zakończyliśmy go rurą, która zabezpieczona blachą wychodziła na zewnątrz przez dach. Razem z nami

zamieszkała rodzina żydowska – małżeństwo z dwójką dorosłych dzieci, a później na krótko dokwaterowano jeszcze kilka starszych osób. Dogadywaliśmy się bez problemu i mimo trudnych warunków lokalowych żyliśmy zgodnie. Żydzi ze sobą nie zawsze mogli się pogodzić, czasami dochodziło między nimi do konfliktów.

Dano nam trzy dni wolnego na zagospodarowanie. Najbliższa miejscowość, ta o wdzięcznej nazwie – Gwiazdeczka znajdowała się w odległości ok. 12 km, a do powiatowego miasta było 120 km. W Gwiazdeczce ojciec wysłał kolejny telegram do siostry, tym razem oprócz informacji o nas, prosił o pomoc finansową w kwocie 1000 rubli. Niestety pieniądze nigdy do nas nie dotarły. Mama była coraz słabsza, zaczął pojawiać się kaszel, zdrowie nie pozwalało jej na pracę, zostawała więc z nami, a pracował tylko ojciec.

Złoto było surowcem strategicznym, Rosjanie robili wszystko, aby zwiększyć wydajność kopalń, dlatego do pracy w kopalniach zsyłani byli głównie ludzie młodzi i zdrowi. Każda z kopalń była przedsiębiorstwem samowystarczalnym. Miała swoje zapasy żywności, warsztaty naprawcze, mieszkania i wszystko to, co potrzebne do życia. Rosjanie zaopatrywali kopalnie złota bardzo dobrze we wszystkie produkty dlatego nie cierpieliśmy głodu i to było kolejne szczęście.

Do kopalni złota, było 5 km. Ojciec dostał taczkę, łopatę, kilof czyli podstawowe narzędzia i dołączył do wszystkich pracujących. Brygada kopała ziemię łopatom i po desce na taczkach wywoziła urobek do wyznaczonego punktu. W nim znajdował się gumowy transporter, który prznosił ziemię do spłuczki. Spłuczka była wielka, około 20 metrowa skrzynia z drgającymi metalowymi sitami. Pozwalało to na zatrzymywanie kamieni o różnych rozmiarach na sitach, aż do piasku, czyli bardzo drobnej frakcji urobku. Czyste złoto wypłukiwało się z piasku. Praca w kopalni trwała do pierwszych mrozów, zimą ze względu na wieczną zmarzlinę nie było możliwości kopania ziemi. Gdy kopalnia nie pracowała, ojciec pracował przy wyrębie lasu, w zaopatrzeniu i wykonywał inne drobne prace np. dorabiał jako krawiec. Podstaw krawiectwa nauczył się jeszcze podczas służby wojskowej. Jako podoficer, zobowiązany był w ramach pułku sprawować różne funkcje, był dowódcą np. drużyny amunicyjnej musiał zatem dbać o pociski i znać się na nich. Gdy został przeniesiony na podoficera gospodarczego podlegali mu krawcy, szewcy, cholewkarze, kucharze itp.

Po krótkim okresie pobytu w osadzie, zaczął się dla mnie okres nauki w szkole, którą Rosjanie utworzyli dla około 40 osób. Gdy przyjechaliśmy do Minor, już dobrze umiałem porozumiewać się po rosyjsku, a w szkole uczyliśmy się czytać, pisać i liczyć, dlatego nie miałem żadnych kłopotów z otrzymywaniem dobrych ocen. Nauczycielkami były Rosjanki, które mieszkały w osiedlu administracyjnym. Rosjanie mieszkali w zupełnie innych warunkach, mieli np. swoje kino, teatr. Z czasów szkolnych pamiętam doskonale komunistyczne pozdrowienie wygłaszane na początku lekcji: *Bud' gatow, wsiegda gatow lub Towarzyszu Stalin dziękujemy ci za nasze szczęśliwe dzieciństwo.*

Przez cały czas pobytu byliśmy nadzorowani, wodzem był komendant Miroszniczenko, zastępcą Fomin, a do dyspozycji mieli jeszcze kilkunastu żołnierzy. Ich praca polegała na okresowym przeprowadzaniu patroli na naszym osiedlu, ale nie trzeba było nas pilnować, bo jak uciekać, jeżeli do dużego miasteczka powiatowego czekała przeprawa przez tajgę. A poza tym, nie było żad-

nej potrzeby uciekania. Mieliliśmy zapowiedziane przez lejtnanta, że nigdy stąd nie wyjedziemy. Jedni przyjęli tą wiadomość spokojnie, inni byli bardzo niezadowoleni, a dla części osób nie miało to żadnego znaczenia, przygotowani byli, że zostaną tu na zawsze.

Wkrótce ja także zacząłem pracować zarobkowo, moja praca przypadła w soboty, czyli w dzień szabasu, kiedy Żydzi obchodzili swoje święto. Bolszewicy pozwolił im na praktyki religijne, w zamian Żydzi pracowali w niedzielę. Od piątku po południu do soboty wieczorem wyznawców judaizmu obowiązuje całkowity zakaz pracy. W tym dniu nie tylko, że nie pracowali, ale, zgodnie z prawem religijnym nie mogli rozpalać ognia, a jak świętować, gdy temperatura powietrza – 40 °C? Na czym polegała moja praca? Otóż chodziłem od domu do domu i za 5 rubli zajmowałem się paleniem w piecach. Pieniądże zaczęły nam być bardzo potrzebne, bo stan zdrowia mamy się pogarszał, a przecież musiała się dobrze odżywiać. Pamiętam, że kilogram słoniny kosztował 50 rubli.

Wiosną, gdy ruszyła odkrywka, wszyscy dorośli wrócili do pracy w kopalni. Także zmieniłem pracę, ale nie zajmowałem się wydobywaniem złota. Przejąłem obowiązki Rosjanki związane z zapewnieniem stałej obecności gorącej wody w pomieszczeniu kuchennym. Brygady pracujące w terenie (elektrycy, mechanicy, brygady pomocnicze) po powrocie do baraków potrzebowały gorącego napoju, czajnik z wrzątkiem musiał stać na piecu. W zamian dostawałem dniówkę, czyli 20 rubli i 800 g chleba.

W czerwcu 1941 roku Niemcy zaatakowali ZSRR. Jak to pamięta mój ojciec, lejtnant Miroszniczenko zwołał spotkanie na którym stawilo się około 300 osób i zakomunikował, że rozpoczęła się wojna. (Zapomniał, że II wojna światowa rozpoczęła się 1 września 1939 r.). W trakcie przemowy zwrócił się do zgromadzonych słowami: *Bracia Słowianie, Żydzi stojący tuż obok ojca skomentowali to w ten sposób: Jacy my jesteśmy dla ciebie Słowianie.* Za dwa dni byliśmy wolni. Wolność ta polegała na tym, że nie było lejtnanta i nie byliśmy pilnowani przez NKWD. Ale w związku z toczącą się wojną zaczęło się dla nas racjonowanie pożywienia. Jeszcze dla osób pracujących w kopalni nie było ono tak dotkliwe, ponieważ normy zaopatrzenia chleba, mąki i cukru były jeszcze w granicach zdrowego rozsądku np. górnik dostawał 800 g chleba, urzędnik, nauczyciel, pracownik administracyjny 600 g, dzieci po 400 g, a niepracujące osoby po 200 g, ale takich prawie nie było. Chleb w sklepie można było wymienić na mąkę, więc każdy w zależności od swojej inwencji jakoś sobie radził.

29 września 1940 r. w wieku 33 lat odeszła od nas mama. Dotknęła nas wielka tragedia, której nie będę nawet próbować opisywać. Nikt z rodziny nie był obecny podczas jej odchodzenia, bo pracowaliśmy. Ojciec był w szpitalu poprzedniego dnia, ale nic nie wskazywało, że stan zdrowia się nagle załamał. Prosto ze szpitala ciało mamy zostało zabrane do domu. Pamiętam, że myciem, ubieraniem zajmowały się dwie panie, pani Hawelińska i jej córka Krysią. W pobliżu naszej osady nie było żadnej cerkwi, pochowaliśmy mamę na cmentarzu w Minorze. Był on już sporych rozmiarów, bo w naszej grupie zesłańców były rodziny z dziećmi i osoby starsze, które w naturalny sposób umierały. Żydzi chowali umarłych na cmentarzu z rabinem, dla nas nie było obrządku katolickiego, ale mamę pochowano z krzyżem, który niósł pan Józwa. Minor było osiedlem kopalnianym, komunistycznym, a mimo to Rosjanie, którzy nas mijali, zdejmowali nakrycia z głów. Zgodnie z katolicką tradycją, 1 listopada poszliśmy na grób mamy. Było około 15,00, robiło się już ciemno, a gdy zapaliliśmy świece pojawi-

li się Rosjanie, bo nie wiedzieli, co się dzieje. Ojciec odpowiedział, że *eta mogiłki* i oni odeszli, szanując nasz ból. Niestety, po opuszczeniu Syberii nie udało mi się odwiedzić grobu matki, a tak bardzo chciałbym zapalić świeczkę i pomodlić się właśnie tam, nad miejscem jej pochówku.

Po okresie żałoby, ojciec ożenił się ponownie – z Rozalią, była Polką, pochodziła spod Krakowa, przybyła do Minoru transportem z bogatymi Żydami. Zналиśmy Rózię, bo mama przyjaźniła się z nią i bywała u nas w domu bardzo często. Przez długi czas zwracałem się do swojej macochy po imieniu.

Rok 1941 był ostatnim rokiem eksploatacji kopalni złota. Rosjanie zamknęli kopalnię. Po podpisaniu układu zwanego potocznie Sikorki – Majski na mocy „amnestii” pozwolono obywatelom polskim przebywającym na zesłaniu poruszać się, podróżować, wyjeżdżać. Dla nas ta wolność możliwa była jedynie w granicach Republiki Sacha. W 1942 r. wyjechaliśmy z innymi osobami, w tym Żydami do Jakucka.

4. Jakuck

W pierwszych dniach po przyjeździe zamieszkaliśmy wspólnie z innymi zesłańcami, ale ojciec chodził po Jakucku i szukał mieszkania. Znalazł go u Polaka skazanego jeszcze za czasów caratu za czyn kryminalny. Właściciel trzy pokojowego domu wynajął ojcu duży pokój ze wspólną kuchnią, drugi pokój zajmował on, a trzeci bardzo sympatyczne, młode Rosjanki pracujące w fabryce pierników.

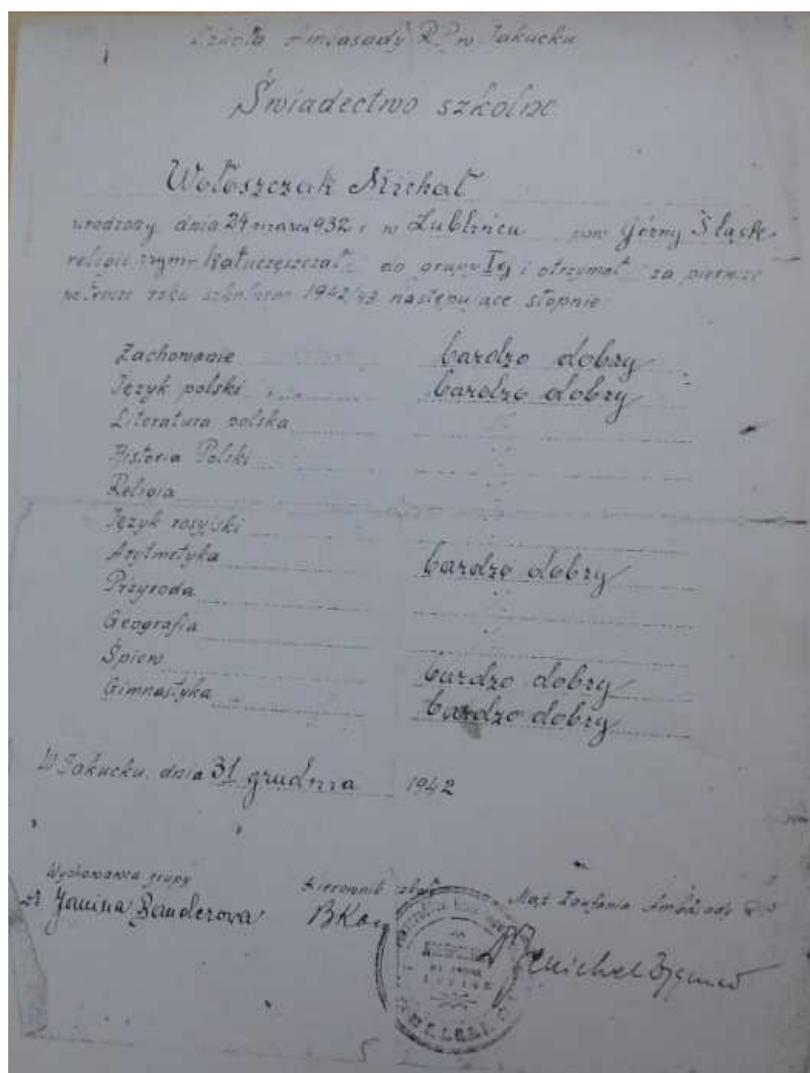
W Jakucji nie czuliśmy się już tak bardzo zniewoleni. To była zupełnie inna republika, inni ludzie, atmosfera. Warunki do życia ze względu na klimat były bardzo niesprzyjające. Mówiąc, że zimy były i są nadal bardzo srogie, z pewnością nie myślimy o temperaturach w granicach minus 30-50 °C, o powietrzu utrudniającym oddychaniu i odmrożeniach. A mimo to Jakucja promieniowała mądrością, toczyło się życie kulturalne, odbywały się spektakle teatralne. Bardzo szybko zorganizowała się Polonia. Żydzi jako świetni organizatorzy zajęli się uruchomieniem dla dzieci przedszkola i szkoły, a także porozumieli się z Rosjanami w sprawie amerykańskich dostaw żywności, dzięki którym głód nam nie doskwierał.

Po krótkim okresie aklimatyzacji zacząłem uczęszczać do szkoły polskiej, przy polskiej ambasadzie. Z dumą powtarzam, że obecnie jestem jedynym człowiekiem, który posiada w Polsce świadectwo ukończenia Szkoły Ambasady Rzeczypospolitej w Jakucku.

Z dzieci wieku szkolnym utworzono 4 grupy uczniów, łącznie do szkoły uczęszczało nas około 80. Byłem jednym z najlepszych uczniów, osiągałem bardzo dobre oceny ze wszystkich przedmiotów nauczania za wyjątkiem matematyki. Przedmiot ten sprawiał mi ogromne trudności, a ponadto nie potrafiłem i nie lubiłem się go uczyć.

Zakończenie zajęć w szkole wiązało się z czasem wspólnych zabaw. Razem z kolegami Rosjanami, Żydami i Jakutami chodziliśmy na sanki, narty, latem biegaliśmy i wymyślali mnóstwo zabaw, tym bardziej, że miasto było rozległe i malownicze. Mieliliśmy bardzo dużo ciekawych pomysłów, czasami towarzyszyły im większe lub mniejsze kłótnie z różnorodną ilością bójek. Rówieśnicy wiedzieli, że ze mną nie ma co się handryczyć i wszczynać zatargów. Z tej opinii korzystał nawet mój młodszy brat – przedszkolak. W tamtym okresie byłem takim trochę łobuziakiem i nie dawałem sobie „napłuć w kaszę”.

Działania wojenne wymagały stałego napływu żołnierzy na front. Pobór do wojska nie ominął również mieszkańców Jakucji. Gdy zabrakło fachowców, miasto gospodarczo zaczęło podupadać. W takiej sytuacji ojciec bez trudu znalazł pracę. Został kierownikiem dużego warsztatu krawieckiego, w którym pracowały głównie kobiety. Nie bardzo znał szczegóły zawodu, ale szybko poznał jego tajniki. Było to tym łatwiejsze, że głównym asortymentem były mundury dla wojska.



Świadectwo szkolne Ambasady RP w Jakucku

Więść o tym, że podpisano umowę wojskową, na mocy której, gen. Anders tworzył Armię Polską w ZSRR szybko docierała do Polaków przebywających w łagrach lub na zesłaniu. Wśród chętnych, znaleźli się bracia Sowkowie mieszkający kilka kilometrów od Jakucji. Z utęsknieniem czekali na zgodę

na wyjazd, tym bardziej, że nic ich nie trzymało w republice Sacha, bo jedyna bliska im osoba, czyli matka zmarła. Niestety, odpowiedź dla nich była odmowna *niezła*. Inni Polacy również nie otrzymali zgody. Dopiero później, gdy tworzyła się armia Berlinga, można się było zaciągnąć. Zgłosiło się 4 Polaków, w tym bracia Sowkowie i udało im się wyjechać.

Trudności finansowe naszego właściciela domu spowodowały, że musieliśmy szukać innego lokum. Nie było łatwo, tym bardziej, że na świat przyszedł mój drugi braciszek – Marcin. Zamieszkaliśmy w gorszych warunkach, były to drewniane baraki i w nich mieszkaliśmy do 1944 r. W międzyczasie ojciec zmienił pracę, zarobki były znacząco wyższe niż w zakładzie krawieckim. Zaczął pracować na holowniku „Pierwsza Pięciolatka”, a ja wraz z nim. Latem pływaliśmy na odcinku Jakuck – Chandyga.

Lena uchodzi do Morza Łaptiewów około 150 odnogami, nad jedną z nich, nad zatoką Tiksi znajdowało się miasteczko o tej samej nazwie. Rzadko mówi się o znaczeniu Tiksi i Leny, a była to jedna z dróg transportu pomocy *Lend-Leas*, udzielonej Stalinowi przez Amerykanów. W ramach tej pomocy przekazywana była głównie żywność, a także samochody terenowe, ciężarówki, wagony kolejowe, materiały wybuchowe. Amerykańskie towary transportowano z Alaski do ujścia rzeki Leny, bo Rosjanie nie byli w stanie wojny z Japonią. Japończycy nie topili statków rosyjskich, które z Władywostoku płynęły ku brzegom Alaski, brały towar i transportowały do Tiksi. Ze względu na duże wahania poziomu wody na Lenie w okresie letnim, czekano aż rzeka zamarznie, a gdy to się stało, była wspaniałą autostradą. Takimi „zimnikami” tysiące „sztudymbakierów” w dzień i w nocy przewoziło towary z Tiksi do Irkucka, a z Irkucka koleją na front. Studebakery to były ciężarowe samochody produkowane na potrzeby wojsk alianckich. Po zakończeniu wojny część z tych samochodów przekazana została na wyposażenie polskiemu wojsku.

I tak na nauce i pracy mijały dni, miesiące, żyliśmy spokojnie, nie cierpiąc głodu, prześladowania, poniżania i upokarzania, aż do lata 1944 r., kiedy to zapadła decyzja NKWD o przesiedleniu naszego transportu do Republiki Niemców Nadwołżańskich.

5. Niemiecka Nadwołżańska Autonomiczna Republika Radziecka

Tereny na które mieliśmy wyjechać, zajmowane były od XVIII przez osadników z Niemiec, którzy rozpoczęli ich zagospodarowywanie po zaproszeniu carycy Katarzyny II. Stolicą Niemieckiej Nadwołżańskiej Autonomicznej Republiki utworzonej po rewolucji październikowej było miasto Engels. Po ataku Niemców na ZSRR, Stalin potraktował osadników jako potencjalnych wrogów i w obawie przed aktami sabotażu na mocy wydanego dekretu o wygnaniu zostali oni zesłani głównie na Syberię i do Kazachstanu, a wyludnione osady były zapełniane przesiedleńcami innych narodowości.

W sierpniu 1944 r. zgodnie z poleceniem władz NKWD spakowaliśmy posiadany dobytek i pojechaliśmy do portu handlowego *Darki-tach*. Pamiętam, że pierwszą z czynności podjętych wobec nas, było szczepienie przeciwko tyfusowi. Po dniu oczekiwania przyplłynął luksusowy, pasażerski statek *Moskwa*. W dwuosobowych kajutach przebywało po 8 osób. Jako dzieci nie odczuwaliśmy ciasnoty w kajucie, bo całe dni upływały nam na zabawach i bieganiu po

statku. Z ogromną przyjemnością i dziecięcą fantazją uwielbialiśmy dokuczać naszemu kapitanowi, szczególnie wtedy, gdy udało mu się zasnąć. W porcie Ust-Kut przesiadliśmy się na inny statek i wkrótce zaczęliśmy płynąć Angarą. Angara to jedyna rzeka, wypływająca z wielkiego zbiornika słodkiej wody jakim jest jezioro Bajkał. W trakcie tej podróży, w pewnym momencie statek przestał płynąć, a przyczyną przymusowego postoju okazał się być brak paliwa. Ta podróż obfitowała również w inne wydarzenia, np. uratowałem swojego braciszka, który wpadł do wody i niechybnie by się utopił, gdybym go z niej nie wyciągnął. Wspólnie z kolegami 16-18 latkami nie daliśmy się Rosjanom okraść. Na wieść o planach obrabowania nas, przybiliśmy do brzegu, rozpalili ognisko i zaopatrzeni w kije odparliśmy atak złodziei.

Po zacumowaniu statku, na lądzie czekały już na nas Studebakery. Ponownie przeładowaliśmy swoje bagaże i po około 13-16 godzinach jazdy dojechaliśmy do Zajarska, miejscowości oddalonej od Moskwy o około 800 km. Tam przez kilka dni mieszkaliśmy w prywatnych domach po czym przetransportowano nas do Makarowa i rozlokowano w koszarach. Postój trwał około dwa tygodnie. W tym okresie oczekiwania na przyjazd pociągu zdani byliśmy na siebie i musieliśmy zadbać o prowiant. Pociągiem dotarliśmy do miasta Engels, a tam zaczęli po nas przyjeżdżać „kupcy”, czyli dyrektorzy sowchozów i oferując lepsze lub gorsze warunki namawiali do osiedlenia w zarządzanym przez siebie gospodarstwie. Ojca, rodzinę Hawelińskich i kilka jeszcze innych osób zwerbował do sowchozu Gorski, powiat pierwomajskoje, woj. Saratowskie, dyrektor Pawłow.

Pawłow, był pilotem wojskowym. Na froncie został ranny i po powrocie do zdrowia nie wrócił w szeregi Armii Czerwonej, ale został mianowany dyrektorem sowchozu. Oczywiście nie miał żadnego pojęcia o prowadzeniu i zarządzaniu Państwowym Gospodarstwem Rolnym. Po naszym przyjeździe długo rozmawiał z ojcem. Jej efektem było mianowanie ojca na *zawchoza*, czyli pracownika gospodarczego, w znacznej mierze zarządzającego gospodarstwem. Ojciec jako przedwojenny współwłaściciel majątku w Myślatyczach i znający się na gospodarowaniu dbał o wszystko; by nie padła żadna krowa, żaden koń, co się zdarzało w sąsiednich sowchozach, by nie płacić kar za opóźnienia i niedociągnięcia itp. Unowocześniał metody pracy, wprowadzał zmiany np. w sposobie karmienia krów. Na każdą krowę przewidziana była określona ilość mąki, jeśli dobrze pamiętam to około 300 g. Rosjanki wysypywały ją do żłobu. Można bez trudu zauważyć, że ilość karmy dostarczanej w ten sposób nie zaspokajała potrzeb zwierzęcia, bo pozostawała na brzegach koryt. Ojciec zaordynował, aby część odciganego mleka łączyć z wodą i mąką, gotować i taką zawiesiną poić krowy. Każda krowa w ciągu doby dostawała, co najmniej wiadro takiego płynu do wypicia i efekty w postaci zwiększonej ilości udoju widoczne były wkrótce. Za bardzo dobre wyniki osiągnięte przez gospodarstwo rolne dyrektor Pawłow został przez partię w powiecie doceniony i przeniesiony z sowchozu na stanowisko II sekretarza partii do Pierwomajaska.

Z nowym dyrektorem ojciec nie znalazł wspólnego języka i zrezygnował ze swojego stanowiska. Jednak były dyrektor nie zapomniał o nim, ściągnął ojca do siebie i ponownie powierzył odpowiedzialne stanowisko, tym razem zastępcy szefa gospodarki komunalnej. Nie było to samodzielne stanowisko, ojciec podle-

gał pod wysoko postawioną partyjnie kobietę, która nie znała się nie tylko na wodociągach ale tak naprawdę na niczym. W stosunku do ojca zachowywała się bez zarzutu. Sekretarz Pawłow i na tym powiatowym stanowisku dużo zawdzięczał mojemu ojcu, który nie tylko mądrze i sumiennie pracował, ale miał także zmysł organizacyjny. Pewnego dnia zepsuł się radiowęzeł. Trwała wojna, a ludzie chcieli wiedzieć, co się dzieje na froncie. Gdy nikt z pracowników nie potrafił go zreperować, sekretarz Pawłow wezwał ojca i zapytał czy ma na to jakąś radę. Ojciec niestety nie znał się na naprawie takiego sprzętu, ale zaproponował rozwiązanie – w odległości około 60 km od powiatu w miejscowości Wierszowo był duży obóz jeńców niemieckich i tam z pewnością uda się znaleźć fachowców. Dowódca NKWD zgodził się i dwóch milicjantów pod eskortą przywiozło elektryka, który usunął usterki i radiowęzeł zaczął nadawać.



Pobyt na Syberii – ojciec trzeci w drugim rzędzie

Jako jedenastolatek musiałem pracować. Zostałem pastuchem. Początkowo pasłem owce, później krowy. Obowiązki pastucha sprawowałem niedługo, do października lub listopada, bo nikt z zarządzających nie pomyślał, że zwierzęta zimą też muszą coś jeść i nie zaopatrzył sowchozu w żywność dla zwierząt. Krowy ocalały, ale barany poszły do rzeźni. Później zostałem listonoszem w mojej miejscowości. Co drugi dzień, na wspinałym kucyku jeździłem do rejonu, czyli powiatu oddalonego o około 12 km. Przywoziłem stamtąd listy i paczki, bo w tym czasie Rosjanie doszli już do terenów zamieszkałych przez

Niemców, czyli do Prus Wschodnich i każdy żołnierz mógł wysłać raz w miesiącu 10 kg paczkę, z tym „co kupić”. Kolejną pracę podjąłem w mleczarzni jako poganiacz wielbłąda. Niemcy mieli wszystko zmechanizowane, siłę napędzającą maszyny zapewniał chodzący w kieracie wielbłąd. Dzięki jego pracy można było mechanicznie odciągać śmietanę, robić masło.

W Nadwożańskiej Republice mieszkaliśmy 2 lata, do 1946 r. Przez ten cały czas osoby z naszego transportu były nadzorowane przez NKWD. Pewnego dnia żołnierze zawiadomili nas, że mamy się pakować, bo wkrótce przyjadą po nas ciężarówki i przewiozą do miejscowości Plos, w której będziemy oczekiwać na transport do Polski. W pierwszej chwili wiadomość przyjęliśmy z niedowierzaniem, bo wcześniej nie mieliśmy żadnych sygnałów, że możemy liczyć na powrót do kraju. A później, eksplozja radości. Na stacji kolejowej Polacy i Żydzi z naszego rejonu ochoczo i z radością zapełniali wagony, na następnych dołączali kolejni, za wyjątkiem tych, którzy na ochotnika zgłosili się do dywizji im. T. Kościuszki. Jakże inaczej znosiliśmy trudy podróży, gdy każda godzina przybliżała nas do Polski, do domu.

6. Powrót do Polski

Na zakończenie chciałbym oddać hołd mojemu ojcu i w kilku słowach wyrazić swój podziw i uznanie dla niego. Był wspaniałym człowiekiem, zawsze, aż do końca swojego życia był dla mnie wielkim przyjacielem i autorytetem. Mieliśmy mnóstwo wspólnych tematów a zmagania i przeżycia syberyjskie wzmocniły naszą miłość, ukształtowały postawy moralne i wpłynęły na moje życiowe wybory. Zmarł w wieku 84 lat i choć długo dane było mi z nim przebywać, wciąż czuję niedosyt jego obecności przy mnie.

*

Kazimierz Kotowski – Z rodzinnej wioski na zesłanie

1. Deportacja

Z rodzinnej wioski w Gronostajach obecnie powiat łomżyński woj. podlaskie wywieziono mnie i moją rodzinę w piątek 18 czerwca 1941 r. Dlaczego? A czy Rosjanie tłumaczyli? Być może jednym z powodów była konspiracyjna działalność młodszych braci ojca, którzy od 17 września 1939 r. aktywnie uczestniczyli we wszystkich akcjach skierowanych przeciwko komunistycznym władzom Związku Radzieckiego. Dwukrotnie funkcjonariusze NKWD próbowali ich zatrzymać, ale stryjkowie za każdym razem byli uprzedzeni i nie nocowali w domu. Ale za to aresztowano ojca? Nie był długo przetrzymywany w areszcie, ponieważ nie było żadnych dowodów świadczących na jego niekorzyść, ponadto ojciec nie należał do żadnej organizacji. Był przykładnym opiekunem rodziny składającej się z sędziwej matki, żony i szóstki dzieci.

Żołnierze zapukali w drzwi domu około trzeciej nad ranem. Przygotowaną mieli jedną furmankę najętą od sąsiada i kazali się pakować, bo będziemy wywiezieni - jedziecie na białe niedźwiedzie. Pakowanie niezbędnych rzeczy trwało około dwie godziny. Okazało się, że dla tak licznej rodziny potrzebna

była jeszcze jedna furmanka, dlatego ojciec kazał zaprząć do wozu konie z naszego gospodarstwa. Babcia czyli mama ojca miała 80 lat, jej NKWD nie planowało zabrać, nawet rzucili takie zdanie - *Staruchy nie zabieramy*. Dzięki temu babcia pozostała i doczekała się naszego powrotu z zesłania. Moje cztery siostry, dwie młodsze i dwie starsze, ośmiomiesięczny braciszek, ja dziesięcioletek i rodzice zostaliśmy przewiezieni do miejscowości Czerwony Bór. Tam przez całą sobotę Rosjanie zwozili kolejne osoby przeznaczone na zsyłkę. Deportacja ludności z naszej wsi odbyła się jednorazowo, w innych okolicach regionu trwały one przez cały czerwiec. Gdy zakończono zwożenie kolejnych rodzin, kazano wsiadać do podstawionych wagonów. Były to kryte wagony towarowe, oczywiście przystosowane już do szerokich torów. Wewnątrz, w połowie wysokości umieszczone były prycze, a po obu stronach wagonu, naprzeciw siebie znajdowały się przesuwane drzwi i w jednej części otwór pełniący funkcję ubikacji. Nad pryczami znajdowały się niewielkie okienka zabezpieczone sztabą uniemożliwiającą przecięnięcie się na zewnątrz. Na podłodze mogliśmy umieścić zabrany z rodzinnego domu dobytek. Prawie wszyscy zmieściliśmy się na drewnianych ławach, ale część ludzi wołała spać na podłodze w pobliżu swoich tobołków. Nam przypadło miejsce w pobliżu okienka. Z tego co wiem, z reguły do wagonów przydzielano od 50 do 70 osób, w naszym wagonie znalazły się 72 osoby. W czasie załadunku cackania z nami nie było. Mogę powiedzieć, że Rosjanie nie byli zbyt ordynarni. Oczywiście pilnowali nas nieustannie, na nic nie pozwalali i przy próbie ucieczki strzelali, ale nie pamiętam aby się specjalnie nad nami pastwili. Moi rodzice, mimo ciągłego utwierdzania ich że jedziemy na białe niedźwiedzie trzymali się dzielnie. Ojciec był niewzruszony, a matka także nie płakała, bo wierzyli, że wrócą do domu. Szczególnie mocno przeżywały wywózkę osoby starsze i kobiety. Przez całą podróż towarzyszył nam płacz, lament i zamartwianie się co będzie dalej. My dzieci nie mieliśmy takiego poczucia.

Po dwóch dniach, w nocy z soboty na niedzielę skład pociągów ruszył w kierunku Łap. W Łapach dołączono kolejne wagony jadące do Białegostoku. I tak 22 czerwca nad ranem około 4,30- 5,00 znaleźliśmy się w Wołkowysku. Dziś jest to niewielkie białoruskie miasteczko leżące w pobliżu przejścia granicznego w Bobrownikach.

Transport wjechał na stację kolejową w dniu wkroczenia wojsk niemieckich na terytorium Związku Radzieckiego. Dla naszych oprawców nastał czas działań wojennych a dla nas pierwsze bombardowanie. Nad wagonami przeleciały dwa niemieckie samoloty bojowe i rozpoczął się ostrzał. Bomby spadały po obu stronach składu, na nasze pytanie co to znaczy, bo nie wiedzieliśmy nic o wojnie, enkawudziści odpowiadali że to nic takiego, ot ćwiczenia wojskowe. Za jakieś półtorej godziny nadleciała eskadra samolotów i rozpoczęło się bombardowanie kolejnych obiektów kolejowych. Na torowisku widzieliśmy spalone wagony, kilka osób leżało zabitych, nieco więcej było rannych. Wydawać by się mogło, że w tym galimatiasie ludzkich ciał, waliz, worków, dymu i chaosu nadarza się okazja do ucieczki, niestety ilość strażników z NKWD z karabinami nie gwarantowała powodzenia i o żadnej ucieczce nie było mowy.

Nocą pociąg wyruszył ze stacji, strażnicy mówili, że gdy dojedziemy do Mińska to działania wojenne się zakończą. Niestety na miejscu okazało się, że miasto płonęło. Przez kolejne dwa tygodnie jechaliśmy pod niemieckim

ostrzałem. Wiele osób z transportu zginęło. Konwojenci NKWD kilkakrotnie odnotowali próby ucieczki, najczęściej śmiałkowie wycinali w podłodze otwór, przez który podczas postoju na boczniczy lub stacji próbowali wydostać się na zewnątrz. Niestety, wszystkie próby o których wiem zakończyły się tragicznie, enkawudziści bez żadnych skrupułów zabijali uciekinierów.

Do Uralu korzystaliśmy ze swoich zapasów żywnościowych, a od strażników otrzymywaliśmy tylko gorącą wodę. Jeśli komuś zabrakło jedzenia, współtowarzysze dzieli się między sobą. Po przejechaniu gór i w miarę oddalania się od granic frontu, zaczęto przygotowywać posiłki. Zwykle była to jakaś zupa, czasami zdarzało się otrzymać niewielką dodatkową porcję jedzenia. Mogę powiedzieć, że w czasie, kiedy my byliśmy deportowani, czyli w okresie kiedy Związek Sowiecki został zaatakowany przez Niemców nie odczuwaliśmy tak drastycznie głodu jak to opisywały osoby, które doświadczyły wywózki w poprzednich latach. Po upływie kolejnych czterech tygodni, wolnych już od wojennych bombardowań, 70 wagonów wtoczyło się na bocznicę stacji kolejowej w Omsku. Wcześniej kilka wagonów odczepiono i zostały skierowane na inne tory.

Zaprowadzono nas na teren byłej cerkwi, na miejsce w którym wcześniej stacjonował cyrk. W okresie letnim cyrkowe występy odbywały się w okolicznych wsiach i miasteczkach, dlatego wielki plac był pusty. Przebywaliśmy tam około dwóch dni i w tym czasie przeprowadzono obowiązkową akcję kąpieli i odswadzania. Po otrzymaniu przydziału, cała nasza rodzina wraz z grupą innych Polaków została skierowana na statek, było nas około 300-400 osób. Wśród tych osób znajdowały się również rodziny z naszych okolic. Dzień i noc płynęliśmy w dół rzeki Irtysz, wysadzono nas w miejscowości Borszorecze, a stamtąd po kilku godzinach oczekiwania zawieziono ciężarówkami do sowchozu odległego o około 60 km. Nie wszyscy, którzy płynęli z nami rzeką wyszli na ląd. Duża grupa deportowanych popłynęła dalej. Nasz sowchoz składał się z 3 filii znajdujących się w promieniu 13 km i tak też zostaliśmy rozlokowani.

2. Sowchoz

Wieś, do której nas przywieziono – Czebakłyk, położona była nad jeziorem w pobliżu syberyjskiej tajgi. Składała się z około 100 jedno i dwurodzinnych domów. Jeśli dobrze pamiętam mieszkali w niej ludzie, co najmniej 16 narodowości. Byli to Tatarzy, Kirgizi, Kozacy, Finowie, Niemcy, Białorusini, Ukraińcy, oczywiście najwięcej było Rosjan. Polskich rodzin było dwanaście. Większych antagonizmów między poszczególnymi narodowościami nie zapamiętałem, trochę było pretensji do Niemców, ale bardziej związane one były z przebiegiem wojny. Wszyscy mieliśmy trudny los. Muszę przyznać, że Rosjanie którzy, nie brali udziału w bitwach wojny 1920 r. byli w stosunku do Polaków raczej przyjaźnie nastawieni. Natomiast ci, którzy walczyli na wojnie zdecydowanie nas prześladowali.

Sowchozy to gospodarstwa należące do państwa, a powstałe w wyniku przejścia majątków ziemskich od wielkich posiadaczy. W Polsce ich odpowiednikiem były PGR. Wynagrodzenie za pracę wypłacane było w rublach w określonych odcinkach czasowych. Dużo Polaków deportowano do pracy w kołchozach. Ich struktura była inna, przede wszystkim była to własność

zespołu mieszkających ludzi, taka jakby spółdzielnia. Rozliczenie zysków następowało na koniec roku. Przeliczano go na zboże i płody rolne, a wypłacano w naturze, po przeliczeniu tzw. *trudodni*.

Nasza ośmioosobowa rodzina należała do dużych, dlatego do „dyspozycji” otrzymaliśmy pół domku drewnianego w którym jeszcze przez kilka dni mieszkała z nami poprzednia lokatorka – samotna kobieta, nauczycielka. Otrzymała ona wkrótce przydział do innego domku, ale długo w nim nie pomieszkała, bo wysłano ją na front jako sanitariuszkę. Inne, mniejsze rodziny łączono, czasami z Polkami innym razem z Rosjanami. Otrzymane pół domku to nic innego jak jeden duży pokój z czego ¼ powierzchni zajmował żółty, gliniany piec. Jego zaletą było to, że służył nam do ogrzewania, gotowania i spania.

Domy budowane były z okrągłaków, czyli przeciętych na pół kłód drewna, które nie były ciosane na kwadratowe bale. Ocieplenie stanowiła masa powstała z mieszaniny gliny, mchów i porostów, wpychana w szpary pomiędzy okrągłakami. Budowle te miały płaski dach a sufit tworzyły kolejne warstwy nieociosanego drewna wzmocnione gliną i zasypane ziemią, na której znajdowały się niewielkie ilości darniny ułożonej pod lekkim kątem dzięki temu powstawał naturalny niewielki spadek umożliwiający odpływ wód deszczowych. Niektóre domy, głównie biurowe lub bogatszych osób posiadały dach, ale nie był on kryty dachówką. Rusztowanie wykonane było, co prawda z krokwi, ale wyłożone ono było faszyną i darniną ciętą w pasy. Takie jakby kostki układano jak dachówkę. Gdy powierzchnia zarosła trawą, deszcz lub śnieg bez trudu po niej spływał. Zimą bywały okresy, że napadało tak dużo śniegu, że domki zasypane były aż po dachy. Nigdy jednak tak nie było, aby cała wieś znalazła się równiutko pod śniegiem, i tylko dzięki temu możliwa była wzajemna pomoc.

Pod domkami znajdowała się zazwyczaj piwnica, w której przechowywano to wszystko, co można było wyhodować w ogródkach i składować. Gdy nadchodziła jesień okopywało się domek na głębokość około metra tworząc wokół niego jakby fosę, a pozyskaną ziemią obkładano budynek aż pod framugi okienne. W ten sposób zapobiegało się przemarzaniu ścian zimą. Wiosną ten wał ziemny się rozkopywało i zakrywało istniejący rów.

Nie mogliśmy uczestniczyć w obchodach świąt religijnych, bo polityka stalinowska skutecznie zwalczała jakiegokolwiek przejawy kultu religijnego. Starsi Rosjanie pamiętali o terminach przypadających świąt, pomimo że nie były one zapisane w kalendarzu, my zaś staraliśmy się je jakoś zawsze uczcić. Nie tylko wspólną rodzinną modlitwą ale także zwyczajami. Mimo, że każdy dzień świąteczny był normalnym dniem pracy, zawsze znajdował się czas na podzielenie się opłatkiem czyli plackiem z wody i mąki lub jajkiem i złożeniem sobie życzeń.

My Polacy trzymaliśmy się razem nie tylko w czas świąteczny. Między-ludzkie więzi mimo bardzo trudnej sytuacji pozwalały na godne podziwu decyzje. Jedną z matek, pani Bogucka, wywieziona wraz z córką spod łomżyńskiej wsi Boguszyce, zaopiekowała się czwórką dzieci wywiezionych bez rodziców, najstarszy chłopiec miał lat 16 a najmłodszy 6 lat. Nie miała łatwo. Jak się później okazało takich wywozek samych dzieci było bardzo dużo. Enkawudziści bezwzględnie wypełniali wydane rozkazy- jeśli w domu nie było rodziców deportowali dzieci.

W naszym sowchozie rodowitych Sybiraków było bardzo mało, ale nie jestem w stanie określić liczby. Za cara były to tereny bardzo bogate, właściciele – głównie Tatarzy mieli po 100-200 sztuk bydła, po 5 tysięcy owiec. Wielka przestrzeń i bardzo małe zaludnienie sprzyjały rozwojowi hodowli. Po rewolucji październikowej polityka bolszewików była taka, że niepoprawnych Rosjan zsyłano do łagrów a oni po odbyciu kary zostawali na znanych sobie terenach, bo nie mieli prawa powrotu do swoich dawnych siedzib.

Tatarzy mieli swoje odrębne prawo bytu, nie mieszkali w osiedlach sowchozu, nie budowali domów, mieszkali w ziemiankach. Taka ziemianka wybudowana była z darniny, zadaszona jakąś polepą, którą później nakrywano darniną. Jak dawniej, mogli hodować owce i konie. Z mleka pozyskiwanego od kłaczy wytwarzali kumys. Z opowiadań wiem, że gość w tatarskiej wsi częstowany był kumysem, jeśli jednak gość był niepożądany, to tego napoju mu odmawiano i znaczyło to, że powinien opuścić wieś.

Gdy zamieszkaliśmy w sowchozie, przez krótki okres czasu w razie problemów zdrowotnych mogliśmy korzystać z pomocy trójki lekarzy, niestety wcieleni zostali do służby wojskowej. Pozostała nam tylko polska akuszerka, która dla mieszkańców naszego sowchozu i okolicznych wsi rozlokowanych w promieniu 25 km musiała być także lekarzem.

Klimat był dla nas dokuczliwy. Lata były bardzo gorące, zimy zaś bardzo surowe. Już w listopadzie często padał śnieg i ziemia zmarzła. Początkowo mróz był niewielki, ale w styczniu i lutym dochodził do minus 45 stopni. Ale zimą pojawiało się coś bardzo niebezpiecznego – buran, czyli silny porywisty wiatr wiejący z północnego zachodu, któremu towarzyszyły obfite opady śniegu. Tubylcy zazwyczaj potrafili go przewidzieć i wiedzieli, kiedy to nastąpi. Wiało wtedy niesamowicie, nie było widać świata i taka zawierucha trwała zwykle przez 2-3 dni. Po takim buraniu tworzone patrole, których zadaniem było odnalezienie osób, które nie zdążyły się schować przed nadciągającą wichurą. Przypadki odnalezienia żywych ludzi były nieliczne.

Nasz sowchoz znajdował się na terenie nizinnym i otoczony był lasem. Nie były to drzewa iglaste, tajga znajdowała się od nas jakieś 200-350 km na północ. W najbliższym drzewostanie dominowała wierzba, osika i brzoza. Te gatunki służyły nam jako drewno opałowe, które trzeba było na zimę zgromadzić. W pierwszym półroczu naszego pobytu bardzo dziwiły nas wysokie pnie, które pozostały po wycięciu drzew. Nie mogliśmy zrozumieć jak można pozwolić sobie na taką niegospodarność, a ponadto, kto to tnie drzewo na wysokości około 1,5 metra od ziemi? Po przeżyciu pierwszej zimy, wszystko dla nas stało się zrozumiałe. Otóż przy zimowym wyrębie drzew nikt się nie bawił w odkopywanie śniegu zgromadzonego wokół pnia, udeptało się go nieco i ścinało się drzewo pozostawiając pnie wystające nieco ponad pokrywą śnieżną. Wiosną, gdy śnieg stopniał ukazywały się te 1-2 metrowe pozostałości po ściętym drzewie.

3. Praca w sowchozie

W pierwszej kolejności po zakwaterowaniu nas zajęto się zatrudnieniem mężczyzn. W naszej grupie znajdowali się głównie rolnicy i to dla nich pracy było dużo przy hodowli bydła. Szukano także różnych specjalistów, ojciec

z racji tego, że w młodości pracował na budowach jako cieśla przedstawił się jako specjalista od wykonywania drewnianych konstrukcji i został przydzielony do brygady cieśli. Dla matki przewidziano pracę w godzinach nocnych jako stróż, a najstarszą siostrę przydzielono do geodety. Druga siostra znalazła się w grupie kobiet zajmujących się pracami w polu. Pracowała przy sianokosach, pieleniu, żniwach. Rosjanie byli mistrzami w stawianiu stogów z sianem, robili to sprawnie i szybko. Do koszenia trawy przeznaczonej na siano wykorzystywano nie tylko kombajny, ale także kosy. Do grabienia wykorzystywali tzw. wołokusze, takie 3 metrowe grabie ciągnane przez krowy lub woły. Przygotowanie i zabezpieczenie odpowiedniej ilości siana było dla sowchozu priorytetowym zadaniem, ponieważ cały jego byt opierał się na hodowli bydła mlecznego i rzeźnego.

Stworzono również tzw. grupę ogrodową zajmującą się uprawą około 50 hektarowego warzywnika. Wiosną trzeba było pola obsiać, latem wyplewić, a jesienią zebrać plony i je zmagazynować. Do tego celu służyły kopce, w dół szeroki na 8 m, długi na 20-30 m i głęboki na 3 m, składano warzywa. Czasami ściany boczne zabezpieczano drewnem. Budowla od góry przysypana była ziemią i obłożona słomą oraz faszyną. Te warstwy dostatecznie chroniły zbiory przed przemarzeniem.

Obory, w których zimą przebywało bydło, sklecone były z desek, na które narzucono krokwie i taką konstrukcję pokrywano faszyną, trawą, sianem. Zwierzęta tak długo stały w oborze jak długo mogły się w niej zmieścić, a gdy warstwa obornika urosła do wysokości 1-1,5 m to się oborę rozwalało i stawiało nową na nowym miejscu. Starego obornika na pola nie wywożono, zostawał, leżał tak przez kilka lat, fermentował, wysychał. Czasami jakiś niedopałek papierosa spowodował jego pożar. Ugaszenie go było niemożliwe.

Zimą trzeba było uważać na wilki, które przychodziły do zagród, podkopywały się i robiły wśród zwierząt spustoszenie. Groźne były tylko wtedy, gdy były głodne. Latem udawało się nam stada upilnować. Tylko jeden raz natknęliśmy się kilka wilków podchodzących pod zabudowania, ale wracaliśmy grupą, uzbrojeni byliśmy w widły i dlatego nie bardzo się baliśmy. Ale pamiętam te świecące oczy.

Dzieci przebywające w sowchozie powinny chodzić do rosyjskiej szkoły, ale nie wszystkie się do niej garnęły, a i władze nie przestrzegały ściśle tego obowiązku. Liczyło się to, że mogły pracować i coś zarobić, a każde dodatkowo pozyskane pieniądze przeznaczone były głównie na jedzenie. Do szkoły chodziłem przez całe 5 lat, ale tylko w zimie od października do końca kwietnia. O dziwo przepuszczano mnie z klasy do klasy, szczerze powiedziawszy nie zasługiwałem na to, niemniej otrzymałem świadectwo ukończenia siedmiu klas radzieckiej szkoły. Nawet tak fragmentaryczna nauka okazała się pomocna po powrocie do Polski, bo nie miałem żadnych trudności z matematyki, fizyki, wiadomo, że jedynym problemem był język polski. Stosunki z rówieśnikami układały się nam dobrze, wiadomo nie byliśmy idealni, jak to dzieci, raz dostało się po głowie, innym razem samemu się dało.

Z czasem przywieziona z kraju odzież i buty uległy takiemu zniszczeniu, że trzeba było myśleć o całkowitej wymianie. Kobiety na bieżąco dokonywały przeróbek, naszywały łąty, cerowały. Ratowały ubrania aż do całkowitego

zniszczenia. Braki w obuwiu uzupełnialiśmy różnymi sposobami. Najczęściej od Rosjan kupowało się wełnę, bo oni mogli legalnie hodować owce. Wełnę się filcowało i z takiego szarego filcu szyło się buty, walonki, Aby przedłużyć ich żywotność należało pozyskać materiał na podeszwy. A podeszwy można było wykorzystać ze starych, jeszcze polskich butów, wtedy nasz szewc dokonywał cudów składając np. jedną z kilku przetartych lub niemiłosiernie zniszczonych. Z wikliny nie robiliśmy spodów, jeden tylko Kulesza w nich chodził. Naszym wynalazkiem były podeszwy i buty parciane lub skórzane. Materiał na nie pozyskiwało się poprzez kradzież pasów napędowych do maszyn. Jeśli udało się ukraść pas parciany, większość z nas chodziła w butach parcianych, jeśli pas był skórzany, to mieliśmy w butach elementy skórzane. Takie, różne kombinacje - proza sowchozowego życia.

Od czasu wojny z Niemcami prawie wszyscy dorośli mężczyźni powołani zostali do wojska, w sowchozie pozostali tylko nieliczni, zesłańcy oraz kobiety i dzieci. Nadszedł trudny czas. Ojcu przydzielono brygadę składającą się z około 40 kobiet, z którą musiał budować nowe i remontować stare obory dla bydła i cielętniki do wychowywania cieląt.

4. Żywnienie

Przez kilka dni po przyjeździe mieliśmy jeszcze zapasy żywności z domu, była to kasza i mąka. Gdy się skończyły mama wiedząc od mieszkającej w sowchozie Rosjanki, że „wsio, jest nasze” poszła w pole podebrać ziemniaki. W sumie zebrała ze 20 sztuk i w domu zaczęła je obierać. Wtedy odwiedziła ją ta sowietka i chciała ukarać za kradzież. Mama wytłumaczyła jak zrozumiała pojęcie „wspólne” i to pierwsze wykroczenie zostało jej darowane, a cała przygoda weszła do kanonu naszych rodzinnych anegdot.

Początkowo otrzymywaliśmy po 800 g chleba. Ale nie był to przydział bezpłatny, tą określoną ilość musieliśmy sobie zakupić. Za wykonywaną pracę, co prawda otrzymywaliśmy wynagrodzenie, ale ono z trudem pozwalało na wykupienie reglamentowanych porcji. Wielkość przydziału dla nas malała w miarę przesuwania się wojsk niemieckich w głąb ZSRR. W 1945 r. ustabilizowała się i osoba pracująca mogła kupić 400 g, na dziecko przypadało po 120 g. Chleb dostawaliśmy pieczony z pszenicy, owsa, jęczmienia, prosa, czyli ze zboża, którego w danym okresie czasu było najwięcej. Najgorszy w smaku był z prosa, ponadto rozsypywał się tuż po wyjęciu go z foremki. Można było odpłatnie korzystać z posiłków przygotowywanych w stołówce, część jednak przygotowywała jedzenie w domach.

W sowchozie wolno było chować zwierzęta, ale przywilej ten należał do Rosjan. Ziemi wolnej dla nas do zagospodarowania nie było, a w pole wychodzić z ogródkiem nie było sensu, bo stada składającego się ze 150 krów pastuch nie był w stanie upilnować, więc zniszczenie ogródka było pewne. Nawet, jeśli jakimś cudem, zasiewów nie zniszczyły zwierzęta to było pewne, że padną łupem złodziei. W kolejnych latach naszego pobytu, gdy już wrosliśmy w struktury sowchozu, troszkę ugorów udało się nam zagospodarować i to co urosło konsumowane było na bieżąco. Rosjanie mieli na stałe przydzielone ogródki, obcy zaś tylko na czas pobytu, bo byli to ludzie przeznaczeni tylko do pracy w sowchozach i podlegali częstym przesiedleniom.

Osadzono nas w rejonie, w którym znajdowało się bardzo dużo jezior. Nie było ograniczeń na korzystanie z zasobów rybnych. Po dwóch – trzech lat pobytu, kiedy miałem lat 12-13 potrafiłem na wędkę nałapać bardzo dużo ryb i to było nasze główne pożywienie. Najczęściej łowiłem płocie, karasie od czasu do czasu zdarzył się szczupak. Ale najsmaczniejszą rybką okazała się galiana, prawie nie miała ości a łuska była bardzo drobniutka. Bardzo łatwo się ją czyściło, wystarczyło obciąć łeppek, ogonek, wyjąć wnętrzności i po ugotowaniu zjadaliśmy się nią. Nieco później, gdy mieliśmy zrobioną łódkę razem z ojcem wypływaliśmy dalej na jeziora. Jeśli połów należał do udanych zawsze potrzebujący towarzysze niedoli otrzymywali w miseczce prezent od nas. Polscy zesłańcy w naszym sowchozie byli zawsze w stosunku do siebie życzliwi i zawsze wzajemnie się wspomagaliśmy. Rodziny pochodzące ze wsi jakoś sobie razily, bo nawykły były do wiejskich trudów, miały więcej pomysłów na przetrwanie, gorzej działo się w rodzinach tych osób, które nie musiały poprzednio pracować fizycznie np. nauczycielskich, wojskowych. Co biedniejszym pomagał szewc, krawiec. Szczególną opieką otaczaliśmy dwie rodziny starszusków; Kalinowskich i Wnorowskich. Z racji wieku nie mogli pracować, więc nie otrzymywali przydziałowego chleba. Pomoc zorganizowaliśmy w ten sposób, że codziennie chodzili kolejno do polskich rodzin na obiad. Jeśli trafili na bogatsze rodziny, jedli więcej, jeśli na biedniejszych zaspokajali tylko głód. Ponadto krawiec i szewc dbali, aby mieli się w co ubrać i w czym chodzić. Nasi starszuskowie nie doczekali się powrotu do Polski.

Ryby przerabialiśmy na różne sposoby suszyliśmy, soliliśmy, piekli, gotowali i mieliśmy jej zapas na okres zimy. Czasami zdarzały się wyprawy do Irtyszu oddalonego od sowchozu o jakieś 60-80 km. Zimą także wędkowaliśmy, ale było to trochę trudniejsze. Jeziora zamarzały na duże głębokości i trudno było wyrąbać przerębel. Znając ich głębiny często w tych miejscach układaliśmy skoszone trzciny i szuwały i podpalali je. Wiadomo, że lód się topił, a ponadto na głębinach nie było dużej pokrywy lodu i tam gromadziły się znaczne ilości ryb. Gdy była możliwość, pod lodem także ciągnęliśmy sieci od jednego przerębla do drugiego.

Na wiosnę zjadało się pokrzywę i komosę gotując je na różne sposoby. Komosa smakuje jak szpinak. Zjadaliśmy się także czerwoną borówką i żurawiną – klukwą, których było bardzo dużo na podmokłych terenach, ale dostarczały nam one tylko witamin a nie kalorii.

Nie było również ograniczeń na ptactwo łowne. Miałem dubeltówkę, wiem, że to brzmi dziwnie, ale mogłem ją zakupić legalnie i nawet nam zesłańcom wolno było mieć broń. Tam był taki system, że prawie w każdym domu na ścianie wisiała broń myśliwska. Problem polegał tylko na tym, że trudno było kupić do niej amunicję, dlatego sami ją przygotowaliśmy. Różnymi sposobami zdobywało się ołów – kradzieże nie należały do rzadkości. Do wykonania śrutu potrzebne były nam 2 garnki, do jednego wkładało się ołów, drugi stał z wodą. Stopiony ołów malutką dziureczką spływał na wodę i robiła się kuleczka. Gdy woda za mocno wrzała to padające kuleczki rozbijały się o wodę i powstawały nieforemne. Ale i na to był sposób. Kładło się te odlewy na patelnię i tak długo nią poruszało, aż wychodziły foremne kulki. Ołów jest miękki, więc podczas takiego toczenia, kulki stosunkowo szybko nabierały pożądanego kształtu. Polowaliśmy głównie na kaczki i łabędzie,

ich mięso jest bardzo smaczne. Ale celowaliśmy w stado kaczek, a nie do pojedynczych sztuk, bo czasami zdarzało się, że od jednego strzału padły 2 kaczki.

Gdy Niemcy znaleźli się w okolicach Stalingradu dla nas nastał bardzo ciężki okres głodowy. Cały prowiant szedł na potrzeby frontu. Przez kolejnych 73 dni nie otrzymaliśmy przydziałowego chleba. Później przerwy w dostawach były dwu- trzy dniowe. Ten okres był bardzo ciężki szczególnie dla Rosjan, my przesiedleńcy byliśmy już zahartowani w zdobywaniu jedzenia, oni nie, bo nie mieli dotąd takiej potrzeby. Jeśli nie mieli krowy to głód straszliwie doskwierał, były przypadki, że ludzie umierali. Pojawiły się choroby. Szczególnie dużo ofiar śmiertelnych było po tyfusie. Na potrzeby frontu nie tylko żywność nam ograniczono, ale zobowiązano do wykonania określonych ilości wełnianych czapek pod hełmy i rękawice.

W maju 1943 roku było już na tyle ciepło, że bydło i konie przebywały na pastwiskach, bo nie było ich czym karmić. W połowie miesiąca nadszedł buran, wielogodzinne opady śniegu i silne wiatry zrobiły ogromne spustoszenie w stadach koni, padło także wiele krów. Bardzo wielki głód w zimie i ciężki przednówek, spowodował, że mieszkańcy sowchozu jak również pobliskiej wsi chodzili po stepach w poszukiwaniu padliny i po ściągnięciu skóry, z pozyskanego mięsa przygotowywali posiłki.

W okresie silnego głodu bywały kradzieże, ale zazwyczaj nie kradziono sobie wzajemnie jedzenia. Złodziejstwo było surowo karane, za udowodnioną winę szło się na kilka lat do więzienia. Jeśli skazano Polaka, to wyrok zamykał szanse na powrót do Polski.

5. Powrót

Przez cały czas odkąd wysiedlono nas z domów żyliśmy w przekonaniu, że wrócimy do Polski. Opowiadaliśmy wszystkim na Syberii, że jesteśmy tutaj tylko chwilowo, wiara w powrót do kraju była w nas na stałe utrwalona i gdy tylko dotarła wiadomość o powstaniu wojska polskiego, zaraz pojawili się pierwsi ochotnicy. Na opuszczenie sowchozu decydowały się także kobiety, które szły do wojska jako sanitariuszki. Mój ojciec nie mógł stawić się jako ochotnik, ponieważ leżał w szpitalu i zmagał się z tyfusem. Po trzech miesiącach unitarnych, zanim wyruszyli na front, otrzymali do podpisania karty, że są ochotnikami. Brak tego dokumentu świadczył o tym, że byli wcielani do wojska obowiązkowo. Wyjechaliśmy 13 maja 1946 r., a droga powrotna trwała 8 tygodni.

Przytoczyłem losy moje i moich najbliższych w oparciu o wspomnienia pozostałe w pamięci. Pomimo upływu tylu lat, ciężko jest je opowiadać. Słowa nie są w stanie odtworzyć tragizmu, zdaję sobie sprawę, że w tym świadectwie przeszłości brak jest emocji, przemyśleń, wewnętrznych dialogów, ale jak w słowach odtworzyć poczucie głodu, bezsilności, strachu i żalu? Były to trudne lata, żyło się bardzo ciężko, ale nikt z moich bliskich nie pozostał na tamtej „niehumanitarnej ziemi”.

KRONIKA

- **WSPOMNIENIA Z WYPRAWY ŚLADAMI PRADZIADKA
WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO (CZERWIEC 2016)**

Od kilku lat myślałam o wyprawie do Jakucji. Po raz pierwszy, gdy zobaczyłam fotografie rzeki Leny widocznej aż po horyzont. Pomyślałam wówczas o moim Pradziadku, jak się czuł, gdy znalazł się tam, bez nadziei na powrót. I że chciałabym znaleźć się w tym miejscu... Ale tak naprawdę nie sądziłam, że uda mi się to marzenie zrealizować, stanąć na ziemi, na której spędził on kilkanaście lat zesłania. Jednak stało się to możliwe, dzięki zaproszeniu do udziału w obchodach święta lata w języku jakuckim nazywanych Ysach (Ысыах), jakie otrzymałam wraz z mężem z Ministerstwa Kultury i Duchowego Rozwoju Republiki Sacha – Jakucja. W organizację podróży zostało zaangażowanych wiele osób, ale najważniejszą z nich, bez której wyjazd nie doszedłby do skutku, była profesor Agafia Jeremiewna Zacharowa (Агафья Еремеевна Захарова). To dzięki jej wysiłkowi i pracy dotarłam na jakucką ziemię, czyli tego rozległego kraju nad Leną!



Spotkanie w Archiwum Państwowym w Jakucku poświęcone pamięci Wacława Sieroszewskiego.

Spędziłam w Jakucji trzy tygodnie i z absolutnym przekonaniem mogę powiedzieć, że była to podróż mojego życia. Wyprawa objęła swym zasięgiem kilka regionów kraju Sacha. W ciągu trzech tygodni zobaczyłam tyle, ile było możliwe i jeszcze więcej. Podróż rozpoczęła się w Jakucku. Już w pierwszych godzinach zorientowałam się, że program pobytu jest tak bogaty, że chyba nie będzie czasu na wypoczynek. Instytucji i osób, które chciały się ze mną, prawnuczką W. Sieroszewskiego, spotkać i porozmawiać było tak wiele, że każdy dzień został szczerze wypełniony. Z opowieści rodzinnych wiedziałam, że mój Pradziadek był dla Jakutów kimś ważnym. Ale tego, co mnie spotkało zupełnie się nie spodziewałam.

Bogaty program wizyty rozpoczęłam od spotkania w Ministerstwie ds. Kontaktów Zewnętrznych Republiki Sacha – Jakucja, gdzie przyjął mnie minister Władimir Nikołajewicz Wasiliew (Владимир Николаевич Васильев). Tam po raz pierwszy usłyszałam, jak istotną rolę i znaczenie dla Jakucji miał W. Sieroszewski, a także inni polscy zesłańcy. Pierwsze zetknięcie z prawdziwą Jakucją przyniósł dzień następny – wyprawa do Namskiego Ułusu, gdzie w Namcach odbywały się coroczne uroczystości święta lata Ysach (Ысах).

Namski Ułus to jedno z miejsc zesłania W. Sieroszewskiego, gdzie spędził kilka lat. Wyboista asfaltowa szosa do Namskiego Ułusu, po opuszczeniu przedmieść Jakucka zabudowanych niewielkimi domkami, wiodła przez podmokłe łąki i błota z widocznymi karłowatymi brzoźkami pozbawionymi często gałęzi i liści. Uroczystości zgromadziły na trybunach stadionu znajdującego się poza granicami miejscowości, mnóstwo osób. Droga dojazdowa przez cały dzień była zablokowana przez samochody. Odświętnie ubrani ludzie płynęli nieprzerwaną falą w kierunku stadionu. Coroczne obchody tego święta są okazją do spotkań rodzin i znajomych, na co dzień mieszkających od siebie bardzo daleko. Przybywający rozstawiali namioty, organizowali pikniki, tańczyli i śpiewali. Spotkania te trwały nieraz nawet kilka dni. Teren pełen był stoisk i kramów.

Oficjalne uroczystości rozpoczęły się od wejścia szamana z grupą chłopców wymachujących gałązkami brzoźkowymi. Szaman zapalił ogień, pokropił ziemię kumysem. Towarzyszyły temu śpiew i wezwania do błogosławieństwa żywiołów w języku jakuckim powtarzane przez wszystkich zgromadzonych. Następnie młodzież i dorośli w pięknych narodowych strojach i kostiumach przedstawili program artystyczny z inscenizacją fragmentów jakuckich eposów Oloncho (Олонхо). Na stadionie wirowały wielobarwne grupy w przepięknych tanecznych układach mówiących wiele o historii narodu, wierzeniach i duchowości. Całość zakończył tradycyjny taniec w kręgu, do którego przyłączyli się wszyscy, od najwyższych władz obecnych na stadionie do zwykłych mieszkańców. Widać było, że święto jest dla Jakutów czymś bardzo ważnym, momentem, który podkreśla ich tożsamość, jednoczy rozproszonych, przypomina, że są wspólnotą o bogatych korzeniach.

Udział w uroczystościach był dla mnie pierwszą lekcją jakuckiej tożsamości. Po raz pierwszy odczułam również to, jak ważna jest moja wizyta. Jako gościa przyjęcia odbywającego się po uroczystościach, oczekiwano ode mnie wygłoszenia przesłania i pozdrowienia. Potem pojawili się pierwsi dziennikarze i zwykli ludzie, którzy nie kryjąc wzruszenia chcieli uścisnąć rękę, porozmawiać, zrobić pamiątkowe zdjęcie. I tak było już przez cały czas pobytu.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w Namcach, gdzie w drzwiach muzeum czekał dyrektor w jakuckim stroju świątecznym, który oprowadził nas po ekspozycji. Wśród wielu plansz i eksponatów było również miejsce poświęcone mojemu Pradziadkowi, gdzie ze wzruszeniem zobaczyłam także fotografię mojego Ojca Andrzeja Sieroszewskiego oraz pozostałych wnuczek Wacława. Dyrektor nie kryjąc emocji mówił, jak ważną osobą dla Jakutów był Pradziadek i widać było, że tak jest naprawdę.



Kamień pamięci
poświęcony
Wacławowi
Sieroszewskiemu
w Jakucku.

Kolejnym punktem tego dnia był przystanek w miejscu, gdzie ponad sto lat temu stał dom mojego Pradziadka w Namskim Ułusie. Staraniem jakuckiej Polonii ustawiono tam słup drewniany *serge* (*сере*) – tradycyjny słup do wiązania konia z wrytym napisem, że tu właśnie był dom, w którym on mieszkał. Stojąc na rozległej równinie poczułam, że jestem bardzo daleko od domu, w tym miejscu, gdzie znalazł się młody Wacław ponad sto lat temu i przed oczami mam krajobraz, który on widział.

Bardzo ważnym spotkaniem w Jakucku była wizyta w Archiwum Państwowym na zaproszenie dyrektora Nikołaja Romanowicza Konstantinowa (Николай Романович Константинов). Otrzymałam spis różnych archiwaliów mojego Pradziadka, w którym widnieją aż 162 pozycje. Z uwagą wysłuchaliśmy

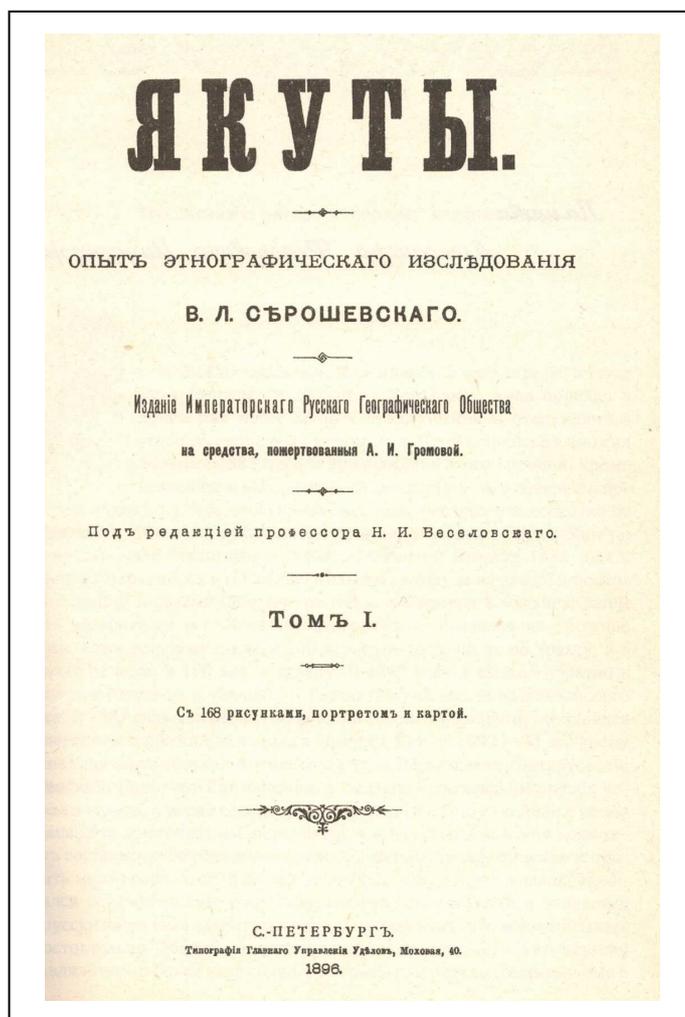
prezentacji jednego z pracowników Archiwum na temat roli i znaczenia zesłańców polskich dla Jakucji. Wśród prezentowanych zdjęć zobaczyłam fotografię młodego Waclawa, zdjęcie, którego nigdy przedtem nie widziałam. Prawdziwą jednak niespodzianką była możliwość obejrzenia kopii rękopisu, nie opublikowanego do dzisiejszego dnia drugiego tomu monografii o Jakutach i ich kulturze autorstwa W. Sieroszewskiego. Oryginał rękopisu został zdeponowany przez Pradziadka w Archiwum Towarzystwa Geograficznego w Petersburgu i tam znajduje się do dzisiaj. Byłam pierwszą osobą z rodziny, która miała możliwość zobaczyć kopię tego dzieła i choć nie jest to oryginał, znaczyło to dla mnie bardzo wiele. Z pamiętników wiem, jak bardzo zależało autorowi, jeszcze przed wojną, aby ten drugi tom ujrzał światło dzienne. Niestety nie udało się to do dzisiaj. Gorąco wspieram Jakutów w zamiśle i planach wydawniczych. Uważam, że dzieło to powinno być wydane w Jakucji i przede wszystkim dla Jakutów. Zostało napisane o nich i ważne jest przede wszystkim dla nich.

Bez przesady mogę stwierdzić, że tom pierwszy tego dzieła wydanego również w Polsce znany powszechnie Jakutom stał się najważniejszym wątkiem i osią mojej podróży. Każdy spotkany na ulicy przechodzień, uczestnik oficjalnych i nieformalnych spotkań mówił, że tę książkę ma w domu, że ją przeczytał i że jest dla niego ważna. Podczas jednej z rozmów dowiedziałam się, że monografia ta jest obowiązkową lekturą studentów na kierunkach humanistycznych zakończoną egzaminem ze znajomości jej treści. Pracowniczka biblioteki w miasteczku Batagaj powiedziała, że jest to najczęściej wypożyczana książka poprzedzona zapisami oczekujących na jej lekturę.

Po jakimś czasie zrozumiałam skąd bierze się ten szacunek dla autora i jego dzieła. Mój Pradziadek, bowiem poprzez tę monografię o kulturze Jakutów podkreślał ich narodową tożsamość, pozwolił im czuć się narodem o bogatej tradycyjnej kulturze, którą opisał z drobiazgową oraz analityczną dokładnością faktograficzną. Dzieło to jest do dziś jedyną książką, która tak szczegółowo i dokładnie opowiada Jakutom o nich samych, ukazując ten niewielki naród całemu światu. Dla mnie jako prawnuczki umiejscowienie Pradziadka jako bohatera narodowego było trudne do pojęcia. Był przecież bardzo młody i musiał radzić sobie z trudami życia w tak ciężkich warunkach zesłania, bez nadziei na powrót do ojczyzny, a jednocześnie, jakby w międzyczasie, udało Mu się stworzyć coś tak bardzo ważnego. Na pewno nie myślał o tym w ten sposób. Sądzę, że po prostu zafascynował go ten, tak odległy dla nas naród, tak mały, a jednocześnie tak wielki swym wewnętrznym kulturowym bogactwem i trwającym do dzisiaj przywiązaniem do niego i nie poddającym się rosyjskim wpływom. Muszę przyznać, że to zafascynowało także i mnie.

Kilka dni później, podczas kolejnych uroczystości świątecznych na stadionie w Jakucku znowu miałam okazję zagłębić się w sferę duchową Jakutów. Tu na otwartym terenie oprócz stoisk i kramów były dwa miejsca czerpania energii – wysoki, rzeźbiony słup i symboliczne drzewo. Przybywający ludzie ustawiali się w ogromnych kolejkach by zaczerpnąć siły na następny rok. Tu także zobaczyłam, że ważny dla Jakutów jest koń. Umocowane do tradycyjnych rzeźbionych słupów konie towarzyszyły uroczystym obchodom. Podczas spaceru po ogromnym, otwartym terenie byłam

proszona o rozmowę przez ludzi, którzy chcieli uścisnąć rękę i opowiedzieć jak istotna jest dla nich książka *Якуты...*, tom I, jak ważny jest dla nich Wacław Sieroszewski. Jedna ze starszych pań nieśmiało zapytała czy możliwa jest wspólna fotografia, ponieważ jej dziadek miał w Namskim Ułusie gospodarstwo obok Wacława i mieli wspólną kobyłę.



Wszystkie te zdarzenia, słowa i uściski dłoni zapadły na zawsze w mojej pamięci. Po kilku dniach przestałam się dziwić zapytaniom o możliwość zrobienia wspólnej fotografii. W pierwszym tygodniu podróży miało miejsce jeszcze jedno bardzo ciekawe spotkanie. Z inicjatywy Agafii Jeremiejwnej Zacharowej (Агафья Еремеевна Захарова) we współpracy z Walentyną Andriejwną Samsonową (Валентина Андреевна Самсонова) dyrektorem Biblioteki Narodowej im. A. Puszkina w Jakucku, odbyła się kilkugodzinna sesja i spotkanie poświęcone Wacławowi Sieroszewskiemu, której towarzyszyła bardzo ciekawa wystawa książek Sieroszewskiego i wydanych o Nim publikacji będących w zbiorach biblioteki. Wśród prezentowanych pozycji znalazła się ta

najcenniejsza, *Якуты...*, tom I, wydanie pierwsze z 1896 roku. Z uwaga wysłuchałam ciekawych referatów. Na sesję przybyła także niewielka grupa Polaków mieszkających w Jakucku. Po zakończeniu części oficjalnej, prawie godzinę spędziłam robiąc wspólne zdjęcia i rozmawiając z uczestnikami spotkania. Przybyła także telewizja, która przygotowała krótki reportaż z naszego spotkania do głównego wydania wiadomości. Naprawdę nie sądziłam, że prawnuczka zesłańca sprzed ponad stu lat, może być kimś tak interesującym i ważnym dla współczesnych.

Pewnego rodzaju oddechem był całodniowy rejs po Lenie na tzw. Leńskie Stołby, który pozwolił mi zobaczyć i poczuć bezkres Leny oraz kilometry pustkowi na brzegach rzeki przypominającej morze. A w głowie myśli, że w tych miejscach był i to samo widział młody Waław. Kolejne kilka dni wyprawy zajęła podróż na północ, do Wierchojańska, miejsca pierwszego zesłania Waława. Teraz to nieco ponad godzinę lotu samolotem i dwie godziny jazdy samochodem, a wtedy wyczerpująca, trwająca wiele dni podróż. Wyjazd pozwolił mi zobaczyć prawdziwą Jakucję taką, jaką jest naprawdę. Wspomnę, że Jakuck jest miastem całkowicie XXI wieku, a rozsiane wśród pustkowi i lasów modrzewiowych wsie to zupełnie inny świat. Gdy dojeżdżaliśmy do Wierchojańska jedyną, bitą drogą wiodącą przez lasy, zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie podobno przychodził Waław, by myśleć nad planem ucieczki. Z tego miejsca rozciągał się widok na całą dolinę. Pomyślałam wówczas cytatem: „Miasto!... kilkanaście płaskodachych jurt i skromnych domów, otaczających luźnym pierścieniem podłużne trzęsawisko...” wokół „morza goju (sacha – bajkał)”¹, jak pisał Waław o morzu błota dookoła.

W Wierchojańsku nie ma asfaltowej drogi, ani ciepłej wody w kranie, ani zasięgu komórki i internetu..., ale są ludzie. I ci ludzie potrafili zorganizować i przygotować święta najpiękniejsze i najbardziej uroczyste spośród tych, które widziałam. W tym roku, to właśnie Wierchojańsk był gospodarzem obchodów święta Republiki Sacha, Ysach Oloncho (Ысыах Олонхо). W miejscu, gdzie odbywały się uroczystości, jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie było nic oprócz błota. Uroczystości rozpoczęły się przepięknym, wielobarwnym pochodem przedstawicieli różnych regionów. Miałam szczęście zobaczyć jak w kalejdoskopie przegląd miejsc i ludzi. Następny punkt stanowiła opowieść Oloncho (Олонхо) o duchu gór w pięknej scenografii i choreografii z udziałem aktorów teatru Oloncho (Олонхо) z Jakucka, a także wielobarwnych, wirujących w tanecznych układach, grup dzieci i młodzieży z Wierchojańska oraz okolic. A na zakończenie uroczystości znów tradycyjny, magiczny, pełen mistycznej energii, taniec w kręgu, wciąż powiększającym się o kolejne osoby. Święto Ysach Oloncho (Ысыах Олонхо) w Wierchojańsku pozostanie w mojej pamięci na zawsze.

Pobyty w Wierchojańsku to także spotkania z ludźmi. Wśród wielu, dwa najbardziej wzruszające: wizyta w muzeum, gdzie w drzwiach czekała na mnie dyrektor Warwara Zacharowna Kirillina (Варвара Захаровна Кириллина) wspominając korespondencję z moim Ojcem, a w jednej z gablot znów dwa zdjęcia – Waława oraz mojego Ojca. A także spotkanie z nauczycielami z odległych o kilkaset, a także i tysiąc kilometrów miejscowości, zorgani-

¹ W. Sieroszewski, *Pamiętniki. Wspomnienia. Dzieła*, tom XVI, Kraków 1959, s. 274.

zowane przez Anną Siemionowną Slepcową (Анна Семеновна Слепцова) animatorkę wielu działań kulturalnych w regionie.



Zuzanna
Sieroszevska-Rolewicz
i
Agafja Jeremiewna
Zacharowa

Trzecie spotkanie, które szczególnie zapamiętałam, miało miejsce w miasteczku Batagaj, gdzie mieszkaliśmy po powrocie z Wierchojańska. Zmęczeni trudami kolejnych dni planowaliśmy odpoczynek, gdy otrzymaliśmy informację, że z okolic przyjechali ludzie, a wraz z nimi mer miasta specjalnie po to, by spotkać się z prawniczką Wacława Sieroszewskiego. Kolejny raz pomyślałam, że to niesamowite, że moja wizyta jest tak ważna dla tak wielu.

Dzięki wsparciu władz Wierchojańska, przede wszystkim Jekatieriny Aliekszejewnej Portiaginy (Екатерина Алексеевна Портнягина) oraz Anny Siemionownej Slepcowej (Анна Семеновна Слепцова) mieliśmy możliwość realizacji kolejnej części naszego wyjazdu – wycieczki w góry Kisiljach. Chcieliśmy zobaczyć miejsce dla Jakutów bardzo ważne, uważane za miejsce energetyczne, gdzie wybierają się tylko niektórzy, a wizyta jest marzeniem wielu. Na wyprawę udaliśmy się z miejscowym przewodnikiem Wasilijem (Василием). W okolicy gór dotarliśmy przemierzając część trasy samochodem, a kolejny odcinek łódką motorową. Po dwugodzinnej podróży rzeką po pustkowiu, gdzie na wysokim brzegu słychać było jedynie szum osypującej się ziemi, dotarliśmy do drewnianej chaty, gdzie spędziliśmy noc. Wieczorem, nad brzegiem rzeki widoczne były świeże ślady niedźwiedzia.

Po raz pierwszy byłam w górach, gdzie trasa wiodła przez modrzewiową tajgę, błota, bagna i wodę, wśród ogromnej ilości komarów. Drogę można opisać słowami Pradziadka Wacława:

Las podbiegunowy... cmentarz to raczej, gdyż naprawdę więcej tu leży pni zwalonych, niż żywych korony wznosi ku niebu. A i te ostatnie stoją niskie, cherlawe, na wpół uschłe, skrzypią żałośnie w pałąk zgięte, rzadkim liściem

odziane szkielety...na ziemi leżą kłody – tu stare, zmurszałe, zgnilizną tchnące... ówdzie świeże².

Po pięciu godzinach wyczerpującego marszu dotarliśmy w góry. Ze szczytu rozciągał się widok zapierający dech w piersiach: Jakucja aż po horyzont – jej dopływy, bezkresne równiny, modrzewiowa tajga, górskie pasma, w oddali Góry Czerskiego. Ku wielkiemu zaskoczeniu tu w górach, gdzie wydawało mi się, że informacje o moim przyjeździe nie dotarły, spotkałam ludzi, którzy wiedzieli o mojej wizycie, rozpoznali mnie, chcieli porozmawiać i zrobić pamiątkowe zdjęcia. W najskrytszych marzeniach nie sądziłam, że dotrę tak daleko i zobaczę tak wiele.



Namski Ułus – koniowiaz oznacza miejsce, w którym stał dom Wacława Sieroszewskiego. Na zdjęciu Z. Sieroszewska-Rolewicz z mężem.

Wspomnienia z podróży do Jakucji pozostaną we mnie na zawsze. Mam nadzieję, że nawiązane kontakty pozostaną także i będą ubogacały moją wiedzę o Pradziadku? W tym krótkim szkicu przedstawiłam jedynie ułamek tego, co widziałam i przeżyłam. Starłam się opisać najważniejsze momenty i zdarzenia. W ciągu trzech tygodni spotkałam i poznałam wielu ludzi. Wypowiedziane zdania, rozmowy i myśli pozwoliły mi, oczywiście w niewielkim stopniu, poznać ten inny, tak odległy od nas, świat. Ludzi uczących dzieci szacunku do ziemi, do przyrody, do historii, którzy postrzegają świat i zdarzenia inaczej niż my Europejczycy. Świat widziany z innej perspektywy, perspektywy niewielkiego narodu żyjącego w trudnych

² W. Sieroszewski, *Na kresach lasów. Dzieła*, tom V, Kraków, 1959, s. 5.

warunkach na końcu świata, którzy zrozumieli, że są wspólnotą dzięki mojemu Pradziadkowi i pamiętają o tym do dzisiaj.

Będąc tam zrozumiałam jak ważne są jego słowa ze wstępu do polskiej edycji książki pt. *12 lat w kraju Jakutów*, wydanej w Warszawie w 1900 roku zawarte w pytaniu do czytelników: „Czy warto pisać lub czytać tak grubą książkę o Jakutach, narodzić tak małym i dalekim? W drobnej kropli rosy wszechświat się czasami odbija...”.

Tak, na pewno czytać warto!

A ja, mam teraz następne marzenie..., powrócić do Jakucji zimą.

Zuzanna Sieroszewska-Rolewicz

• SPRAWOZDANIE Z OBCHODÓW 150. ROCZNICY URODZIN BRONISŁAWA PIŁSUDSKIEGO

2 listopada 2016 roku w sali Marii Skłodowskiej-Curie w Pałacu Staszica miała miejsce uroczystość z okazji 150. rocznicy urodzin etnografa, zesłańca syberyjskiego, badacza kultury Ajnów, Niwchów i Oroków Bronisława Piłsudskiego, o rok starszego brata marszałka Józefa Piłsudskiego. Broniś Piłsudski (tak właśnie podpisywał swoje listy do ukochanej z lat młodości Maryni z Baniewiczów Żarnowskiej) to wybitny uczyony o szczególnych zasługach dla Syberii i nauki w ogóle. Zbadał bowiem, opisał i zachował na wałkach fonograficznych Edisona dla przyszłych pokoleń język Ajnów, tajemniczego ludu niewiadomego pochodzenia, zamieszkującego wówczas południowy Sachalin i japońską wyspę Hokkaido. Dzięki specjalnym urządzeniom laserowym wyprodukowanym przez firmę Sony po 100 latach udało się odtworzyć nagrania wykonane przez Piłsudskiego. Paradoksalnie, współcześni Ajnowie uczą się dzięki nim swojego języka.

W 1887 roku Bronisław Piłsudski został wciągnięty w przygotowania do zamachu na życie cesarza Aleksandra III. Wśród zamachowców był między innymi starszy brat Włodzimierza Lenina Aleksander Uljanow, po procesie stracony. Po dekonspiracji spisku Bronisław Piłsudski został skazany na karę śmierci, zamienioną na 15 lat katorgi, i zesłany na wyspę Sachalin (wieś Rykowskoje), gdzie zajmował się – oprócz fizycznych prac katorżniczych – nauczaniem rosyjskich i ajnoskich dzieci, prowadzeniem obserwacji meteorologicznych, które publikował w *Kalendarzu sachalińskim*, oraz badań botanicznych dla nowo utworzonego Muzeum Krajoznawczego w Chabarowsku. Interesował się też problemami etnograficznymi i kulturowymi miejscowej ludności, m.in. podczas ekspedycji naukowej z Wacławem Sieroszewskim na Hokkaido. W 1903 roku ożenił się z Chuhsammą, krewną wodzą Ajnów Kimury Bafunke, z którą miał syna Sukezo i córkę Kyo.

Bronisław Piłsudski otrzymał Medal Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. W 1906 roku wrócił z Japonii przez Stany Zjednoczone i Francję do Polski; mieszkał na przemian w Krakowie, Lwowie i Zakopanem. W 1911 roku zorganizował Sekcję Ludoznawczą Towarzystwa Tatrzańskiego, której był przewodniczącym. W 1914 roku został sekretarzem Sekcji Etnograficznej Komisji Antropologicznej Akademii Umiejętności, zainicjował wydawanie „Rocznika Podhalańskiego”. Pracował w biurach Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu.

Jednak życie tego wybitnego etnografa i muzeologa, zarówno osobiste, jak i zawodowe, niestety nie ułożyło się szczęśliwie i zakończyło samobójstwem [?] w Paryżu w 1918 roku, spowodowanym prawdopodobnie depresją. Mogła Bronisława Piłsudskiego, z błędnie zapisanym nazwiskiem, niepoprawionym przez rodzinę, może nieco zawstydzoną faktem samobójczej śmierci członka tak znamienitej rodziny, znajduje się na polskim cmentarzu w Montmorency pod Paryżem, niedaleko grobów Juliana Ursyn Niemcewicza, Karola Kniaziewicza i Cypriana Kamila Norwida.

Na listopadową konferencję przyszło do Pałacu Staszica około 60 osób zainteresowanych życiem i pasją Bronisława Piłsudskiego. Wysłuchano czterech ciekawych referatów. W referacie pt. *Bronisław Piłsudski – dzieje zesłania oraz recepcja jego badań nad kulturą tubylców Sachalinu* (prze czytany przez dr Joanną Arvaniti z Archiwum PAN) prof. Antoni Kuczyński z Instytutu Historii Nauki PAN w Warszawie rozpoczął historię zsyłki bohatera konferencji od omówienia początku patriotycznej drogi małych Piłsudskich, na którą olbrzymi wpływ miała atmosfera domu rodzinnego umiejętnie kształtowana przez matkę Marię z Billewiczów Piłsudską. Działalność niepodległościowa młodych Piłsudskich w gimnazjum w Wilnie była powodem ich wielu szkolnych kłopotów, przy czym – jak podkreśla prof. Kuczyński – Bronisław miał od dzieciństwa mniej szczęścia i częściej „obrywał” niż jego młodszy brat. W omawianym referacie, oprócz wielu nowych informacji na temat propagowania dużego dorobku naukowego Bronisława Piłsudskiego w Polsce, Rosji i Japonii, znalazł się niezwykle wzruszający list Bronisława do ojca, napisany podczas podróży nieszczęsnego zesłańca na Syberię. Jak powiedział prof. Antoni Kuczyński, „treść listu jest wyznaniem miłości i podzięką za dobroć wyniesioną z rodzinnego domu z zapewnieniem, że wartości te i pamięć o nich pozwolą mu [Bronisławowi] przetrwać trudny zesłańczy los”. W zakończeniu swojego chwytającego za serce listu wygnaniec napisał: „Żegnajcie wszyscy moi drodzy krewni, towarzysze, znajomi. Nie poddawaj się uczuciu smutku, Ojciec mój kochany, gdyż trzeba pogodzić się z tym, czego wrócić lub zmienić nie jest w ludzkiej mocy. Świadomość twojej udręki będzie tylko jeszcze bardziej mnie męczyła. Wiedźcie wszyscy, że Was kochałem, Kocham i nigdy Kochać nie przestanę i nie tracę jeszcze nadziei udowodnić Wam to czynami. Wybaczcie mi jeszcze raz i żegnajcie do XX stulecia”.

Prof. Zbigniew Wójcik z Instytutu Historii Nauki PAN w swoim wystąpieniu pt. *Bronisław Piłsudski na Dalekim Wschodzie* (obydwa wyżej wymienione referaty zostały opublikowane w 57. numerze „Biuletynu Archiwum Polskiej Akademii Nauk”) przypomniał zdarzenia, które doprowadziły do aresztowania, a w konsekwencji do zesłania na Syberię obydwu braci Piłsudskich, a także zaprezentował nieznaną fakty z pobytu Ziuka i Bronisława na katordze oraz próby uzyskania zgody od władz rosyjskich na wspólne odbywanie „kary” Józefa i Bronisława. Prof. Z. Wójcik przytoczył załatwione odmownie pismo Józefa Piłsudskiego do ministra spraw wewnętrznych Rosji z 5 października 1888 roku: „Byłem zesłany administracyjnie do miasta Kireńska w 1887 roku. W tym samym czasie brat mój Bronisław był zesłany do ciężkich robót na wyspę Sachalin. Wiedząc, że bratu memu, jak i mnie, ciężko żyć osobno, chciałbym pozostałe mi jeszcze do końca terminu zesłania trzy lata przeżyć razem z nim. Z tego powodu mam zaszczyt prosić Waszą Ekszelencję o

przeniesienie mnie na wyspę Sachalin, do wsi Rykowskoje, gdzie mój brat obecnie się znajduje. Jednocześnie mam zaszczyt prosić o przeniesienie mnie na rachunek skarbu, ponieważ na przejazd tak wielkiej przestrzeni potrzeba dużo pieniędzy, a ja ich nie mam”. Bracia bardzo liczyli na wzajemne wsparcie podczas wspólnego przymusowego pobytu na Syberii i obopólną ochronę przed władzami carskimi. Prof. Wójcik podkreśla, że „z listów Bronisława do rodziny – wysyłanych oficjalnie (cenzura) – wynika, że złościli go kompani ze wspólnej sali, w związku z czym uciekał pod las, by spokojnie czytać książki. Niebawem – bo w końcu 1888 roku – zezwolono mu wynająć kwatery poza więzieniem. Prawdopodobnie wtedy to spodziewał się przyjazdu brata”.

W referacie pt. *Bronisław Piłsudski – badacz kultury Ajnów* prof. Iwona Arabas z Instytutu Historii Nauki PAN przybliżyła gościom historię oraz współczesny status Ajnów jako ludności tubylczej Japonii (od 2008 roku). Populację „czystej krwi” Ajnów szacuje się na 100 osób, a językiem ajnoskim biegle posługuje się obecnie 15 wyłącznie starszych ludzi tak silnie zjaponizowanych, że ich historię można uznać właściwie już za zakończoną. Ajnowie, całkowicie odrębni zarówno pod względem antropologicznym, jak i kulturowym, byli oraz nadal są wypierani z zajmowanych przez siebie ziem, celowo rozpijani i bezwzględnie dyskryminowani przez Japończyków (pozbawiono ich kultury, języka, zakazano dotychczasowego trybu życia i zwyczajów, blokuje się im dostęp do wiedzy i dobrej pracy). Brutalność i bezwzględność Japończyków wobec Ajnów oraz złe traktowanie niedźwiedzi w ajnoskim skansenie, które trzeba uznać za znęcanie nad tymi biednymi zwierzętami, wzbudza moją zdecydowaną niechęć i dezaprobatę.

Dużym zainteresowaniem cieszył się wzbogacony prezentacją komputerową referat Romana Olkowskiego z Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku pt. *O dwóch portretach Bronisława Piłsudskiego w Sulejówku*. Autor zapoznał zgromadzonych z historią niezwyklego portretu Bronisława Piłsudskiego w stroju Ajnów – *Król Ajnów*. Obraz namalowany został w Zakopanem w 1912 roku przez litewskiego malarza, grafika i fotografa Adomasa Varnasa (1879-1979), propagatora rodzimej sztuki ludowej. Początkowo wystawiono go w sali Bazaru Polskiego przy Krupówkach w Zakopanem, a po 1. wojnie światowej obraz – jako własność marszałka Józefa Piłsudskiego – przewieziono do Warszawy. W latach 1923-1947 portret Bronisia zdobił ścianę dworku rodziny Piłsudskich Milusin w Sulejówku, którego całe wyposażenie w 1947 roku decyzją Ministerstwa Obrony Narodowej zostało wywiezione i umieszczone w nieznanym miejscu (w Milusinie zaś urządzono przedszkole). Obraz, przez wiele lat uważany za zaginiony i znany tylko z reprodukcji, odnaleziono wraz z częścią milusińskiego wyposażenia w 2015 roku w pałacu Jakuba Potockiego w Helenowie (obecnie Ośrodek Reprezentacyjny Ministerstwa Obrony Narodowej) i przekazano do Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Drugi zaginiony portret Bronisława, o którym opowiadał Roman Olkowski, jest autorstwa Stanisława Ignacego Witkiewicza i został namalowany również w 1912 roku. Goście obejrżeli zdjęcie portretu Bronisława Piłsudskiego, wiszącego w Milusinie nad stojącym przed kominkiem fotelem, na którym siedzi marszałek Józef Piłsudski przyjmujący delegację harcerzy przybyłych do dworku 19 marca 1925 roku w celu złożenia Dziadkowi życzeń imieninowych.

Powstał też fanpage – wirtualny szlak *Śladami Bronisława Piłsudskiego* – oraz aplikacja GIS, która pokazuje na mapie miejsca związane z Bronisławem

Piłsudskim wraz z najważniejszymi informacjami o jego dokonaniach na Dalekim Wschodzie. Autorem mapy jest Mateusz Zawadzki z Pracowni Geoinformacji Historycznej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, który wraz z dr Joanną Szady, adiunktem na Katedrze Nauk Pomocniczych Historii KUL, opowiedział uczestnikom konferencji o tym ciekawym internetowym projekcie.

Na zakończenie obrad zaprezentowany został fragment filmu dokumentalnego z 2010 roku pt. *Orzeł i chryzantema. Ostatni z rodu* w reżyserii i scenariuszem Jacka Wana, dziennikarza Nippon TV. Bohaterem filmu jest Bronisław Piłsudski, o którym opowiada jego wnuk Kazuyoshi Kimura, syn Sukezo. Wnuk Piłsudskiego dopiero w 1984 roku dowiedział się, że jego dziadkiem był słynny polski uczonek. Kazuyoshi Kimura opowiada w filmie o swojej ajnoskiej rodzinie – o rodzicach i dziadkach. Twórca filmu towarzyszył Kazuoshimu Kimurze w podróży do Matsuyamy i Nagasaki, którą odbył bohater w poszukiwaniu śladów życia i działalności swojego wielkiego przodka, natykając się przy okazji na informacje o innych Polakach, którzy zajmowali się zgłębianiem tajemnic dalekiej Azji.

Konferencji towarzyszyła wystawa *Bronisław Piłsudski – polski badacz Syberii*. Jest ona fragmentem dużej planszowej ekspozycji *Polscy badacze Syberii*, przygotowanej przez pracowników Archiwum Polskiej Akademii Nauk, prezentującej sylwetki Polaków, którzy przyczynili się do poznania i opisanie Syberii nazywanej przez niektórych historyków przybraną ojczyzną Polaków. Zaprezentowano m.in. dwa przechowywane w zasobie APAN oryginalne listy Bronisława Piłsudskiego. Jeden z nich to list z 1915 roku do Władysława Leopolda Jaworskiego, teoretyka prawa, prawnika, konserwatywnego polityka, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, członka PAU, a drugi – z 1914 roku – napisany został do Henryka Ułaszyna, językoznawcy, sławisty, profesora uniwersytetów we Lwowie, Poznaniu i Łodzi, działacza społecznego i oświatowego.

Celem konferencji było przybliżenie niezwyklej postaci Bronisława Piłsudskiego, który w Polsce niestety znany jest głównie jako starszy brat marszałka Józefa Piłsudskiego. A przecież dorobek naukowy tego wybitnego badacza, podróżnika, etnografa i muzeologa, do dziś jeszcze do końca niezgłębiony, m.in. z powodu zapisu niektórych notatek uczonego w języku ajnoskim (i to w jego formie fonetycznej), jest przeogromny i powinien być powodem do dumy Polaków. Także niezachwiana postawa moralna i patriotyczna Bronisława Piłsudskiego winna wzbudzać respekt i szacunek nie tylko na Sachalinie czy Hokkaido, ale również w Ojczyźnie.

Joanna Arvaniti

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Л. К. Островский, *Поляки в Западной Сибири в конце XIX – первой четверти XX века*, Новосибирск 2016, ss. 808.**

W badania nad dziejami Polaków na Syberii ważną rolę odgrywa Nowosybirsk. Dużą w tym zasługą Leonida Michajłowicza Goriuszina (1927-1999) związanego z Oddziałem Syberyjskim Radzieckiej/Rosyjskiej Akademii Nauk. Wniósł on niezaprzeczalny wkład w badania nad przemianami społeczno-gospodarczymi na Syberii w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku. Inspirował do podejmowania nowej problematyki i zarazem występował w roli koordynatora badań oraz redaktora prac zbiorowych. To właśnie pod kierunkiem L. M. Goriuszina przygotowywał swe pierwsze prace Leonid Kazimierowicz Ostrowskij, który aktualnie jest profesorem w katedrze historii i filozofii Nowosybirskiego Państwowego Uniwersytetu Architektury i Budownictwa¹.

To za sprawą L. M. Goriuszina L. K. Ostrowskij zamiast zajmować się wątkiem martyrologicznym w dziejach Polaków za Uralem podjął próbę określenia wkładu w rozwój cywilizacyjny Syberii, potomków polskich zesłańców postyczniowych, osób zesłanych za działalność polityczną na przełomie XIX i XX wieku, dobrowolnych osiedleńców z tego czasu oraz uciekinierów (bieżeńców) z okresu I wojny światowej.

Na podjęcie tej tematyki przez L. K. Ostrowskiego miały wpływ również badania prowadzone nad polską obecnością na Syberii przez Ośrodek Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego. To z inicjatywy prof. dr hab. Antoniego Kuczyńskiego zostało zorganizowanych na przełomie XX i XXI wieku kilka polsko-rosyjskich konferencji, a opublikowane materiały zajmują ważne miejsce w badaniach nad obecnością Polaków na Syberii. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że L. K. Ostrowskij czerpał wiele z wydawnictw powstałych pod redakcją A. Kuczyńskiego, a w szczególności: *Syberia w historii i kulturze narodu polskiego*, Wrocław 1998; *Polacy w nauce, gospodarce i administracji na Syberii w XIX i na początku XX wieku*, Wrocław 2007 czy *Polacy w nauce i kulturze Tomskia oraz Syberii Zachodniej* (Wrocław 2008. W tym przypadku współredaktorem był Mirosław Marczyk).

¹ Dziejami polskiej zsyłki w Nowosybirsku zajmują się jeszcze: Tatiana Gienadjewna Niedzieluk, Jekaterina Nikołajewna Tumanik i Irina Siergiejewna Trojak. Pierwsza w swym dorobku posiada m. in. prace poświęcone dziejom kościoła rzymskokatolickiego na Syberii. Druga zajmuje się głównie wkładem Polaków w rozwój gospodarczy Syberii Zachodniej. Natomiast I. S. Trojak podejmuje zagadnienia związane z dziewiętnastowiecznymi polskimi publikacjami poświęconymi Rosji. Wspomnieć też trzeba, że Państwowa Publiczna Naukowo-Techniczna Biblioteka – Oddział Syberyjski Rosyjskiej Akademii Nauk przygotowuje bibliografię prac poświęconych dziejom Polaków na Syberii.

Swe rozważania sprowadza L. K. Ostrowskij do Syberii Zachodniej, czyli guberni tomskiej, tobolskiej i obwodu akmolińskiego. Ramy chronologiczne pracy zamykają się między 1890 rokiem a latami 20. XX wieku. Na pierwszy rzut oka można odnieść wrażenie, że autor połączył dwa różne wątki. Wydawać by się mogło, że dzieje Polaków na Syberii w końcu XIX wieku i początku XX wieku (do wybuchu I wojny światowej) winno się rozpatrywać oddzielnie, że połączenie w swoistego rodzaju całość sytuacji do 1914 roku z tym co miało miejsce w latach I wojny światowej, rewolucji 1917 roku i wojny domowej w Rosji nie jest zwyczajnie wskazane chociażby ze względu na zastosowane metody badawcze.

W trakcie lektury pracy, która – powiedzmy to zaraz – nasycona jest ogromną ilością faktów, ta wątpliwość szybko zostaje rozwiana. Autor przyjął, że w latach 90. XIX wieku w wyniku dobrowolnego osiedlania się na Syberii Zachodniej wielu Polaków z Królestwa, a przede wszystkim z guberni zachodnich Imperium Rosyjskiego, zakończyło się formowanie polskiej diaspory. Natomiast czasy I wojny światowej, a zwłaszcza rewolucja 1917 roku i wojna domowa doprowadziły do jej rozpadu.

Praca oparta jest na bogatej bazie źródłowej. Najważniejsze miejsce zajmują materiały urzędowe. Przeprowadzono kwerendy archiwalne w Moskwie (Gosudarstwiennyj Archiw Rossijskoj Federacii (GARF) i Rossijskij Gosudarstwiennyj Archiw Socjalno-Politiczeskoj Istorii (RGASPI)) oraz archiwach syberyjskich: Tomsk, Omsk, Tobolsk, Nowosybirsk, Barnauł, Krasnojarsk oraz Irkuck (archiwa z tych ostatnich dwu miast przynależą już do Syberii Wschodniej, ale trzeba było z nich skorzystać, by pewne zagadnienia ukazać w kontekście porównawczym). L. K. Ostrowskij przeprowadził szczegółowe poszukiwania informacji na temat działalności gospodarczej w wydawnictwach statystycznych. Mam tu na myśli tzw. „obzory”, „pamiatnyje kniżki”, kalendarze, spisy urzędników, zwłaszcza spisy urzędników pracujących w zakładach górniczo-hutniczych, czy przy budowie i obsłudze kolei transsyberyjskiej. Szczegółowo przeanalizował spisy profesorów, nauczycieli, studentów, czy wreszcie uczniów. Autor starał się również wykorzystać prasę. Przeprowadził więc kwerendę w kilkunastu gazetach, ukazujących się głównie w Tomsku, Barnaule, czy Omsku. Niestety, liczba informacji na temat roli Polaków w życiu społeczno-gospodarczym Syberii Zachodniej była wręcz minimalna i do tego bardzo ogólnikowa. Tą kwerendą L. K. Ostrowskij potwierdził już wcześniejsze obserwacje zarówno historyków polskich, jak i rosyjskich, że prasa syberyjska niewiele wnosi do badań nad wkładem Polaków w rozwój cywilizacyjny Syberii².

² Przykładowo por.: B. Jędrychowska, *Kształtowanie wyobrażeń i poglądów o polskich zesańcach postyczniowych przez syberyjską gazetę „Tomskije Gubernskije Wiedomosti”*, [w:] *Polacy w nauce, gospodarce i administracji na Syberii w XIX i na początku XX wieku*, red. A. Kuczyński, Wrocław 2007, s. 421-429. Szczególnym wyjątkiem był tekst zamieszczony w gazecie „Sibir” z 1883 roku. Por.: E. Niebelski, *Irkucka gazeta „Sibir” o Polakach zesańcach w 1883 roku*, [w:] *Syberia infernalna – mity i oblicza rzeczywistości*, red. M. Cwenk, Lublin 2014, s. 37-44. Por. też I. B. Чернова, *Образ поляка в сибирских периодических изданиях конца XIX-начала XX в.*, [w:] *Польские ссыльные в Сибири во второй половине XVIII – начале XX века в восприятии российской администрации, переселенцев и коренных*

Autor starał się również dotrzeć do wspomnień, zarówno Polaków, jak i Rosjan. Niestety, jeżeli chodzi o wspomnienia Polaków z końca XIX i początku XX wieku, to tych naprawdę jest niewiele. Pamiętniki i różnego rodzaju wspomnienia pisali głównie zesłańcy z lat 40.-60. XIX wieku. Po działaczach rewolucyjnych spuścizna piśmiennicza jest daleko mniejsza. Natomiast trudno natrafić na jakiegokolwiek zapiski dobrowolnych osiedleńców. Swoistego rodzaju uzupełnienie w tej sytuacji stanowią wywiady, jakie autor przeprowadził jeszcze w latach 90. XX wieku z potomkami osób dobrowolnie przybyłych na Syberię. I w ten sposób uzyskał ciekawe szczegóły odnoszące się do życia codziennego polskiej diaspory w okresie jej formowania. Za to z czasów I wojny światowej pochodzi sporo relacji pamiętnikarskich i te przez L. K. Ostrowskiego zostały wykorzystane. Wręcz w minimalnym stopniu znajdujemy informacje o Polakach w różnego rodzaju wspomnieniach samych Rosjan. Obszerniejsze wspomnienia rewolucjonisty Siergieja Siergiejewicza Anisimowa (1876-1948) są tu wyjątkiem³.

Praca składa się z czterech obszernych rozdziałów. W pierwszym autor omówił dorobek historiografii polskiej i rosyjskiej, scharakteryzował bazę źródłową oraz przedstawił ważność podjętego tematu dla dalszych badań nad funkcjonowaniem mniejszości narodowościowych, które zamieszkiwały Syberię na przełomie XIX i XX wieku. W rozdziale drugim został przedstawiony wkład Polaków w rozwój ekonomiczny Syberii Zachodniej, w trzecim przeanalizował udział w życiu społecznym, a w czwartym został omówiony wkład w rozwój nauki, kultury, oświaty i służby zdrowia.

L. K. Ostrowskij, przystępując do charakteryzowania wkładu Polaków w rozwój ekonomiczny Syberii Zachodniej w końcu XIX i pierwszej ćwierci XX wieku najpierw musiał dokonać ustaleń odnośnie liczebności Polaków. W tym przypadku oparł się na danych, które pochodzą z pierwszego spisu ludności Imperium Rosyjskiego przeprowadzonego w 1897 roku. Wynika z niego, że w Zachodniej Syberii zamieszkiwało 13.264 Polaków, z czego w miastach zamieszkiwało około 34%, a na wsiach około 66%. Polacy w miastach byli trzecią grupą, po Rosjanach i Żydach. Stanowili oni 1,7%. Najliczniej Polacy zamieszkiwali w guberni tomskiej. W 1897 roku mieszkało tam 6387 osób. Z tej liczby 1665 (26%) zamieszkiwało w miastach, a na wsiach 4722 (74%) (s. 63-64). W tej części pracy L. K. Ostrowskij przedstawił wyliczenia odnośnie liczebności polskiej mniejszości, jeżeli tak można powiedzieć w wszelkich możliwych wariantach. Uwzględnił, więc podział na mężczyzn i kobiety, wieś i miasto. Jeżeli chodzi o liczbę Polaków zamieszkałych w miastach to takie wyliczenia zostały przeprowadzone w odniesieniu do każdego z nich. Wskaźnik ludności wiejskiej wyliczył w odniesieniu do każdego powiatu, a w wielu przypadkach podał liczbę Polaków zamieszkałych w poszczególnych miejscowościach nieposiadających statusu osady miejskiej.

народов Сибири/Сборник научных трудов, ред. С. А. Мулина, А. А. Крих, Я. Легеч, Омск 2015, s. 354-361.

³ С. С. Анисимов, *Исторический город*, Москва 1930, s. 67. Niestety, nie znajdziemy też szerszych wzmianek o życiu Polaków na Syberii u tzw. „obłastników”. Główni jego przedstawiciele, czyli Nikołaj M. Jadrincew i Grigorij N. Potanin ograniczyli się zaledwie do drobnych wzmianek.

W dalszej kolejności L. K. Ostrowskij podejmuje się ustalenia liczby Polaków w 1911 roku. W wyniku dobrowolnego osadnictwa liczba Polaków na Syberii zwiększyła się. Niestety, już tak dokładnymi danymi, jak w przypadku spisu z 1897 roku nie dysponował, ale w przypadku guberni tomskiej urzędowe dane mówią o liczbie 12. 150. Jest to prawie dwukrotny wzrost w stosunku do 1897 roku. Natomiast w 1920 roku na obszarze tejże guberni mieszkało 17. 051 Polaków. Nie trudno się domyślać, że na ten wzrost miały wpływ działania wojenne,

Po ich zakończeniu rozpoczęła się repatriacja. L. K. Ostrowskij mimo dotarcia do różnych danych mówiących o liczbie Polaków przybyłych na Syberię w czasach I wojny światowej, a później opuszczenia jej w wyniku repatriacji, nie był w stanie ustalić w miarę pewnej liczby Polaków, którzy ostatecznie zostali na Syberii na zawsze. W tej sprawie jest ogromna różnica między rosyjskimi urzędowymi danymi, a liczbami podawanymi przez polskie organizacje społeczno – polityczne. Autor mimo zastrzeżeń odnośnie dokładności sporządzania danych o liczbie Polaków przez rosyjski, a później sowiecki, aparat władzy, uważa, że jednak tym danym należy się pierwszeństwo, bo polskie organizacje, zwłaszcza komunizujące, zbyt często zawyżały liczbę Polaków na Syberii. Ostatecznie L. K. Ostrowskij uważa, że należy przyjąć, iż w 1920 roku na Syberii Zachodniej mieszkało 37. 686 Polaków, a w 1926 było ich 29.443 (s. 95).

W drugiej części tego rozdziału autor zaprezentował dane o Polakach zatrudnionych na posadach rządowych. Tę swoistego rodzaju prezentację rozpoczął od zatrudnionych przy budowie, a następnie obsłudze kolei transsyberyjskiej. Informacje na ten temat czerpał głównie z zasobów archiwum Nowosybirsk. W dalszej kolejności przedstawił informacje o Polakach zatrudnionych w administracji rządowej, sądownictwie, szkolnictwie, a także w wojsku i policji. W tych instytucjach w największym stopniu pracowali Polacy zamieszkali w głównych ośrodkach Syberii Zachodniej, a mianowicie w Tomsku, Omsku i Tobolsku. Dane informujące o zatrudnieniu Polaków w administracji rządowej i różnego rodzaju jej służbach czerpano z „pamiętnych knizek”, „obzorów”, różnego rodzaju kalendarzy i specjalnych wydawnictw poświęconych stanowi przemysłu i handlu w Imperium Rosyjskim w omawianym okresie. Szkoda, że pisząc o wysokich wojskowych, nie skorzystał autor z tzw. „list służby” przechowywanych w Rossijskim Gosudarstwiennym Wojenno-Istoriczeskim Archiwie w Moskwie (RGWIA). Może warto byłoby wrócić do tej sprawy w przyszłości, zwłaszcza że historyk z Nowosybirsk dysponuje już nazwiskami Polaków, co niewątpliwie ułatwi korzystanie z odpowiednich akt w tym archiwum. Przedstawienie karier wojskowych Polaków odbywających służbę w korpusie oficerskim, na tzw. linii syberyjskiej byłoby ciekawym uzupełnieniem omawianej pracy.

Część trzecia rozdziału drugiego poświęcona jest sprawom związanym z dobrowolnym przesiedleniem chłopów z Królestwa Polskiego i guberni zachodnich Imperium Rosyjskiego za Ural. Jego zdaniem dobrowolni przesiedleńcy wywodzili się głównie z guberni zachodnich, a był to efekt polityki rusyfikacji tzw. zachodnich „okrain” Imperium Rosyjskiego. Bardzo często przesiedlano całe wsie. W tym przypadku, jak sądzę, trudno mówić o dobrowolnym osadnictwie. Takie określenia można jedynie stosować w odniesieniu do chłopów

z Królestwa Polskiego i niewielkich grup polskich włościan z guberni zachodnich. Swoistym symbolem dobrowolnego, chłopskiego osadnictwa była wieś Biełostok (Białystok) w guberni tomskiej⁴. W tej części pracy autor przekazał wiele ciekawych ustaleń odnośnie roli, jaką polscy chłopcy odegrali w upowszechnianiu kultury rolnej na Syberii oraz wkładu dotyczącego przetwórstwa rolniczego. L. K. Ostrowskij pisze o wkładzie w rozwój przemysłu rolno-spożywczego, ale osobiście wolałbym tę działalność nazywać przetwórstwem rolno-spożywczym.

W trakcie lektury tego fragmentu ciągle pojawia się problem braku porównawczego ujęcia dziejów dobrowolnego osadnictwa końca XIX wieku i początku XX wieku z Królestwa Polskiego i guberni zachodnich Imperium Rosyjskiego. Sprawa ta czeka na swego historyka.

Wreszcie czwarta część tego rozdziału zawiera ustalenia związane z przedsiębiorczością Polaków na polu gospodarczym. Autor ustalił nazwiska 162 osób z lat 1890-1917, które podejmowały działalność gospodarczą na mniejszą lub większą skalę (zob. aneks 20)⁵. Na wybranych przykładach omówił skalę ich działalności. Zapewne historycy podejmujący problematykę gospodarczą mieliby pewne uwagi do zaliczenia niektórych osób jako przedsiębiorców nawet w tym dziewiętnastowiecznym znaczeniu. Dla piszącego te słowa nie ulega wątpliwości, że ustalenia L. K. Ostrowskiego w tej materii są bardzo ważne, bo wreszcie pokazują zjawisko w skali ilościowej i to dla dużego obszaru, a nie jak do tej pory dysponowaliśmy opracowaniami dotyczącymi pojedynczych przedsięwzięć. Autor sporządzając ten aneks zdawał sobie sprawę, że nie do końca określenie „predprinimatiel” jest adekwatnie zastosowane w odniesieniu do każdej osoby. Trudno bowiem porównywać działalność Józefa Adamowskiego (pierwszy w wykazie), twórcę żeglugi parowej na Syberii Zachodniej z Bronisławem Wąsowiczem z Omska, zajmującym się wyrobem kielbas.

W rozdziale trzecim zajął się autor działalnością Polaków w życiu społecznym ze szczególnym uwzględnieniem ich zaangażowania w polskich organizacjach społecznych. W pierwszej kolejności przedstawił udział Polaków w tworzeniu organizacji społecznych na przełomie XIX i XX wieku (do wybuchu I wojny światowej) w oparciu o struktury Kościoła rzymsko-katolickiego. Na marginesie tylko dodam, że swoistego rodzaju fenomenem była działalność tomskiego towarzystwa dobroczynności. Następnie scharakteryzował działalność polskich organizacji udzielających pomocy uciekinierom w czasie I wojny światowej i przeszedł do czasów rewolucji 1917 roku i wojny domowej. Jego zdaniem w tych trudnych czasach mniejszości etniczne zamieszkujące Syberię, w tym Polacy, w większości opowiadali się za „białymi” (s. 450). Kiedy jed-

⁴ Losy mieszkańców tej wsi mają już swoją literaturę. Por.: В. А. Ханевич, *Белостокская трагедия (из истории геноцида поляков в Сибири)*, Томск 1993, s. 191. W poszerzonej wersji polskiej książka ta ukazała się w 2008 roku pt. *Tragedia syberyjskiego Białegostoku*, Pelplin 2008, s. 232.

⁵ Próbie ustalenia liczby tzw. „predprinimateli” z lat 1832-1917 w odniesieniu dla całej Syberii podjął Władysław Masiarz. Zdaniem historyka krakowskiego można mówić o liczbie około 400 osób, które zajmowały się działalnością finansowo-gospodarczą na większą niż osobistą i rodzinną skalę. W. Masiarz, *Aktywność gospodarcza Polaków na Syberii w XIX i na początku XX wieku*, „Annales Universitatis Pedagogicae Cracoviensis”, XIX (2013), s. 44.

nakże dobrze się przestudiuje biogramy Polaków opracowane przez Wasilija Chaniewicza w odniesieniu do Tomska (a jest to kilkaset biogramów) to sprawa nie wygląda tak jednoznacznie⁶. Można powiedzieć, że tę część książki L. K. Ostrowskiemu było nieco łatwiej przygotować niż pozostałe partie, a to dlatego, że na temat losów polskich uciekinierów jest pewna literatura, zarówno rosyjska⁷, jak i polska⁸. Nadto autor, co już wspomniano, miał też do dyspozycji sporo polskich relacji wspomnieniowych. (zob. bibliografię). Nie oznacza to, że historyk z Nowosybirka nie sięgnął do niewykorzystywanych jeszcze źródeł. W tej części pracy wykorzystanych zostało wiele materiałów archiwalnych i dzięki temu L. K. Ostrowski mógł znacznie szerzej oświetlić wiele kwestii.

Ostatnia, czwarta część tego rozdziału poświęcona jest sytuacji w obrębie polskiej diaspory w czasach repatriacji nie tylko uciekinierów, ale także wojskowych, którzy znaleźli się w rosyjskiej niewoli i wszystkich tych, którzy po wielu, wielu latach zamieszkiwania na Syberii nagle uznali, że powinni powrócić do ojczyzny. Ci ostatni mieli ogromne problemy z powrotem, bo trudno było zgromadzić odpowiednie dokumenty świadczące o polskich korzeniach. Nadto trzeba pamiętać, że w Rosji zawsze o wszystkim decydował urzędnik. Jednemu wystarczyły zebrane dokumenty, a inny z kolei dopatrywał się ogromnych luk. Nikt oczywiście nie jest w stanie określić ilu Polaków spośród potomków zesłańców postyczniowych, z powodu nie zebrania odpowiednich dokumentów musiała pozostać na Syberii już na zawsze. Faktem jest, że w tej grupie w największym stopniu (65%-72%) stanowili mieszkańcy niewielkich skupisk ludnościowych rozrzuconych po syberyjskiej głuszy. Byli to ludzie bardzo biedni i liczyli, że powracając w strony swych przodków poprawią sobie położenie materialne. (s. 496-497).

Sporo miejsca w tej części pracy poświęcił L. K. Ostrowski Polakom, którzy związali się z ruchem komunistycznym. Jego zdaniem największą aktywność w tym zakresie wykazywali uchodźcy z czasów I wojny światowej. Część z nich chciała nawet brać udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku. W kierownictwie komunistów syberyjskich pojawiły się w tej sprawie wątpliwości. Z jednej strony uważano, że byłoby bardzo dobrze gdyby Polacy brali udział w tej wojnie, bo można byłoby wtedy w szerszym zakresie docierać z propagandą komunistyczną do polskiego chłopca i robotnika, ale zaraz mitygowano się, bo jeżeli polscy komuniści poszliby na front to nie miałby kto szerzyć propagandy komunistycznej na Syberii. Jak ostatecznie tę kwestię rozstrzygnięto autorowi nie udało się ustalić, faktem natomiast jest, że w jednym z powiatów zapisało się 245 osób chcących iść na front. (s. 480). Czy poszli, nie wiadomo?

⁶ В. Ханевич, *Поляки в Томске (XIX-XX вв). Биографии*, Томск 2012, s. 686 (zob.: http://nkvd.tomsk.ru/researches/publications/polacy_v_tomsku_biograph/ (dostęp: 23, 09 2016)).

⁷ Przykładowo por.: И. Нам, *Национальные меньшинства Сибири и Дальнего Востока на историческом переломе (1917-1922 гг.)*, Томск 2009.

⁸ Przykładowo por. M. Korzeniowski, M. Mądzik, D. Tarasiuk, *Tułaczy los. Uchodźcy polscy w imperium rosyjskim w latach pierwszej wojny*, Lublin 2007; D. Radziwiłłowicz, *Polskie formacje zbrojne we wschodniej Rosji oraz na Syberii i Dalekim Wschodzie*, Olsztyn 2009.

W rozdziale czwartym autor najpierw scharakteryzował życie kulturalne Polaków, a następnie omówił wkład Polaków w rozwój szkolnictwa, nauki, sztuki i ochrony zdrowia. Tak, jak już zaznaczałem na początku, że wielki walor tej pracy wynika z nagromadzenia ogromnej ilości faktów odnoszących się do obszernego terytorium jaki stanowiła Syberia Zachodnia. W tej części pracy to nagromadzenie jest znowu bardzo widoczne. To umożliwiło autorowi ukazać skalę aktywności Polaków na różnych płaszczyznach.

L. K. Ostrowskij słusznie zauważa, że życie kulturalno-oświatowe Polaków skupiało się wokół parafii. Pamiętać jednakże trzeba, że poszczególne parafie obejmowały ogromne obszary Syberii Zachodniej. Przykładowo powstała jeszcze w latach 30. XIX wieku parafia tomska obszarowo była większa niż kilka krajów zachodnioeuropejskich razem wziętych. W tej sytuacji życie kulturalno-oświatowe musiało się sprowadzić jedynie do tych miast gdzie istniały kościoły parafialne, a więc w Tomsku, Omsku, Tobolsku, Tiumeniu, a czasami tam gdzie były kaplice. Jednakże trzeba pamiętać, że kaplic czy tzw. domów modlitwy też nie było za wiele. Księża pracujący w tych parafiach podejmowali wszelkie możliwe działania, by Polacy zamieszkali na Syberii nie tylko nie zapomnieli, że są wyznawcami religii rzymsko-katolickiej, ale i by mieli kontakt ze słowem pisanim. Starano się więc zakładać polskie biblioteki. Wśród księży pracujących na Syberii Zachodniej w drugiej połowie XIX wieku niewątpliwie na czoło wybijała się działalność ks. Waleriana Gromadzkiego (1835-1917), który na Syberii (Omsk i Tomsk) prawie przez 40 lat prowadził działalność duszpasterską i zyskał sobie przydomek „ojca wszystkich katolików zachodniosyberyjskich”. Oddając się lekturze tej części pracy systematycznie pojawiało mi się pytanie o możliwość przygotowania zbiorowego portretu księży spełniających posługę duszpasterską na Syberii Zachodniej. Nie jest to łatwe zadanie, bo trzeba byłoby dotrzeć do różnego rodzaju raportów rosyjskich władz administracyjnych i policyjnych na temat postawy polskich księży i do korespondencji samych księży, którą prowadzili z zwierzchnikami Kościoła rzymsko-katolickiego i z rodziną. Jednakże, jak sądzę, taka publikacja jest możliwa i bardzo potrzebna⁹.

Część druga tego rozdziału zawiera rozważania związane z określeniem liczby Polaków uczęszczających do szkół średnich i studiujących na Uniwersytecie Tomskim. Autor, i słusznie, ma przekonanie do liczb i w związku z tym stara się na ile jest to tylko możliwe podać procentowy udział Polaków w szkołach i na uniwersytecie w poszczególnych latach.

Wreszcie część trzecia zawiera ustalenia związane z wkładem Polaków w rozwój szkolnictwa, nauki, sztuki i medycyny. Nie ma już miejsca na wymienianie osiągnięć w poszczególnych dziedzinach, a nadto jeźelibym się na to

⁹ W trakcie realizacji przez Instytut Historii UJK i Omski Państwowy Agrarny Uniwersytet projektu NPRH „Polscy zesłańcy na Syberii Zachodniej w drugiej połowie XVIII wieku – XIX wieku w oczach Rosjan i ludności syberyjskiej” (Umowa nr 0098/NPRH3/H12/82/2014) odnajdujemy wiele ciekawych dokumentów dotyczących tej kwestii, a przechowywanych w wielu archiwach rosyjskich, a także litewskich, białoruskich i ukraińskich. Pokłosiem tych prac jest między innymi obszerne wydawnictwo źródłowe: *Kościół katolicki na Syberii Zachodniej w XIX i początkach XX wieku. (szkice historyczne – materiały – dokumenty)*. Do druku przygotował Wasyl Chaniewicz. Pod. red. W. Cabana i J. Legiecia, Kielce 2017.

zdecydował to wybór byłby dość subiektywny. Wspomnieć jednakże muszę o jednej kwestii, a mianowicie o istotnym wkładzie Polaków w rozwój architektury. Szczególnie odnosi się to do Tomska, gdzie według projektów polskich architektów wzniesiono wiele budowli użyteczności publicznej i domów prywatnych. Swoistego rodzaju symbolem tej architektury jest poddany aktualnie generalnej rekonstrukcji dom Wincentego Orzeszki.

W trakcie lektury tej pracy czytelnik przekonuje się, że potomkowie polskich zesłańców, czy też dobrowolni osiedleńcy, wywodzący się głównie z polskich rodzin zamieszkałych na obszarach dzisiejszej Litwy, Białorusi i Ukrainy, a wykształceni na wyższych uczelniach Petersburga i poniekąd Tomska wnieśli trwały wkład w rozwój społeczno-gospodarczy i kulturalny Syberii Zachodniej, a głównie Tomska, Omska i Tobolska.

Książka L. K. Ostrowskiego ukazała się jako tom 5 serii „Polsko-Syberyjskiej Biblioteki”. Teraz życzyć by należało opublikowanie jej w przekładzie na język polski, bo tylko w ten sposób ważne ustalenia dotyczące syberyjskich losów Polaków mogą dotrzeć do szerszego kręgu czytelników i zapewne zainspirowałyby to początkujących historyków do podejmowania tej problematyki.

Wiesław Caban

- ***Kościół katolicki na Syberii Zachodniej w XIX i początkach XX wieku. Szkice historyczne, materiały, dokumenty, pod red. W. Cabana, J. Legiecia, Wydawnictwo Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, Kielce 2017, ss. 663.***

Recenzowane opracowanie stanowi kontynuację serii wydawniczej *Polacy – Syberia. XVIII-XIX wieku. Szkice historyczne, materiały, dokumenty*, będącej wynikiem realizacji projektu badawczego prowadzonego w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. Projekt ten jest owocem współpracy Instytutu Historii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach oraz Omskiego Państwowego Uniwersytetu Agrarnego im. Piotra Stołypina. Badania prowadzą naukowcy z obydwu uczelni. Zaangażowani w prace nad projektem są między innymi wchodzący w skład redakcji omawianego tomu – Wiesław Caban i Jacek Legieć. Doboru i opracowania szkiców składających się na ów tom, dokonał Wasilij Chaniewicz, mieszkaniec Tomska – miasta leżącego w Syberii Zachodniej – „strażnik polskości na Syberii”. Choć autor nie jest historykiem, jego zainteresowania badawcze są silnie związane z polską społecznością na Syberii Zachodniej. Świadczy o tym dotychczasowy dorobek naukowy W. Chaniewicza, dotyczący dziejów Polaków na Syberii Zachodniej od XVIII do XX wieku.

Publikacja składa się z trzech głównych części, poprzedzonych wstępem w dwóch językach: polskim i rosyjskim, a także z dwujęzycznego wprowadzeniem. Na część pierwszą składa się siedemnaście szkiców historycznych, nakreślających w chronologicznym układzie historię Kościoła Katolickiego na Syberii Zachodniej począwszy od XVII do XX wieku. Skupiono się głównie na okresie, w którym liczba ludności polskiej była największa, a więc na wieku XIX i początkach XX. Część drugą stanowią materiały źródłowe rosyjskoję-

zyczne. Ostatnia część to dość obszerne aneksy zawierające między innymi informacje biograficzne o księżach rzymskokatolickich sprawujących posługę kapłańską w Guberni Tomskiej. Na końcu książki znajdują się wykazy, indeksy oraz słownik terminów kościelnych.

W publikacji najczęściej uwagi poświęcono mieszkańcom Tomska i guberni tomskiej. Tereny te już w pierwszej połowie XIX wieku były dość dobrze rozwinięte, na co wpływ mieli w dużej mierze katolicy. Nie sposób nie wspomnieć o takich działaczach i dobroczyńcach jak: książe Piotr Moszyński czy Alfons Kozieł-Poklewski i jego potomkowie. Swój duży udział w rozwoju Kościoła Katolickiego mieli między innymi: ks. Rudolf Jurgielewicz, ks. Hieronim Grinczel, ks. Jan Sierociński, czy ks. Walerian Gromadzki. Znaczenie dla społeczności Tomska mieli także lekarze i aptekarze katolicy, między innymi: Florian P. Zackiewicz, Emil S. Malgudowicz, Florenty F. Orzeszko, Stanisław I. Zaleski, Władysław S. Pirusski.

Najwięcej katolików przybyło na Syberię Zachodnią na przełomie XIX i XX wieku, jako dobrowolni osadnicy. Największe parafie i najokazalsze kościoły powstały w Tomsku. W całej Guberni Tomskiej według spisu z 1897 roku było 8973 katolików. W 1914 roku w samym Tomsku mieszkało ponad 4 tysiące katolików.

Tytuł książki jest zgodny z zawartością pracy, a tytuły szkiców historycznych jednoznacznie nakreślają temat podjętego w nich wywodu. Szkice napisano w oparciu o źródła historyczne, pochodzące w przeważającej mierze z Państwowego Archiwum Obwodu Tomskiego. Wybrane źródła pozwoliły na ukazanie wielowymiarowego obrazu Kościoła katolickiego na Syberii Zachodniej. W publikacji zdecydowano się na przetłumaczenie opracowanych szkiców w sposób oddający charakterystyczny dla ich autora, W. Chaniewicza, styl redakcji. Celem książki jak i całego projektu jest edycja źródeł mająca służyć popularyzacji omawianych zagadnień na gruncie polsko – rosyjskim, wykraczającym poza grono historyków. Ciekawe rozwiązanie, jakim jest dwujęzyczność książki poszerza grono jej odbiorców i podkreśla zaangażowanie zarówno strony polskiej jak i rosyjskiej w pracę nad wspólnym projektem.

Publikacja skierowana jest zarówno do historyków badających losy Polaków na Syberii jak i Kościoła katolickiego, ale także, zgodnie z intencją autorów, do każdego, komu nie są obojętne losy diaspory polskiej. Książka może stać się inspiracją dla wielu badaczy omawianej tematyki. Pokazuje ona bowiem jak wiele zagadnień wymaga jeszcze licznych kwerend archiwalnych i opracowań.

Ewa Martinek

- **W. Masiarz, *Wierszyna – polska wieś na Syberii Wschodniej 1910-2010. Z dziejów dobrowolnej migracji chłopów polskich na Syberię na przełomie XIX i XX wieku*, Kraków 2016, ss. 432, 94 fotografie.**

Praca o polskiej wsi Wierszynie autorstwa Władysława Masiarza – badacza losów Polaków w Rosji – jest wynikiem kwerend archiwalnych i bibliotecznych przeprowadzonych w Rosji oraz w Polsce. Książka wpisuje się w nurt badań z zakresu mikrohistorii, gdzie przedmiotem rozważań stała się lokalna społeczność jednej z syberyjskich wsi, założonej i zamieszkałej od początku

przez polskie rodziny z Zagłębia Dąbrowskiego przybyłe w okolice Irkucka w 1910 r. Dotychczas o Wierszynie powstała książka *Wierszyna z bliska i oddali. Obrazy polskiej wsi na Syberii*, pod red. Ewy Nowickiej i Małgorzaty Głowackiej-Grajper, Kraków 2003, w której autorki przedstawiły rzeczywistość wsi, ale przede wszystkim z antropologicznego punktu widzenia. Natomiast Władysław Masiarz w swojej pracy skupił się na ujęciu historycznym i dziejach wsi, która dotąd nie miała takiego opracowania. Już na wstępie zasługuje na podkreślenie, że Autor bardzo rzetelnie dokonał analizy życia Polaków w odległej wiosce na Syberii Wschodniej przede wszystkim kładąc nacisk na aspekty historyczne i dzieje społeczne.

Źródła wykorzystane w pracy pochodzą z najważniejszych placówek archiwalnych w Rosji tj.: Rosyjskiego Państwowego Archiwum Historycznego (RGIA) w Sankt Petersburgu, Państwowego Archiwum Obwodu Irkuckiego (GAIO) w Irkucku oraz Centralnego Państwowego Archiwum Republiki Buriackiej w Ułan Ude, a także z Archiwum Państwowego w Łodzi i Archiwum Państwowego w Kielcach. Uważam, że jest to wystarczająca kwerenda do rzetelnego przedstawienia podjętego tematu. Jedynie mogłabym wskazać, że pewnym uzupełnieniem byłyby jeszcze źródła przechowywane w centralnych archiwach w Moskwie – Państwowym Archiwum Federacji Rosyjskiej i Rosyjskim Państwowym Archiwum Historii Społeczno-Politycznej. Oprócz archiwaliów ważnymi źródłami informacji dla Autora stały się: prasa, czasopisma, źródła drukowane, tj. spisy ludności i księgi metrykalne oraz liczne publikacje, w tym encyklopedie oraz biografie.

Ramy chronologiczne opracowania obejmują koniec XIX i początek XX wieku. Datą początkową przyjętą w narracji jest rok 1880, w którym rozpoczął się ruch przesiedleńczy, a dokładniej migracja Polaków do Rosji. Końcowe daty to okres stu lat istnienia Wierszyny, tj. lata 1910-2010. Głównym zamysłem autora była szeroka analiza historii wsi Wierszyna ze szczególnym uwzględnieniem losów Polaków, którzy w wyniku złożonego procesu przesiedleńczego i migracyjnego, znaleźli się w dalekiej Rosji. Realizacji temu miała służyć przyjęta z przemyśleniem struktura pracy. Należy uznać ją za prawidłową. Zawiera ona wstęp, pięć rozdziałów, zakończenie, 13 obszernych aneksów, wykaz skrótów i pojęć, bibliografię, indeks miejscowości i nazwisk oraz album „Domostwa polskich rodzin w Wierszynie” z kilkudziesięcioma fotografiami. Rozdziałom zostały nadane kolejno tytuły: *Rosyjska kolonizacja Syberii w końcu XIX i na początku XX w.*; *Dobrowolna migracja chłopska z Królestwa Polskiego na Syberię 1877-1914*; *„Gorączka syberyjska” w Zagłębiu Dąbrowskim w latach 1908-1910*; *Dzieje Wierszyny – polskiej wsi w guberni irkuckiej 1910-2010*; *Genealogie rodzin mieszkających w Wierszynie w latach 1910-2010*.

We wstępie autor przedstawił osiągnięcia historiografii dotyczące losów Polaków na Syberii. Wskazał najważniejsze prace o Syberii Wschodniej, w tym autorów najwcześniejszych prac na ten temat, jak: Zygmunta Librowicza, *Polacy w Syberii*, Kraków 1884, autora pierwszej monografii o Polakach na Syberii oraz pracę Michała Janika, *Dzieje Polaków na Syberii*, Kraków 1928, który już w latach 20. XX w. przedstawił „polskie męczeństwo” na Syberii oraz książkę Elżbiety Kaczyńskiej, *Syberia: największe więzienie świata (1815-1914)*, Warszawa 1991. W tej części książki badacz opisał także swoje podróże do Wierszyny i osobiste spotkania z jej mieszkańcami, którzy udzielili mu wydat-

nej pomocy w zbieraniu materiałów, co sam podkreślił w kierowanych wyrazach wdzięczności. Szczególnie wartościowe okazały się rozmowy z najstarszymi mieszkańcami wsi, m.in. Magdaleną Mycką, która przekazała historykowi wiele cennych faktów z życia Polaków przebywających w tej odległej części Rosji. Autor przedstawił również wpływ wydarzeń i sytuacji politycznej w Polsce na poziom zainteresowania historią Polaków na Syberii, w tym w Wierszynie.

W zasadniczej części pracy historyk opisał kolonizację Syberii oraz migrację chłopską z Królestwa Polskiego pod koniec XIX i na początku XX wieku, przez co nakreślił tło dla niewątpliwie najcenniejszej części swojego opracowania, którym jest rozdział poświęcony dziejom Wierszyny. Rzetelnie opisał historię wsi od momentu jej powstania, aż do roku 2010. Tak szczegółowe przedstawienie wielu faktów było możliwe m.in. dzięki badaniom prowadzonym na miejscu w Wierszynie, które autor poczynił dwukrotnie podróżując do tej miejscowości. Na uznanie zasługuje ostatni rozdział, w którym Władysław Masiarz ukazał genealogię polskich rodzin z Wierszyny. To alfabetyczne i wymagające wiele trudu zestawienie zostało opracowane w oparciu o księgi metrykalne z kościoła w Irkucku oraz przy wykorzystaniu osobistych relacji mieszkańców. W pracy zostały zamieszczone fotografie wszystkich domów rodzinnych w Wierszynie (94 zdjęcia). Jest to bez wątpienia wielki walor monografii, dzięki któremu poznajemy zarówno topografię, jak i część miejscowego folkloru.

Historyk w swojej pracy poruszył również mało znany temat jakim były tragiczne wydarzenia w Wierszynie w latach 1937 i 1938 związane z akcją antypolską prowadzoną przez NKWD, gdy aresztowano i stracono 31 Polaków, w tym 30 mężczyzn i 1 kobietę. Autor posłużył się tu m.in. materiałem opublikowanym przez Jana Szostaka: *Epitafium pomordowanym w 1938 roku przez NKWD mieszkańcom Wierszyny*, „Wspólnota Polska” 2001, nr 11, s. 221-236 i źródłami z archiwum GAIO w Irkucku.

Cennym uzupełnieniem książki są aneksy. Jest ich 13 i obejmują 43 strony. Kolejno przedstawiają: Wioski z polskimi kolonistami-osiedleńcami na Syberii do 1914 r.; Wykaz ważniejszych wydawnictw Głównego Zarządu Przesiedleńczego w Sankt Petersburgu dotyczący przesiedlenia się za Ural z lat 1904-1914; Niezbędne wiadomości. Każdemu, kto zamierza przesiedlać się, należy wiedzieć; Прошение z 30 I 1910 r.; Kosztorys budowy wierszynińskiej jednoklasowej szkoły z XI 1910 r.; Wykaz mieszkańców Wierszyny według kolejnych list z lat 1910-1911; Zestawienie kosztów budowy kaplicy w Wierszynie z 23 XII 1912 r.; Alfabetyczny wykaz Polaków pochowanych na cmentarzu w Wierszynie sporządzony z krzyży odnalezionych osobiście w maju 1991 r.; Spis młodych wyborców z Wierszyny z 6 XII 1934 r.; Wykaz biedniaków i średniaków w Wierszynie w XII 1930 r.; Wykaz Polaków z Wierszyny zamordowanych przez NKWD w Irkucku 19 II 1938 r. „По делу Соя Каспер и других в количестве 30 человек”; Sprawa K. Soi i innych w liczbie 30. Pełny tekst dokumentu nr 718 z 6 I 1938 r., podany do druku przez J. Szostaka w 2001 r.; Życzenia na 100-lecie Wierszyny.

Książka bez wątpienia wpisuje się w poczet ważniejszych pozycji o Polakach w Rosji i na Syberii. Jest znaczącą publikacją dla historyków i miłośników historii, ale również dla społeczności mieszkającej w Wierszynie.

Zawiera cenny zapis losów wsi i jej mieszkańców, których szczegóły najprawdopodobniej uległyby zatarciu, gdyby nie recenzowana tu publikacja. Jestem przekonana, że mieszkańcy polskiej Wierszyny otrzymali cenny zapis o ich historii oraz tożsamości, co umocni jeszcze bardziej tę społeczność. Na koniec pragnę jeszcze dodać, że ważnym dodatkiem do wydania jest elektroniczna wersja książki zapisana na płycie DVD.

Anna Koział

- **Błażej Michalewski, *Polscy zesłańcy w obronie wiary. Kościół katolicki w sowieckim Kazachstanie w latach 1936-1990*, Krzeszowice 2016, ss. 215.**

Książka księdza dr. Błażeja Michalewskiego doczekała się już kilku przychylnych recenzji. Bodajże najbardziej znacząca jest wypowiedź metropolity Astany arcybiskupa Tomasza Pety, który w przedmowie pisanej po polsku, rosyjsku i kazachsku stwierdził: „z wielką wdzięcznością przyjmujemy książkę ks. dr. Błażeja Michalewskiego o historii katolików w Kazachstanie w latach 1936-1990, obrazuje ona bowiem obecność Jezusa Chrystusa w losach ludzi, którzy cierpieli, ale dzięki wierze zachowali godność ludzką i chrześcijańską. Zbawiciel rzeczywiście jest obecny w Kazachstanie. Cieszę się, że książka ta wychodzi w roku beatyfikacji Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego i w 25 rocznicę niepodległości Kazachstanu.”

Metropolita Astany dodał jeszcze, że „ksiądz Błażej pisał swoją książkę nie tylko za pomocą „szkiełka i oka”. Pisał także sercem. Sam bowiem przez kilka lat pełnił służbę kapłańską w tym szlachetnym kraju”. W ostatnim zdaniu Arcybiskup Peta podkreślił, że autor osobiście poznawał specyfikę religijności w Kazachstanie, mógł więc uzyskiwać informacje podczas wywiadów przeprowadzanych z osobami będącymi świadkami wydarzeń. Dzięki temu powstała książka historyczna, która jednak nie opiera się przede wszystkim na źródłach pisanych. Ks. B. Michalewski wyjaśnia, że w represjonowanym kościele w Kazachstanie unikano przechowywania dokumentów, mogących stanowić dowód obciążający dla katolików. Dlatego źródła pisane, do których odwołuje się autor to przede wszystkim współczesne książki omawiające w swojej treści podobną tematykę, co publikacja „Polscy zesłańcy w obronie wiary”.

Druga ważną recenzję napisał prof. Antoni Kuczyński i zamieścił ją w „Niepodległości i Pamięci”. Przybliżył w niej działalność duszpasterzy, sióstr zakonnych oraz kontekst „ewangelicznej posługi wiernym w sowieckim Kazachstanie”. Zaznaczył, że autor bardzo dobrze zna ten obszar. Już jako kleryk Prymasowskiego Wyższego Seminarium Duchownego w Gnieźnie odbywał w latach 1994-1996 praktykę w Kazachstanie, później powrócił tu na rok by pełnić posługę wikariusza w kościele pod wezwaniem św. Józefa w Karagandzie. Ostatni raz przyjechał do Kazachstanu w roku 2007, żeby gromadzić materiały do swojej książki.

Syntetyzując wielowątkową publikację księdza B. Michalewskiego można powiedzieć, że ukazuje ona historię kościoła rzymskokatolickiego w Kazachstanie w perspektywie jej działalności ewangelizacyjnej. Szerokie pojęcie ewangelizacji, z którym spotykamy się chociażby w dokumentach soboru watykańskiego II, zawęża autor do głoszenia Dobrej Nowiny o Chrystu-

sie z wykorzystaniem dostępnych środków i doświadczeń duszpasterskich, które przykładem swojego życia pociągają ewangelizowanych do Zbawiciela. Omawiany w książce okres był czasem nasilonej walki władzy sowieckiej nie tylko z Kościołem, ale przede wszystkim z wiarą. Rozwinięta działalność antyreligijna i ateistyczna stawiała sobie za cel stworzenie nowego obywatela – człowieka sowieckiego. Autor książki zwraca przy tym uwagę, że przyczyniło się to do wytworzenia swoistego procesu ewangelizacyjnego, który często przebiegał w warunkach konspiracji oraz przeszedł do podziemia. O prześladowaniach, jakie doświadczały osoby duchowne świadczy pierwsza konstytucja radziecka z 1918 roku. W artykule 65 pkt. g. odebrała ona zakonnikom i księżom prawa wyborcze i zaliczyła ich do „liszeńców” czyli grupy osób, której odmówiono jakichkolwiek praw obywatelskich. Represyjny system uzupełniały akty prawne i wychowanie. Szczególną rolę odgrywał Związek Bezbożników (od 1929 roku Związek Wojujących Bezbożników) niszczący i wyszydający wszystko, co wiązało się z religią. Katechizacja zabroniona była w szkołach, burzono kościoły, aresztowano księży i prześladowano wiernych.

Autor zaczyna swoją książkę w 1936 roku. To ważna, choć niezbyt znana data, która upamiętnia pierwszą deportację ludności polskiej do Kazachstanu. Wysiedlono wówczas Polaków z Polskiego Rejonu Narodowościowego imienia Marchlewskiego, zwanego potocznie Marchlewszczyzną. Nazwano ich pierwszym narodem ukaranym, gdyż oni najwcześniej spośród obywateli Polski doświadczyli deportacji stalinowskich. Byli to przede wszystkim potomkowie dawnych kolonistów mazurskich, zagrodowej szlachty, którzy w czasie kolonizacji Ukrainy w XVII wieku znaleźli się na jej terytorium. Wyróżnikami ich odrębności na Ukrainie pozostała religia, język i świadomość narodowa. Rodzinom zesłanym do Kazachstanu wyznaczono rolę pionierów kultury agrarnej, gdyż miejscowa ludność zajmująca się pasterstwem nie potrafiła gospodarować na roli. Wśród deportowanej ludności znaleźli się księża. Oni właśnie, jak też wierząca społeczność zesłańców przyczynili się do zachowania wiary w czasach „bezbożnictwa” w ZSRR.

Na temat duchownych, pełniących posługę w latach 1936-1940, brakuje danych źródłowych. Autor książki tłumaczy to faktem, że duszpasterzy nie deportowano wówczas jako odrębnej grupy czyli jak rozumiem, nie wyróżniali się z otoczenia. Zapewne zmarli też świadkowie, mający jakąś wiedzę na ten temat. Pierwszym kapłanem, którego autor wymienia, był grekokatolicki biskup Aleksander Chyra, pełniący posługę również wśród katolików obrządku łacińskiego. Aresztowano go w 1949 roku i skazano na 25 lat łagru, a po kilku latach zwolniono w wyniku amnestii. Przez blisko 20 lat pracował nielegalnie jako duszpasterz w Karagandzie.

W Kazachstanie przebywał wówczas ksiądz Władysław Bukowiński, beatyfikowany w Astanie 11 września 2016 roku. Jako proboszcz parafii katedralnej w Łucku w sierpniu 1940 roku został aresztowany przez NKWD i osadzony w więzieniu, z którego rzec można „cudem uszedł z życiem” podczas rozstrzeliwania więźniów przez sowieckich oprawców, gdy do Łucka zbliżały się wojska niemieckie w czerwcu 1941 roku. A gdy przetrwał w Łucku czas wojny władze sowieckie skazały go w 1945 roku na 10 lat łagru. Przebywał w obozie Bakał w obwodzie czelabińskim a następnie w Dżezkazganie, gdzie pracował w kopalni miedzi. W 1954 roku został zwolniony i w trybie

administracyjnym zesłany na trzy lata do Karagandy. Kiedy w 1955 roku zaistniała możliwość powrotu do kraju, postanowił zostać i działać dalej na rzecz wiernych. Ponownie aresztowany w 1958 roku kolejne trzy lata spędził w łagrze, a po wyjściu na wolność wrócił do Karagandy, gdzie kontynuował działalność duszpasterską aż do śmierci. „Spoczywa dziś” w tamtejszej katedrze pod wezwaniem Matki Boskiej Fatimskiej.

Heroiczna postać duchownego na stałe zapisała się w historii Kazachstanu. Ksiądz Bukowiński nie był jednak jedyny, który przeszedł łagry, cierpiał prześladowania i pełnił duszpasterską posługę wśród wiernych. Działo tam wielu duchownych, którzy z wielkim zaangażowaniem głosili Dobrą Nowinę. Wśród nich ksiądz B. Michalewski wymienia osadzonych w łagrach Bronisława Drzepeckiego, Aleksandra Stauba, Odoryka Aleksandra Benia. Wskazuje też innych księży, którzy pełnili posługę duszpasterską w Kazachstanie: ojca Albina Dumbauskasa, Bolesława Babrauskasa, Jana Pawła Lenge, Stefana Prislaka, Mikołaja Szabana, Janisa Pawłowskiego, Josepha Schmidleina, Aleksija Zarickiego.

Nasuwa się tu uwaga, że wśród księży znajdowali się nie tylko Polacy, ale też Litwini, Łotysze, Ukraińcy i Niemcy, o czym świadczą ich imiona i nazwiska lub narodowość, jaką podaje autor przy biografii niektórych kapłanów. Wszyscy pełnili posługę w kościele katolickim, prowadząc często półlegalną działalność wśród parafian. Ksiądz B. Michalewski szczególnie podkreśla zasługi grekokatolickiego ojca Aleksija Zarickiego, który jako jeden z pierwszych pracujących w Kazachstanie kapłanów został ogłoszony błogosławionym.

Ważnym i słabo rozpoznany temat, jaki poruszył autor w swojej książce jest działalność ewangelizacyjna Kościoła rzymskokatolickiego w pracy żeńskich zgromadzeń zakonnych. Istniały one od lat 60. dlatego obok skromnej literatury przedmiotu posłużył się wywiadami. Na terenie Kazachstanu jako pierwsze założono Zgromadzenie Sióstr od Biednego Dzieciątka Jezus w Makińsku. Ksiądz B. Michalewski wymienia nazwiska działających tu zakonnice, pisze o rozwoju ich wspólnot i niełatwych kontaktach z obcym środowiskiem. Ponieważ obowiązywał je nakaz pracy, były one pielęgniarkami, aptekarkami, w swojej posłudze opiekowały się zakrystiami, dbały o porządek, w miarę możliwości prowadziły katechizację, przygotowywały wiernych do sakramentów świętych i wykonywały wiele innych czynności związanych z praktykowaniem religii. Działalność sióstr zakonnych opisuje do lat 80. XX wieku, co jest zgodne z tytułem pracy. Warto jednak byłoby podać informację, jak ich losy potoczyły się dalej.

Jeszcze jednym ważnym tematem, poruszonym przez autora są ludzie dzisiaj już zapomniani. Wymienia tu katechetki, a wśród nich kandydatkę na ołtarze Gertrudę Decel, powołaną później do zakonu Sióstr Eucharystek. Pisze też o Annie Rudnickiej z Tajynszy, która przyczyniła się do utrwalania wiary wszędzie tam, gdzie posługiwała. Dodaje jednak, że istnieje niezbyt wiele źródeł pisanych mówiących o działalności ludzi świeckich.

Ostatni rozdział książki zatytułowany „Kościół przetrwał” poświęcony jest czasom współczesnym. Autor pisze, że „wyjątkowym podsumowaniem przemian i rozwoju Kościoła katolickiego w Kazachstanie po zakończeniu okresu represji i prześladowań, a zarazem dzięki uzyskaniu suwerenności przez ten kraj była wizyta Ojca Świętego Jana Pawła II”, która odbyła się 22-25 września 2001 roku. Papież, który spotkał się wówczas z polską diasporą, wlał otuchę w ludzi

wierzących, a jego słowa wyznaczyły nowe perspektywy i zadania dla Kościoła katolickiego w niepodległym państwie.

W podsumowaniu warto zaznaczyć, że ze względu na obszerność tematu ewangelizacji Kazachstanu, w książce omówiono najważniejsze kwestie z nią związane. Niektóre zagadnienia są tylko zasygnalizowane i warto byłoby je poszerzyć w odrębnej publikacji. Czas nie jest tu sprzymierzeńcem, gdyż ludzie, którzy pamiętają tamte wydarzenia już odchodzą. Dodam jeszcze, że zaletą tej książki jest bogaty materiał ilustracyjny, który dopełnia jej treść. Kwerendy w zbiorach archiwalnych czy ikonograficznych wzbogaciłyby jeszcze ten obraz. W Muzeum Niepodległości i w Ośrodku „Karta” znajduje się np. znaczny zbiór fotografii z kazachstańskiego obozu w Dżezkazganie, w którym przebywał ksiądz Bukowiński. Zasady funkcjonowania tego łagru i warunki uwięzienia w nim co najmniej kilkunastu duchownych, są dotychczas słabo rozpoznane i czekają na historyka, który je opracuje. Pozostaje więc mieć nadzieję, że to nie koniec pracy księdza Błażeja Michalewskiego nad problematyką Kościoła w Kazachstanie.

Anna Milewska-Młynik

- **Albin Głowacki (red.), *Sybir. Doświadczenia – Pamięć*, Białystok 2015, ss. 320.**

Tom *Sybir. Doświadczenia – Pamięć* pod redakcją Albina Głowackiego łączy dwa nurty badawcze w polskich naukach społeczno-humanistycznych. Jeden z nich dotyczy Syberii i jej miejsca w polskiej historii, natomiast drugi odnosi się do szeroko zakrojonych badań i praktyk związanych z pamięcią społeczną oraz sposobami jej kształtowania, przy czym obydwie często i na wielu polach wzajemnie się przenikają. Historycy, psychologowie, socjologowie, kulturoznawcy, filologowie, a także muzealnicy zajmują się zarówno dokumentacją syberyjskiego dziedzictwa w polskiej kulturze, jak i badaniami obrazów funkcjonujących w zbiorowej i indywidualnej świadomości, czego najlepszym dowodem jest różnorodność studiów zebranych w omawianym zbiorze. Książka powstała jako rezultat konferencji zorganizowanej przez Muzeum Pamięci Syberii w 2014 r. w Białymstoku, a autorami poszczególnych rozdziałów było 25 badaczy reprezentujących kilkanaście ośrodków naukowych i muzealnych z Polski, Litwy oraz Rosji.

Opracowanie zostało podzielone na dwie części, które zostały wymienione w podtytule, czyli „pamięć” i „doświadczenia”. Taki układ wynika z organizacji paneli podczas wspomnianej konferencji i nie do końca znajduje odzwierciedlenie w treści artykułów, dotyczących często zarówno doświadczeń, jak i ich funkcjonowania w pamięci zbiorowej i indywidualnej. Pierwszy z tekstów ma charakter wprowadzający i traktuje o filozoficznym wymiarze wygnania. Adam Sawicki starał się ukazać polską diasporę na Syberii w szerszym historycznym i ideologicznym kontekście, odwołując się do przykładów biblijnych, kultury starożytnego Rzymu oraz socjologicznych i psychologicznych aspektów przymusowej emigracji. Takie ujęcie pozwala w inny sposób spojrzeć na poszczególne analizy i znaleźć ich wspólny mianownik, którym mogą być zjawiska o naturze psychicznej, np. lęk, niepewność, tęsknota lub społecznej,

np. solidarność wewnątrz społeczności wygnańców. Pozostałe opracowania miały już charakter szczegółowy. Wiktoria Śliwowska pochyliła się nad losem polskiego patrioty i pamiętnikarza, wieloletniego więźnia Waleriana Łukasińskiego, nazywając go „jedynym polskim męczennikiem XIX stulecia”. Z artykułem związane są dwie wątpliwości, z których pierwsza odnosi się do tytułowego sformułowania, z którego wynika, że sytuacja W. Łukasińskiego była o wiele gorsza niż innych spiskowców lub powstańców, natomiast druga dotyczy zamieszczenia w opracowaniu poświęconym Syberii rozważań na temat kolei życiowych osoby, która nie była zesłana za Ural, lecz skazana na pobyt w Szlisselburgu. Wyjaśnienia znajdujemy w treści artykułu, który oprócz postaci głównego bohatera dotyczy także zesłańców syberyjskich. Nawet na ich tle losy W. Łukasińskiego, który w carskich więzieniach spędził 46 lat i zmarł w niewoli, przedstawiają się jako szczególnie tragiczne.

Kolejny z tekstów w tomie, autorstwa Włodzimierza Torunia, został poświęcony Cyprianowi Kamilowi Norwidowi, który również nie mieszkał na Syberii. Z regionem był jednak związany poprzez osoby zesłańców, z którymi utrzymywał bliskie kontakty: z Bronisławem Zaleskim, Karolem Ruprechtlem, Agatonem Gillerem i in., a Sybir był ważnym motywem w jego utworach. Artykuł W. Torunia nie był jedynym, w którym ukazany był obraz Syberii i Sybiraków w sztuce lub obecność artystów na zesłaniu. Anna Milewska-Młynik podjęła się próby analizy sposobu, w jaki Aleksander Sochaczewski i Stanisław Katerła ukazywali na swoich obrazach i rysunkach syberyjską rzeczywistość, a Arkadiusz Krawczyk przedstawił tragedię zesłania w twórczości Teofila Lenartowicza. Podobną problematykę, związaną ze szkicami z Syberii Cezarego Mickiewicza, omawiała w swoim tekście Izabela Piskorska. Postać C. Mickiewicza została ukazana głównie przez pryzmat jego zapisków i rysunków, ale również z perspektywy pamięci o nim, zachowanej przede wszystkim w Licheniu Starym, gdzie przechowywany jest jego pamiętnik. Artystyczne wizje Syberii i zesłania, lecz nie w sztukach plastycznych, a w literaturze, były również tematem artykułu Justyny Ołędzkiej na temat koncepcji Sybiru jako mikrokosmosu sowieckiej rzeczywistości, wpływającej z rozważań Aleksandra Wata i jego wschodnich doświadczeń. Były one zgoła odmienne, od losów jego rodziny, która odczuła wszelkie trudy zesłania, podczas gdy sam poeta wybrał się na ich poszukiwania i był w Związku Radzieckim obserwatorem tamtejszej rzeczywistości.

Drugim ważnym wątkiem, przewijającym się w kolejnych kilku artykułach, były losy Polaków poddanych przymusowym przesiedleniom w okresie II wojny światowej i tuż po jej zakończeniu. Albin Głowacki poruszył problem koordynacji tych badań oraz podjęcia wspólnych prac nad upamiętnieniem zesłańców. Wobec dużego zainteresowania losami Polaków na Syberii w różnych okresach, istotnym problemem jest połączenie wysiłków naukowców i przedstawicieli placówek społeczno-kulturalnych, muzealnych i politycznych. A. Głowacki zaproponował szeroki katalog zagadnień wymagających opracowania, a także wspominał o ośrodkach, które zajmują się syberyjskimi wątkami w polskiej historii. Pięć kolejnych artykułów dotyczy szczegółowych problemów związanych z pobytem Polaków na Syberii w różnych okresach pomiędzy 1939 i 1946 rokiem (ostatni rok był związany z powrotami do ojczyzny już po zakończeniu wojny). Ewelina Klimczak, korzystając z licznych relacji świad-

ków, opisała relacje polsko-rosyjskie na Syberii i Kresach na przykładzie doświadczeń pojedynczych rodzin i osób. Jako materiał posłużyły wspomnienia wywózek, kontaktów z funkcjonariuszami NKWD i zwykłymi Rosjanami, przy czym niekiedy życzliwością wykazywały się osoby, po których nie spodziewano się ludzkich odruchów.

Elena Niżnik opisała powstanie polskiej wspólnoty w Orsku, korzystając z dokumentów zgromadzonych w Archiwum Naukowym Orskiego Muzeum Krajoznawczego. Artykuł został zilustrowany materiałami prasowymi z okresu II wojny światowej, w których radzieccy dziennikarze entuzjastycznie wypowiadali się o warunkach i możliwościach, jakie Polakom stworzyła władza sowiecka. Publikacja tych materiałów pozwala na konfrontację relacji przedstawicieli polskiej diaspory z propagandową wersją rzeczywistości. Z kolei tekst Magdaleny Dzienis-Teodorczuk dotyczył szczególnej grupy polskich sybiraków – dzieci w radzieckich domach dziecka. Na podstawie licznych relacji z opublikowanych wspomnień ukazała tragiczne losy najmłodszych zesłańców, choć nieliczne relacje opisywały także pobyt w stosunkowo dobrych warunkach. Najmłodszym Polakom za Uralem został poświęcony także artykuł Agnieszki Kaniewskiej, która omówiła najważniejsze kwestie związane z polskim szkolnictwem w Kraju Ałtajskim w latach 1940-46. Informacje z dokumentów archiwalnych zostały uzupełnione osobistymi relacjami zesłańców, którym przyszło uczęszczać do szkoły podczas wojennego pobytu w ZSRR. Problem ten, nie tylko w odniesieniu do Ałtaju, ale i innych regionów Syberii oraz Związku Radzieckiego w ogóle, był dotychczas przedmiotem analizy pracy zbiorowej zatytułowanej *Szkolnictwo polskie w ZSRR. Materiały i dokumenty*, pod red. S. Skrzyszewskiego, Warszawa 1991, która nie wyczerpała bogactwa tematu, a ze względu na czas jej powstania w okresie PRL nie wszystkie kwestie mogły zostać w pełni wyjaśnione. Problematykę trudnych momentów związków polsko-rosyjskiej podjęła także Ewa Kowalska. Tematem jej referatu były losy rodzin polskich oficerów pomordowanych przez NKWD. Najbliżsi krewni zabitych trafili na zesłanie w różne regiony ZSRR, m.in. do obwodów syberyjskich. E. Kowalska przedstawiła mord na oficerach i gehennę ich rodzin jako tragedię narodową, a nie tylko cierpienia konkretnych rodzin. Szersze postrzeganie wydarzeń dotyczących poszczególnych osób uprawniała m.in. stwierdzeniem, że eksterminowani stanowili „warstwę przywódców duchowych” narodu, w związku z czym ich brak dotykał znacznej części społeczeństwa.

Ostatnie teksty z serii „wojennych” studiów dotyczyły powrotów sybiraków do Polski. Emilia Kulesza na podstawie relacji repatriantów opisała trudy ich podróży oraz pierwsze wrażenia po przybyciu do ojczyzny. Wielokrotnie okazywało się, że wyczekiwany powrót stawał się rozczarowaniem. Dla niektórych przynębiający był widok zrujnowanych polskich miast i wsi, inni zaś zostali niesłusznie oskarżeni o działalność wywrotową i trafili do więzienia, ale relacje cytowane w tekście nie wyczerpują złożoności poruszonego zagadnienia i wymagają dalszych badań. Z kolei Sylwia Trzeciakowska odniosła się do kwestii instytucjonalnej organizacji procedury przesiedleń po zakończeniu II wojny światowej. Powrotami sybiraków zajmował się Państwowy Urząd Repatriacyjny, a zamieszczony w tomie artykuł dotyczy pracy jego białostockiego oddziału.

Dwa artykuły dotyczyły źródeł do badań nad dziejami Polaków na Syberii w zbiorach polskich archiwów i muzeów. Arkadiusz Gawroński omówił typy dokumentów zgromadzonych w Archiwum Państwowym w Białymstoku, a Jolanta Załęczny – syberyjskie zbiory w warszawskim Muzeum Niepodległości. Materiały archiwalne i muzealne stanowią cenny materiał badawczy nie tylko dla historyków, ale i dla etnografów, kulturoznawców lub filologów, a próby ich uporządkowania i charakterystyki ze strony pracowników tych placówek pomagają zwrócić uwagę badaczy i ułatwić im orientację w zróżnicowanych źródłach.

Kolejną grupę tematyczną stanowią teksty poświęcone obrazowi Syberii w XX i XXI w. w polskich źródłach drukowanych. Beata Urbanowicz podjęła bardzo ważny z punktu widzenia polityki historycznej państwa polskiego i świadomego kształtowania pamięci społecznej problem wizerunku Syberii w szkolnych podręcznikach historii. System edukacyjny jest jednym z najważniejszych, a często wręcz najważniejszym międzypokoleniowym kanałem przekazywania wartości istotnych dla danej społeczności. Artykuł B. Urbanowicz jest próbą ukazania, w jaki sposób zmieniała się treść podręczników w zależności od kursu przyjętego przez polskie władze państwowe, poczynając od okresu międzywojennego, a kończąc na ostatnich latach pierwszej dekady XXI w. Poruszana przez autorkę problematyka została jedynie zarysowana i zdecydowanie zasługuje na bardziej obszerne opracowanie, które w formie monograficznej mogłoby obejmować także tematykę dwóch innych artykułów z tomu *Sybir. Doświadczenia – Pamięć*, dotyczących obrazu Syberii w publikacjach prasowych i wydawnictwach opozycyjnych. Pierwszy ze wspomnianych tematów został omówiony przez Annę Idzior na przykładzie artykułów z polskich periodyków z lat 2008–2013. Skorzystała ona z publikacji prasowych (głównie dzienników), których tematem były losy Polaków na Syberii. Z kolei Tomasz Szczepański zainteresował się materiałami zamieszczanymi w wydawnictwach opozycyjnych od drugiej połowy lat 70. XX w. do roku 1989. Z przeprowadzonej przez autora kwerendy wynika, że obecność tekstów nt. syberyjskiej martyrologii narodu polskiego była uzależniona od profilu tematycznego i nurtu politycznego reprezentowanego przez poszczególne czasopisma. Tematyka zesłań i losów Polaków na zesłaniu podejmowana była stosunkowo niechętnie, ponieważ większość wydawnictw skupiała się na problematyce współczesnej. Jeśli decydowano się na wspomnienie sybiraków, to najczęściej przy okazji rocznic ważnych wydarzeń, ale był to najczęściej efekt wyspecjalizowanych inicjatyw lub regularnych publikacji organizacji reprezentujących nurt określony przez T. Szczepańskiego jako niepodległościowy (Konfederacja Polski Niepodległej), podczas gdy ośrodki lewackie i anarchistyczne, ale także liberalno-demokratyczne i narodowo-demokratyczne problematykę syberyjską pomijały lub starały się prezentować ją w taki sposób, by nie urazić strony rosyjskiej, jak np. w czasopiśmie „Nowe Horyzonty”.

Artykuły zamieszczone w drugiej części tomu pt. „Doświadczenia” oparte były na indywidualnych relacjach osób, które osobiście doświadczyły syberyjskiego zesłania lub na zesłanie trafili ich najbliżsi. Katarzyna Paduch omówiła losy powstańca listopadowego, Romana Sanguszki, na podstawie pamiętnika jego matki Klementyny. Przykład arystokraty-zesłańca stanowi ciekawe uzupełnienie galerii Polaków przymusowo osadzonych za Uralem. Pozostałe teksty odnosiły się do problematyki dwudziestowiecznej. Krzysztof

Łagojda dokonał analizy porównawczej oficjalnych dokumentów NKWD, dotyczących deportacji Polaków, z relacjami zesłańców. Okazuje się, że rzeczywistość akcji przesiedleńczych zależała przede wszystkim od postawy kierującego nią oficera. Tekst Macieja Wyrwy również odnosił się do przesiedleń Polaków na Syberię, ale autor nie analizował sytuacji zesłańców, a jedynie ich postrzeganie miejsca zesłania i lokalnej społeczności. Deportowani obywatele Rzeczypospolitej, którzy w pierwszych latach II wojny światowej zostali przesiedleni do Republiki Komi, trafili nie tylko na nowe warunki klimatyczne i geograficzne, ale również na nieznaną im kulturę i ludzi. Z kolei artykuł Lidii Ciborowskiej ukazuje Syberię w wymiarze indywidualnym, tak, jak widziała ją babci autorki – Stefania Ciborowska, która została wywieziona do azjatyckiej części ZSRR z okolic Łomży. Relacje rodzinne o wywózkach z czasów II wojny światowej i późniejszej tułaczce stanowią doświadczenie wielu polskich rodzin. Mimo tej świadomości wciąż wiele historii pozostaje nieznanymi, a tekst L. Ciborowskiej pozwala na wydobywanie na światło dzienne kolejnej spośród opowieści składających się na wciąż niepełny obraz losów polskich wygnańców. Tom zamyka artykuł Vitaliji Stravinskienė, poświęcony radzieckim deportacjom polskiej ludności z Wileńszczyzny na Syberię. Byli oni w szczególnie trudnej sytuacji, ponieważ nawet kiedy pojawiła się możliwość powrotu z zesłania, stawali przed koniecznością wyboru pomiędzy rodzinnymi stronami, które stanowiły część Litewskiej SRR, a Polską, która z jednej strony była ich ojczyzną, z drugiej zaś były to jednak tereny oddzielone granicą od ich domów rodzinnych w okolicach Wilna. Rozważania V. Stravinskienė stanowią kolejny przykład problemu, który zasługuje na szersze i bardziej dogłębne opracowanie, a materiał zamieszczony w tomie pod red. A. Głowackiego jedynie rozbudza ciekawość czytelnika.

Praca zbiorowa *Sybir. Doświadczenia – Pamięć* stanowi ważny wkład w badania nad Syberią w polskiej historii, ze szczególnym uwzględnieniem XX w. i lat II wojny światowej, którym poświęcono znaczną część tekstów. Zawartość tomu jest bardzo zróżnicowana, ponieważ poszczególne artykuły dotyczą zarówno problemów szczegółowych, np. indywidualnych doświadczeń zesłańców, jak i zagadnień ogólnych, a także filozoficznych aspektów wygnania. W wielu tekstach przewijają się jednak wspólne wątki, dotyczące m.in. artystycznych wizji Syberii i zsyłki, losów Polaków wywiezionych na Wschód podczas II wojny światowej, zbiorowych i indywidualnych wspomnień z zesłania, działalności instytucji kulturalnych i naukowych na polu kształtowania w świadomości społecznej pamięci o dziejach polskiej diaspory, czy też obecności Syberii w polskich publikacjach. Zdecydowanie lepszym rozwiązaniem od utrzymania układu paneli z konferencji („pamięć” i „doświadczenia”), byłoby wprowadzenie podziału na kilka rozdziałów tematycznych, co pozwoliłoby na uporządkowanie zamieszczonych w tomie materiałów. Zbiór pod red. A. Głowackiego zasługuje na uwagę nawet mimo wspomnianego chaosu w organizacji treści.

Michał Głuszkowski

„Syberyjski Białystok – Zmartwychwstanie” Zbiórka funduszy na odbudowę polskiego kościoła

W połowie kwietnia br., tuż po Wielkanocy, na Syberii, w polskiej wiosce Białystok, spłonął ponad stuletni kościół. Budynek zbudowali, w 1908 r. Polacy, dobrowolni przesiedleńcy z grodzieńskiej i wileńskiej guberni, którzy do Rosji pojechali za chlebem. Była to jedyna tego typu kaplica na Zachodniej Syberii, która funkcjonowała do czasów współczesnych. 5 czerwca br. rozpoczyna się zbiórka funduszy na odbudowę kościoła. Akcja nosi nazwę **„Syberyjski Białystok – Zmartwychwstanie”**. Organizatorem jest katolicka parafia w Tomsku, w Rosji.

Polska wioska Białystok na Syberii została założona pod koniec XIX w. przez dobrowolnych przesiedleńców z grodzieńskiej i wileńskiej guberni, którzy do Rosji trafili na podstawie reformy agrarnej Piotra Stołypina. W 1908 r. Polacy zbudowali tam drewniany kościół pw. św. Antoniego Padewskiego. Działał on nieprzerwanie przez niemal 25 lat. W 1931 r. został zamknięty przez władze sowieckie. W czasie II wojny światowej budynek świątyni przeznaczono na magazyn zboża, od 1945 r. pełnił funkcję wiejskiego klubu. W latach 80. XX w. budynek opustoszał. W 1990 r., po raz pierwszy od 50 lat, do Białegostoku przyjechał ksiądz, jego wizyta stała się impulsem do odnowienia katolickiej społeczności. Budynek wrócił do jej rąk. Ponowne otwarcie kościoła, już po remoncie, poświęcenie świątyni, miało miejsce 13 czerwca 1998 r. *„Dla polskiej ludności Białegostoku. Ten dom Boży, stanowił materialny symbol więzi z przodkami i ich kulturą”* – mówi Agnieszka Kaniewska, wrocławianka, od 2014 r. mieszkająca na Syberii, regularnie odwiedzająca wioskę.

W nocy z 18/19 kwietnia br., w niewyjaśnionych do tej pory okolicznościach, kościół spłonął. Pozostały jedynie ceglane fundamenty. Ze zgliszcz wydobyto fragment dzwonu z napisem *„Dziewica Maryja”*.

„Społeczność Białegostoku oraz tomska parafia, pod której opieką znajduje się wioska, rozpoczynają zbiórkę funduszy na odbudowanie domu modlitwy, a przede wszystkim na symboliczne odtworzenie miejsca przez ponad 100 lat związanego z Polską” – podkreśla Wojciech Ziółek SJ, proboszcz parafii w Tomsku.

Szczegóły dotyczące akcji znajdują się na stronie:

<https://belostok-catholic.ru/pl>

Kontakt dla mediów: info@belostok-catholic.ru

Wojciech Ziółek SJ – proboszcz parafii w Tomsku:

E-mail: wziolok@yahoo.es

Tel. RUS (+7) 923-418-08-57

PL (+48) 679-907-601

WhatsApp: +79234180857

Agnieszka Kaniewska:

E-mail: kaniewska.aga@gmail.com

Tel. PL (+48) 501-321-593

WhatsApp: +79527562106

**„Dobroczynność jest nie tylko ważna,
lecz przede wszystkim radosna.”**

S. Kowalski, *Księga aforyzmów*

Do Czytelników „Zesłańca”

Tradycyjnie już zwracamy się z prośbą o wspieranie „Zesłańca”, który cieszy się zainteresowaniem Czytelników. Ich opinie dodają nam sił, by pismo ukazywało się regularnie. Sił tych nam jeszcze wystarcza.

Niestety brakuje pieniędzy! Często otrzymujemy z Rosji interesujące teksty, które w miarę możliwości finansowych, potrzebnych na ich przetłumaczenie, ukazują się drukiem. Ostatnio pismo zostało wsparte przez Oddziały i Koła naszego Związku oraz innych darczyńców z kraju i zagranicy. Dziękujemy im za ten wyraz troski.

Drodzy Czytelnicy!

Wydawanie „Zesłańca” to wiele czynności redakcyjnych oraz systematyczne dostarczanie go do Oddziałów naszego Związku w ilościach (\pm 1 egz. na 200 członków!). Niestety Oddziały zalegają z wpłatami, a przecież bieżące wpływy pokryłyby część kosztów wydawniczych. Prosimy zatem Oddziały by uporządkowały zaległości płatnicze za otrzymane egzemplarze.

„Zesłaniec” przynosi wiele ważnych informacji dotyczących historii związków polsko-syberyjskich dawnych oraz nowszych, aż po współczesność, bo ciągle przecież mieliśmy i mamy związki z Syberia, gdzie od lat mieszkają nasi Rodacy. Losy i dokonania Polaków w Rosji, aż po Władywostok, Kamczatkę i Sachalin, to pasjonujący i ciągle nierozpoznany temat. Ponadto artykuły ukazujące się na łamach „Zesłańca” to także rodzaj kroniki wydarzeń Związku Sybiraków.

Informując o tym, rodzi się refleksja, że gdyby co dziesiąty Członek naszego Związku wpłacił raz w roku pięć złotych, a każde Koło pięćdziesiąt złotych, „Zesłaniec” mógłby ukazywać się jako dwumiesięcznik. Prosimy zatem Oddziały Związku Sybiraków by rozważyły możliwość wspomżenia pisma, by nie zalegały z wpłatami za przekazywane egzemplarze i zechciały skuteczniej go kolportować. Kwoty przeznaczone na ten cel prosimy wpłacać na konto:

**Zarząd Główny Związku Sybiraków
PKO BP S.A. I O/Warszawa
nr 85-1020-1013-0000-0502-0149-8617**

Wiesław K r a w c z y n s k i
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków